

Ksiega Krwi II

BARKER CLIVE



calibre 0.9.27

CLIVE BARKER
Księga Krwi II

Były też zdjęcia. Straszne zdjęcia. Na ich widok poczuł się bardzo dziwnie. Wszystkie co do jednego przedstawiały zmarłych ludzi. Na części widać było małe dzieci, na innych starsze. Leżały lub na wpół siedziały, na twarzach i ciałach miały głębokie rany; rozcięcia ukazywały wnętrzności, mieszaninę jelit lśniących i mokrych. Wszędzie wokół były trupy. Nie w gładkich stosach, lecz porozrzucane, ze śladami palców, napisami, bardzo brudne.

Na trzech czy czterech zdjęciach było narzędzie, które spowodowały rany. Wiedział, jak się nazywa.

Topór.

Każdy z nas jest krwawą księgą

Gdziekolwiek się nas otworzy, jesteśmy czerwoni

LEK

Nie ma nic bardziej fascynującego niż lek. Gdybyśmy usiedli niewidzialni pomiędzy dwojgiem ludzi w pociągu, poczekalni czy biurze i podsłuchali ich rozmowę, to przekonalibyśmy się, że krąży ona stale wokół tego tematu. Na pozór dyskutowano by o polityce, opowiadano o śmiertelnych wypadkach drogowych lub rosnących cenach usług dentystycznych. Jednak tak naprawdę wszystkich interesuje tylko lek. Bardzo rzadko dyskutujemy o naturze Boga i życiu wiecznym, natomiast z rozkoszą roztrząsamy drobiazgowo wszelkie nieszczęścia. Tak samo zachowujemy się i w łaźni, i na sali wykładowej. Tak jak nie umiemy się powstrzymać przed dotykiem językiem bolącego zęba, tak też powracamy stale do naszych obaw, zabieramy się do mówienia o nich z łapczywością głodnego człowieka, mającego przed sobą obfity, parujący posiłek. Stephen Grace, studiując na uniwersytecie, starał się znaleźć odpowiedź na dręczące go pytanie: "dlaczego odczuwa się lek?" Do tej pory bał się nawet o tym mówić. Teraz chciał nie tylko głośno o tym krzyczeć, lecz również rozważać i analizować każde napięcie nerwów.

W tych poszukiwaniach miał nauczyciela: Quaida.

Były to czasy guru. Jak Anglia długa i szeroka, na wszystkich uniwersytetach młodzi ludzie spoglądali na Wschód i Zachód w poszukiwaniu tych, za którymi mogliby iść jak owce; Steve Grace był jednym z nich. Na swoje nieszczęście wybrał sobie Quaida na mistrza.

Spotkali się w klubie studenckim.

–Nazywam się Quaid – powiedział mężczyzna siedzący przy barze obok Steve'a.

–Aha.

–A ty...?

–Steve Grace.

–Tak. Jesteś w grupie etyki, zgadza, się?

–Zgadza.

–Nie widziałem cię na innych seminariach czy wykładach z filozofii.

–To mój dodatkowy przedmiot. Jestem na Wydziale Literatury Angielskiej. Nie mogłem znieść myśli o roku w grupie staronordyckiego.

–Dlatego wybrałeś etykę?

–Tak.

Quaid zamówił podwójną brandy. Nie wyglądał na bogatego, a dla Steve'a podobne zamówienie oznaczałoby poważne nadszarpnięcie finansów przeznaczonych na następny tydzień. Quaid szybko wypił swoją brandy i poprosił o kolejną.

–A ty?

Steve sącył małe piwo, zdecydowany pić je co najmniej przez godzinę.

–Dla mnie nic.

–Napijesz się!

–Nie, dziękuję.

–Jeszcze jedna brandy i duże piwo dla mojego przyjaciela.

Steve nie protestował. Dodatkowe piwo przy jego niedożywieniu bardzo mu pomoże przetrzymać nudę zbliżającego się seminarium o "Karolu Dickensie jako badaczu społeczeństwa". Ziewał na samą myśl o nim.

–Ktoś powinien napisać pracę o picu jako formie aktywności społecznej. – Quaid przez chwilę wpatrywał się w brandy, wreszcie ją wypił. – Lub zapomnienia – dodał.

Steve przyjrzał mu się. Quaid miał jakieś dwadzieścia pięć lat, o pięć więcej niż on. Ubrany był dziwnie. Wystrzępione buty sportowe, sztruksowe spodnie i znoszona szarobiała koszula, a na niej bardzo kosztowna skórzana kurtka, wisząca niezgrabnie na wysokiej, szczupłej postaci. Twarz Quaida była pociągła i nijaka; oczy miał jasnoniebieskie, tak blade, że trudno było dostrzec tęczę na białym tle, a za grubymi okularami widać było jedynie maleńkie kropki źrenic. Wargi grube jak u Micka Jaggera, lecz blade i wcale nie zmysłowe. Słowem – świński blondyn.

Steve uznał, że Quaid wygląda na ćpuna.

Nie nosił żadnego znaczka, a były one bardzo popularne wśród studentów i Quaid sprawiał wrażenie nagiego bez wskazówki zdradzającej jego upodobania. Czy był pedałem, feministą, obrońcą wielorybów czy faszystowskim wegetarianinem? Kim był, na miłość boską?

–Powinieneś być wybrać staronordycki – powiedział Quaid.

–Dlaczego?

–Nie chce im się nawet sprawdzać prac. Steve nie słyszał o tym. Quaid ciągnął dalej:

–Po prostu rzucają je w powietrze. Te, które upadną tekstem do góry, oceniają na trójkę, a do dołu – na dwóje.

"A wiec to żart, Quaid jest dowcipny". – Steve zaśmiał się niepewnie, lecz twarz jego rozmówcy pozostała nieporuszona.

–Powinieneś być na staronordyckim – powtórzył. – Komu jest potrzebny biskup Berkeley? Albo Platon! Albo...

–Albo?

–Wszystko to kupa śmieci.

–Tak.

–Obserwowałem cię na zajęciach z filozofii... Steve zaczął się zastanawiać.

–... nigdy nie robisz notatek, prawda?

–Tak.

–Pomyślałem, że albo znakomicie znasz się na wszystkim, albo po prostu nic cię to nie obchodzi.

–Ani jedno, ani drugie. Zupełnie się pogubiłem. Quaid chrząknął i wyjął paczkę tanich papierosów. Znów coś tu nie pasowało. Paliło się gauloisy, camele lub wcale.

–Nie uczą tutaj prawdziwej filozofii – stwierdził Quaid z wyraźną pogardą.

–Taaak?

–Dają nam kawałek Platona, kęs Benthama, i to bez prawdziwej analizy.

Oczywiście na pozór wszystko jest w porządku. Przypomina to zwierzę, dla nie wtajemniczonych nawet trochę pachnie jak zwierzę.

–Jakie zwierzę?

–Filzofia. Prawdziwa Filozofia. To zwierzę, Stephen. Nie uważasz?

–Nie...

–Jest dzika. Gryzie. – Nagle uśmiechnął się podstępnie. Tak. Gryzie – powtórzył.

Wyraźnie go to cieszyło. Ponownie rzucił:

–Gryzie.

Stephen kiwnął głową, choć nie zrozumiał metafory.

–Uważam, że powinniśmy zostać zmiażdżeni naszym przedmiotem – Quaid wyraźnie się ożywił. – Powinniśmy bać się dżungli idei, o których moglibyśmy dyskutować.

–Dlaczego?

–Bo gdybyśmy byli prawdziwymi filozofami, nie obchodziłyby nas przyjemności życia uniwersyteckiego. Nie żonglowalibyśmy semantyką, nie stosowalibyśmy sztuczek językowych dla ukrywania najważniejszych problemów.

–A co byśmy robili?

Steve zaczął czuć się jak prostaczek. Quaid nie żartował. Twarz miał napiętą, maleńkie źrenice zwężyły się jeszcze bardziej.

–Podchodzilibyśmy do zwierzęcia, prawda, Steve? Próbowalibyśmy je dotknąć, pogłaskać, napić mlekiem.

–Czym... no... czym jest to zwierze? Prozaiczność pytania trochę zdenerwowała Quaida.

–Przedmiotem każdej wartościowej filozofii, Stephen. Boimy się go, bo go nie rozumiemy. To mrok za drzwiami.

Steve pomyślał o drzwiach. Pomyślał o mroku. Zaczął rozumieć, do czego pokrętnie zdąża Quaid. Filozofia była sposobem rozmawiania o strachu.

–Omawialibyśmy najbardziej skryte zakątki dusz – powiedział Quaid. – Nie robiąc tego – ryzykujemy... Quaid nagle zamilkł.

–Czym?

Quaid wpatrywał się w pustą szklaneczkę, jakby usiłował ujrzeć ją znowu pełną.

–Chcesz jeszcze jedną? – zapytał Steve, modląc się, by odmówił.

–Czym ryzykujemy? – Quaid powtórzył pytanie. – Cóż, jeśli nie wyruszymy na poszukiwanie bestii... Steve domyślał się już, jaka będzie konkluzja.

–... to wcześniej czy później ona przyjdzie i znajdzie nas.

Nie ma nic bardziej fascynującego niż lek. Dopóki obok jest drugi człowiek.

Przez następny tydzień czy dwa Steve wypytywał czasem o tajemniczego pana Quaida.

Nikt nie znał jego imienia.

Nikt nie wiedział dokładnie, ile ma lat. Według jednej z sekretarek przekroczył trzydziestkę i było to niespodzianką.

Cheryl słyszała, jak mówił, że jego rodzice nie żyją. Chyba zostali zabici. Tylko tyle wiedziano o Quaidzie.

* * *

–Wiszę ci drinka – powiedział Steve, dotykając ramienia Quaida. Ten obejrzał się, jakby coś go ugryzło. –Brandy?

–Dzięki.

Steve zamówił napoje.

–Przestraszyłem cię?

–Rozmyślałem.

–Żaden filozof się bez tego nie obejdzie.

–Bez czego?

–Mózgu.

Zaczęli rozmawiać. Steve nie wiedział, dlaczego podszedł do Quaida. Facet był przecież dziesięć lat starszy od niego, a jeśli chodzi o intelekt... cóż, przybyli z różnych bajek. Onieśmiał Steve'a, co uczciwie trzeba przyznać. Grace czuł się zmieszany bezlitosnym mówieniem Quaida o zwierzęciu, mimo to było mu mało; mało metafor, mało poważnego głosu stwierdzającego, jakich bezużytecznych mają tu wykładowców i jak słabych studentów.

W świecie Quaida nie było pewników. Nie miał świeckich guru ani żadnej religii. Niezdolny był do wyzbycia się cynizmu w podejściu do jakiegokolwiek systemu politycznego czy filozoficznego.

Choć śmiał się rzadko, to Steve wyczuwał jednak gorzki humor w jego widzeniu świata. Według Quaida ludzie to owce i jagnięta, wypatrujące nie istniejących pasterzy. W mrokach otaczających owczarnię istniały jedynie leki skupiające się na niewinnym stadzie.

Wątpić trzeba we wszystko, bo nie istnieje nic poza lękiem.

Arogancja intelektualna Quidabyła ożywcza. Steve szybko pokochał obrazoburczą łatwość, z jaką tamten obalał jedno wierzenie po drugim. Czasem czuł ból, gdy któryś z jego dogmatów zostawał rozniesiony niezbitymi argumentami Quaida. Jednak po kilku tygodniach radowały Steve'a nawet odgłosy takiego rozbijania. Czuł się wolny.

Naród, rodzina, kościół, prawo. Wszystko spopieliałe, bezużyteczne. Wszystko to oszustwa, krępujące i duszące.

Jest tylko lęk.

–Ja się lękam, ty się lękasz, my się lękamy. – Quaid uwielbiał gadać. – On, ona, ono się lęka. Nie ma na świecie świadomej istoty, dla której lęk nie byłby bliższy niż bicie jego serca.

Jedną z ulubionych ofiar Quaida była inna studentka filozofii i literatury

angielskiej, Cheryl Fromm. Jego oburzające uwagi działały na nią jak płachta na byka i gdy szli w dyskusji na noże, Steve obserwował to, traktując jak świetne widowisko. Według określenia Quaida, Cheryl była patologiczną optymistką.

–A ty jesteś pełen gnoju – twierdziła o swoim interlokutorze dziewczyna. – Co kogo obchodzi, że boisz się własnego cienia? Ja się nie lękam.

Wyglądała na to. Była jak marzenie.

–Wszyscy czasem czujemy lęk – odpowiadał Quaid, przyglądając się jej uważnie wodnistymi oczami i czekając na jej reakcję. Steve był pewien, że stara się znaleźć jej słaby punkt.

–Nie ja.

–Żadnych strachów? Żadnych koszmarów?

–Najmniejszych. Mam dobrą rodzinę; nikt nie schował szkieletu w mojej szafie. Nie jadam mięsa, nie czuję się więc winna, mijając rzeźnie. Nie muszę niczego skrętnie ukrywać. Czy to znaczy, że nie istnieje?

–To znaczy – oczy Quaida zwężyły się jak u węża – że twoja świadomość kryje coś wielkiego.

–Wracamy do koszmarów.

–Wielkich koszmarów.

–Bądź dokładny; określ bliżej swoje terminy.

–Nie wiem, czego się boisz?

–To powiedz, czego sam się lękasz. Quaid zawahał się.

–To poza dyskusją.

–Poza dyskusją to może być mój tyłek! Steve uśmiechnął się bezwiednie.

Tyłeczek Cheryl napewno był poza dyskusją. Można było tylko klęknąć i czcić go. Quaid odzyskał już wigor.

–Moje leki są sprawą osobistą. Nic nie znaczą w szerszym kontekście. Ich oznaki, obrazy używane przez mózg po to, by wyrazić obawy, są niczym w porównaniu z prawdziwą zgrozą, będącą podstawą mojej osobowości.

–Ja mam wspomnienia z dzieciństwa, które powodują, że myślę o... – Steve przerwał, żałując, że zdobył się na takie wyznanie.

–O czym? – spytała Cheryl. – Chodzi ci o nieprzyjemne doświadczenia? Upadek z roweru czy coś w tym rodzaju?

–Może – odparł Steve. – Czasami o tym myślę. Jest to zupełnie niezamierzone. Jakby mózg przełączał się na nie automatycznie.

Quaid chrząknął z zadowoleniem.

–Dokładnie.

–Pisał o tym Freud – powiedziała Cheryl.

–Kto?

–Freud – powtórzyła Cheryl, tym razem dobitnie, jakby pouczała dziecko. – Zygmunt Freud; może o nim słyszałeś.

Quaid wyduł wargi w wyraźnej pogardzie.

–Manie nie są odpowiedzią. Prawdziwa groza tkwiąca we mnie, w nas wszystkich, jest starsza od osobowości. Lek istniał, nim zaczęliśmy postrzegać siebie jako

jednostki. Kruszyna ukryta w łonie matki też już czuje strach.

–Pamiętasz to? – spytała Cheryl.

–Może... – odparł Quaid ze śmiertelną powagą.

–Z łona?

Quaid lekko się uśmiechnął. Steve odczytał to jako: "Wiem o tym, czego ty nie wiesz".

Był to złośliwy, nieprzyjemny uśmieszek. Steve wolałby go nie widzieć.

–Jesteś kłamcą – powiedziała Cheryl wstając i patrząc z góry na Quaida.

–Może i jestem – odparł nagle szarmancko.

Zakończyło to ich spory.

Nie rozmawiali już o koszmarach, nie dyskutowali o rzeczach czających się w nocy. Przez następny miesiąc Steve rzadko widywał Quaida, a ilekroć go spotykał, ten był zawsze w towarzystwie Cheryl Fromm. Quaid stał się dla niej uprzejmy, nawet nadskakujący. Nie nosił już skórzanej kurtki, bo Cheryl nie znosiła zapachu resztek zwierzęcia. Ta nagła zmiana w ich stosunkach zdumiewała Stephena; tłumaczył ją jednak swoją małą znajomością spraw seksu. Nie był prawiczkim, lecz kobiety nadal stanowiły dla niego tajemnicę; były pełne sprzeczności.

Był zazdrosny, choć nigdy by się do tego nie przyznał. Nie podobało mu się, że Cheryl – ideał z jego snów erotycznych – poświęca tyle czasu Quaidowi.

Czuł coś jeszcze; miał dziwne wrażenie, iż z jakichś nieznanых przyczyn Quaid umizguje się do Cheryl. Na pewno nie chodziło mu o łóżko. Nie pociągała go też inteligencja

Cheryl – Nie zależało mu na niej – Steve czuł to podświadomie. Cheryl Fromm była szczenię jak zwierzę na polowaniu. Po miesiącu Quaid podczas rozmowy rzucił uwagę o Cheryl:

–Jest wegetarianką.

–Cheryl?

–Oczywiście.

–Wiem. Wspominała o tym.

–Tak, ale to nie kaprys. Bardzo się tym przejmuję. Nie znosi nawet patrzenia na wystawę rzeźnika. Nie dotyka mięsa, nie lubi jego zapachu...

–Aha. – Steve zastanawiał się, do czego to prowadzi.

–Lęk, Steve.

–Przed mięsem?

–Oznaki są różne. Lęka się mięsa. Ma się za taką zdrową, taką zrównoważoną. Bzdura! Dowiem się...

–O czym?

–O lęku, Steve.

–Nie chcesz chyba jej... – Stevenie wiedział, jak bez cienia oskarżenia wyrazić swój niepokój.

–Skrzydźć? – dopowiedział Quaid. – Nie, ani trochę. Jeśli coś się jej stanie, to wyłącznie z jej własnej winy. Quaid patrzył na niego niemal hipnotycznie.

–Pora, byśmy sobie zaufali – powiedział. Nachylił się bliżej. – Między nami...

–Czekaj, nie chcę o tym słyszeć.

–Steve, musimy dotknąć zwierzęcia.

–Do diabła ze zwierzęciem! Nie chcę słuchać! Steve wstał, zarówno po to, by wyrwać się spod władzy spojrzenia Quaida, jak i dla zakończenia rozmowy.

–Jesteśmy przyjaciółmi, Stephen.

–Tak...

–Przestrzegaj więc tego.

–Czego?

–Milczenia. Ani słowa.

Steve kiwnął głową. Taką obietnicę łatwo mógł dotrzymać. Nie było nikogo, komu mógłby zdradzić swoje obawy bez groźby wyśmiania.

Quaid wyglądał na zadowolonego. Wyszedł szybko, a Steve miał poczucie, jakby wbrew woli wstąpił do jakiegoś tajnego związku, o którego celach nie miał najmniejszego pojęcia. Quaid zawarł z nim przymierze i to było denerwujące.

W następnym tygodniu Steve opuścił wszystkie wykłady i większość seminariów. Nie robił notatek, nie czytał lektur, nie pisał prac. Tylko dwa razy wszedł do budynku uniwersytetu, ale wówczas przekradał się ostrożnie jak mysz, uważając, by nie natknąć się na Quaida.

Nie musiał się bać. Raz tylko dostrzegł Quaida, gdy ten na dziedzińcu wymieniał uśmiechy z Cheryl Fromm. Śmiała się dźwięcznie, jej głos odbijał się echem od ścian Wydziału Historii. Steve nie był już zazdrosny. Nie powinien był tak zabiegać o kontakty z Quaidem, o wejście z nim w zażyłość.

Czas spędzony samotnie, poza wykładami i rojnymi korytarzami, pozwalał Steve'owi na rozmyślania.

Wracał myślami do swojego dzieciństwa.

W wieku sześciu lat Steve wpadł pod samochód. Obrażenia nie były groźne, lecz od wstrząsu niemal ogłuchł. Działo to na niego bardzo przygnębiająco, nie rozumiał, czemu nagle został odcięty od świata. Była to niewytłumaczalna męka, która dla dziecka wydawała się ciągnąć w nieskończoność.

Jego życie było prawdziwe, pełne krzyków i śmiechu. Potem w jednej chwili został od tego odsunięty, świat zewnętrzny stał się akwariem pełnym dyszących, uśmiechających się groteskowo ryb. Co gorsza, niekiedy dzwoniło mu w uszach. Głowę wypełniały mu bardzo dziwne odgłosy, krzyki i gwizdy, które odbierał jak muzykę odbijającą falowanie świata zewnętrznego. W tych chwilach przewracało mu się w żołądku, a wokół skroni zaciskała się żelazna obręcz, rozbijająca mu myśli na kawałki. Ogarniała go panika; dopóki w głowie mu śpiewało i grzechotało, nie był w stanie dostrzec w świecie sensu.

Najbardziej przerażające były noce. Budził się czasem w swojej sypialni, która pozornie koła jego lęki, cały mokry od potu. Otwierał gwałtownie oczy. Pełen był ochryplego zgiełku, tonął w nim bez nadziei na ratunek. Nic nie mogło uciszyć hałasu i wydawało się, że nigdy już nie wróci do świata mowy, śmiechu i krzyku.

Był sam.

Taki był początek, środek i koniec lęku. Samotność. Zupełnie sam. Zamknięty w

domu, w pokoju, w głowie, był więźniem głuchego, ślepego ciała.

Było to niemal nie do zniesienia. Chłopiec czasem płakał w nocy, nie wiedząc, że to robi, a czujni rodzice zapalali światło i przychodzili mu na pomoc. Pochylali nad łóżkiem wielkie twarze, wykrzywiając brzydko bezgłośnie usta w próbach pocieszenia. W końcu ich dotknięcia uspokajały go, a z czasem matka nauczyła się rozpraszać ogarniającą go panikę.

Na tydzień przed siódmymi urodzinami wrócił mu słuch, niezbyt dobry, lecz mimo to wydał mu się cudem. Świat wrócił na swoje miejsce, życie zaczęło się na nowo.

Dopiero po kilku miesiącach chłopiec ponownie uwierzył swoim zmysłom. Ciągle budził się w nocy, jakby oczekując odgłosów w głowie.

Teraz uszy Steve'a reagowały na najcichszy dźwięk, powstrzymując go przed chodzeniem z innymi studentami na koncerty rockowe.

Oczywiście, pamiętał. Bardzo dobrze. Mógł przywołać smak paniki, poczuć na głowie żelazną obręcz. Strach przed ciemnością i przed odosobnieniem pozostał na zawsze.

Czyż jednak wszyscy nie czują strachu przed samotnością? Całkowitą samotnością.

Steve czuł teraz inny lęk, znacznie trudniejszy do pokonania.

Quaid.

Kiedyś po pijanemu opowiedział Quaidowi o swoim dzieciństwie, głuchocie, nocnych zmorach.

Wiedząc o jego słabości, Quaid miał otwartą drogę do samego jądra lęku Steve'a. Miał na niego broń, bat, którego mógł zawsze użyć. Może dlatego właśnie Grace nie zdecydował się na rozmowę z Cheryl (czy zamierzał ją ostrzec?) na pewno jednak z tego powodu unikał Quaida. A ten coraz bardziej wyglądał na chorego. Sprawiał wrażenie, że choroba tkwi w nim głęboko, bardzo głęboko.

Może to miesiące przyglądania się ludziom w absolutnej ciszy uczyliły Steve'a na drobne spojrzenia, skrzywienia ust i uśmieшки przemykające po twarzach innych. Wiedział, że życie Quaida to labirynt pełen groźnych tajemnic.

Następny etap poznawania przez Steve 'a tajemnego świata Quaida nastąpił po przeszło trzech miesiącach. Nadeszły letnie wakacje i studenci rozjechali się. Steve jak zwykle zaczął pracować w drukarni ojca. Długie, wyczerpujące fizycznie godziny były dlań wielką ulgą. Uniwersytet przeładował mu umysł, chłopak czuł się utuczony na siłę słowami i ideami. Pracując w drukarni, wypocił je wszystkie, uporządkował zamęt w głowie.

Był to dobry okres, Steve prawie wcale nie myślał o Quaidzie.

Wrócił na uniwersytet pod koniec września. Studentów było jeszcze niewiele. Większość zajęć miała się zacząć w następnym tygodniu. Brak rozgadanej, flirtującej młodzieży wywoływał pewną melancholie.

Steve był w bibliotece i zamawiał kilka ważnych książek, nim dopadną je inni studenci. Na początku semestru, kiedy to ogłaszano już listy lektur, a księgarnia uniwersytecka twierdziła niezmiennie, że konieczne pozycje są zamówione, książki były na wagę złota. Najważniejsze tytuły przybywały z reguły w dwa dni po dacie

zajęć, na które były potrzebne. Będąc już na ostatnim roku, Steve postanowił, że zawczasu postara się o kilka pozycji znajdujących się w bibliotece.

Nagle usłyszał znajomy głos.

–Wcześniej zabierasz się do pracy. Steve spojrzał w maleńkie oczy Quaida.

–Zdumiewasz mnie, Steve.

–Czym?

–Zapalem do pracy.

–Ach!

–Czego szukasz? – uśmiechnął się Quaid.

–Czegoś Benthama.

–Mam "Zasady moralności i prawodawstwa". Może być? "To pułapka. Nie, co za absurd. Proponuje książkę, jak taki zwykły gest mógłby być pułapką?"

–Przypomniałem sobie – rzekł tamten z jeszcze szerszym uśmiechem – że to chyba książka z biblioteki. Dam ci ją.

–Dzięki.

–Miałeś dobre wakacje?

–Tak. Dziękuję. A ty?

–Bardzo korzystne.

Uśmiech zniknął z zaciśniętych ust.

–Zapuściłeś wąsy.

Nie wyglądały dobrze. Rzadkie, nierówne i jasne, skręcały się pod nosem Quaida, jakby w próbie ucieczki z jego twarzy. Quaid wyglądał na trochę zmieszanego.

–Czy to dla Cheryl?

Był teraz wyraźnie zmieszany.

–No...

Zmieszanie zostało przytłoczone przez coś innego.

–Mam wspaniałe zdjęcia – powiedział Quaid.

–Jakie zdjęcia?

–Z wakacji.

Steve nie wierzył własnym uszom. Czyżby Cheryl Fromm poskromiła Quaida?

Wakacyjne zdjęcia?

–Niektóre pewnie by cię zdziwiły.

Quaid przypominał trochę Araba sprzedającego brudne pocztówki. "Co, u diabła, jest na tych zdjęciach? Goła Cheryl czytająca Kanta?"

–Nie wiedziałem, że jesteś fotografem.

–Stało się to moją pasją.

Uśmiechnął się mówiąc "pasją". Z trudem powstrzymywał podniecenie. Cały płonął z radości.

–Musisz przyjść je obejrzeć.

–Ja...

–Dziś wieczorem. Przy okazji weźmiesz Benthama.

–Dzięki.

–Wynająłem dla siebie dom. Tuż za szpitalem położniczym, na Pilgrim Street.

Numer sześćdziesiąt cztery. Może po dziewiątej?

–Zgoda. Dziękuję. Nie wiedziałem, że na Pilgrim Street są domy mieszkalne.

–Numer sześćdziesiąty czwarty.

Pilgrim Street podupadła. Większość domów to były ruiny. Kilka dopiero co się zawaliło. Widać było ich ściany wewnętrzne; różowe i bladozielone tapety. Kominki na piętrze wisiały nad dziurami otoczonymi ceglami. Schody prowadziły znikąd donikąd, wszystko zarastało chwastami.

Wzdłuż numeru sześćdziesiątego czwartego patrolował swój teren trójnogi, biały pies, pozostawiając na znak swej własności ślady moczu.

Dom Quaida, choć daleko mu było do pałacu, wyglądał znacznie przytulniej od okolicznych ruder.

Wypili trochę przyniesionego przez Steve'a, kiepskiego czerwonego wina, potem palili trawkę. Steve nie widział jeszcze Quaida takiego łagodnego. Chemie gawędził o głupstwach, zamiast o lękach; opowiedział nawet świński kawał.

Wnętrze domu było niemal spartańskie, bez obrazów na ścianach i jakichkolwiek ozdób. Książki Quaida, a były ich setki, piętrzyły się na podłodze bez żadnego dostrzegalnego dla Steve'a porządku. Kuchnia i łazienka uderzały swoją skromnością. Całość wyglądała niemal jak wnętrze klasztoru.

Po kilku beztroskich godzinach odezwała się ciekawość Steve'a.

–Gdzie masz te wakacyjne zdjęcia? – zapytał, czując, że język trochę mu się plącze.

–To taki mój eksperyment.

–Eksperyment?

–Mówiąc prawdę, Steve, nie jestem pewien, czy powinienem ci je pokazywać.

–Dlaczego?

–To poważna sprawa, Steve.

–A ja się nie nadaję do poważnych spraw, to chciałeś powiedzieć?

Steve ulegał sztuczkom Quaida, choć widział wyraźnie, do czego ten zmierza.

–Nie powiedziałem, że się nie nadajesz...

–Co to za cholerna sprawa?

–Obrazki.

–Aha.

–Pamiętasz Cheryl? "Zdjęcia Cheryl. Ha!"

–Jak mógłbym zapomnieć?

–Nie wróci na zajęcia.

–Och!

–Miała objawienie. – Quaid patrzył jak bazyliiszek.

–Co masz na myśli?

–Zawsze była taka spokojna, prawda? – Quaid mówił o niej, jakby nie żyła. – Spokojna, zimna i opanowana.

–Tak, chyba rzeczywiście.

–Biedna suka. Potrzebowała jedynie dobrego rżnięcia.

Steve uśmiechnął się niepewnie, jak dziecko, na plugawe słowa Quaida. Był

trochę zaszokowany. To tak, jakby zobaczył nauczyciela z przyrodzeniem zwisającym z rozporoka.

–Spędziła tu część wakacji.

–Tutaj?

–W tym domu.

–A więc ją lubisz?

–Niedouczona krowa. Jest pretensjonalna, słaba i głupia. Ale nie dałaby, nie dałaby za grosz.

–Czego nie dałaby, dupy?

–Och nie, zerwałaby majtki, nim by nawet na ciebie spojrzała. Nie dałaby poznać, że ma lęki. Ta sama stara śpiewka.

–Namówiłem ją jednak, po jakimś czasie.

Quaid wyciągnął pudełko zza sterty książek filozoficznych. W środku był plik czarno-białych zdjęć, powiększonych do formatu podwójnej pocztówki. Podał Steve'owi pierwsze.

–Widzisz, Steve, zamknąłem ją – Quaid mówił bez emocji, jak spiker czytający wiadomości. – Chciałem sprawdzić, czy zdołam ją skłonić do odsłonięcia leków.

–Jak to: zamknąłeś?

–Na górze.

Steve poczuł się dziwnie. Słyszał, jak coś śpiewa mu w uszach, bardzo cicho. Podłe wino zawsze powodowało u niego dzwonienie w głowie.

–Zamknąłem ją na górze – powtórzył Quaid – w ramach eksperymentu. Dlatego wynająłem ten dom. Nie ma tu żadnych podsłuchujących sąsiadów.

–Sąsiadów podsłuchujących co? – Steve spojrzał na trzymane przez siebie zdjęcia.

–Ukryty aparat – powiedział Quaid. – Nie domyśliła się nigdy, że ją fotografowałem.

Zdjęcie pierwsze ukazywało mały, nijaki pokój. Kilka prostych mebli.

–To ten pokój. Na poddaszu. Ciepły. Nawet trochę duszny. Wytłumiony. Wytłumiony.

Quaid wyciągnął drugie zdjęcie.

Ten sam pokój. Większość mebli została usunięta. Pod ścianą leżał śpiwór. Stół. Krzesło. Goła żarówka.

–Przygotowałem to dla niej.

–Wygląda na celę. Quaid chrząknął.

Zdjęcie trzecie. Ten sam pokój. Na stole dzbanek z wodą. W kącie pokoju wiadro przykryte ręcznikiem.

–Po co to wiadro?

–Musiała siusiać.

–Tak.

–Wszystkie niezbędne rzeczy zapewnione – powiedział Quaid. – Nie zamierzałem zamienić jej w zwierzę.

Nawet po pijanemu Steve dostrzegł konkluzję Quaida. Nie zamierzał zamierać jej

w zwierze. Jednakże...

Zdjęcie czwarte. Na stole, na prostym talerzu kawałek mięsa. Wystaje z niego kość.

–Wołowina – wyjaśnił Quaid.

–Przecież jest wegetarianką.

–No to co? To lekko osolona, dobrze wypieczona wołowina.

Zdjęcie piąte. Ten sam pokój. W nim Cheryl. Drzwi są zamknięte. Wali w nie nogami i pięściami, twarz wykrzywia wściekłość.

–Zaniosłem ją do pokoju koło piątej rano. Spała. Przeniosłem ją przez próg. Bardzo romantycznie. Nie miała najmniejszego pojęcia, o co chodzi.

–Zamknąłeś ją tam?

–Oczywiście. Eksperyment.

–Nic o nim nie wiedziała?

–Rozmawialiśmy o lękach, znasz mnie. Wiedziała, co chcę odkryć. Wiedziała, że potrzebuję królika doświadczalnego. Szybko się połapała. Uspokoila się, gdy zrozumiała, co robię.

Zdjęcie szóste. Cheryl siedzi w kącie pokoju, rozmyśla.

–Myślała chyba, że mnie przetrzyma. Zdjęcie siódme. Cheryl patrzy na udziec wołowy leżący na stole.

–Ładna fotka, nie sądzisz? Zauważ wyraz niesmaku na jej twarzy. Nie znosi nawet zapachu gotowanego mięsa. Oczywiście nie była jeszcze głodna.

Ósme: śpi.

Dziewiąte: siusia. Steve czuł się nieswojo, patrząc na dziewczynę przykucniętą nad wiadrem, z majtkami wokół kostek. Łzy na twarzy.

Dziesiąte: pije wodę z dzbanka.

Jedenaste: ponownie śpi, zwrócona plecami do pokoju, skulona jak płód.

–Jak długo była w tym pokoju?

–To dopiero czternasta godzina. Bardzo szybko straciła poczucie czasu. Widzisz, światło się nie zmienia. Niedługo to trwało, zanim rozregulował się jej zegar wewnętrzny.

–Jak długo tam była?

–Dopóki nie dowiodłem tezy.

Dwunaste: obudzona, krąży wokół mięsa leżącego na stole, patrzy na nie ukradkiem.

–Zrobione następnego ranka. Spałem, lecz aparat robił zdjęcia co kwadrans. Spójrz na jej oczy...

Steve przyjrzał się zdjęciu uważniej. Na twarzy Cheryl dostrzegł oznaki rozpacz, nieprzytomny, dziki wzrok. Wpatrywała się w mięso, jakby starała się zahipnotyzować.

–Wygląda na chorą.

–Jest zmęczona, to wszystko. Spała dużo, ale to jeszcze bardziej ją wyczerpywało. Nie wie już, czy to dzień, czy noc. I jest oczywiście głodna. Minęło półtora dnia. Czuje coś więcej, niż tylko ssanie w żołądku.

Trzynaste: znowu śpi, skulona jeszcze mocniej, jakby chciała połknąć samą siebie.

Czternaste: pije wodę.

–Wymieniłem dzbanek w czasie jej snu. Spała głęboko; mogłem wnieść dzbanek tak, że się nie obudziła. Stracona dla świata. – Wyszczерzył zęby.

"Oszalał – pomyślał Steve – musiał oszaleć".

–Tu śmierdziało. Wiesz, jak kobiety czasem pachną; nie potem, lecz czymś innym. Ciężki zapach, zawiesisty. Krwisty. Przybyła tu przed okresem. Nie planowałem tego.

Piętnaste: dotyka mięsa.

–Zaczyna się łamać – powiedział Quaid z lekkim tryumfem w głosie. – To początek lęku.

Steve przyjrzał się zdjęciu uważniej. Było nieostre, lecz dziewczyna cierpiała, to pewne. Twarz wykrzywiona w odrazie i pragnieniu, ręka dotyka jedzenia.

Szesnaste: dziewczyna jest znowu przy drzwiach, rzuca się na nie całym ciałem. Usta wykrzywione złością są czarną plamą. Coś krzyczy do gładkich desek.

–Co jakiś czas wygłaszała pod moim adresem krótką mówkę.

–Jak długo już tam jest?

–Kończy się trzeci dzień. Patrzysz na głodną kobietę.

Nietrudno było to dostrzec. Na następnym zdjęciu stała spokojnie na środku pokoju, odwracała oczy od jedzenia, ciało miała napięte w rozterce.

–Głodziłeś ją.

–Mogła bez trudu wytrzymać dziesięć dni bez jedzenia. Posty występują w każdym cywilizowanym kraju. Sześćdziesiąt procent Brytyjczyków jest chorobliwie otyłych. Ona też była za gruba.

Osiemnaste: dziewczyna siedzi zapłakana w kącie pokoju.

–Zaczynała mieć halucynacje. Mała odchyłka psychiczna. Zdawało się jej, że coś czuje we włosach albo na grzbiecie dłoni. Widziałem czasem, jak patrzy w powietrze, obserwując coś.

Dziewiętnaste: myje się. Rozebrała się do pasa, ma obwisłe piersi; twarz bez wyrazu. Mięso jest ciemniejsze niż na poprzednich zdjęciach.

–Myła się regularnie. Co dwanaście godzin szorowała się od stóp do głów.

–Mięso wygląda na...

–Zgniłe?

–Ciemniejsze.

–W tym małym pokoiku było dość ciepło, znalazło się tam też kilka much. Wyczuły mięso; złożyły jajeczka. Tak, ładnie już zgniło.

–To było częścią twego planu?

–Oczywiście. Jeśli odpychało ją świeże mięso, to jaką odrazę musiało budzić zgniłe? To sedno jej dylematu, prawda? Im dłużej zwleka z jedzeniem, tym bardziej odstręcza ją od tego, co musi zjeść. Z jednej strony trapi ją lęk przed mięsem, z drugiej strach przed śmiercią. Któremu ulegnie wcześniej?

Steve wydawał się być złapany w nie mniejszą pułapkę.

Z jednej strony żart posunął się zbyt daleko, eksperyment Quaida przekształcił się

w pokaz sadyzmu. Z drugiej, pragnął wiedzieć, czym to się wszystko skończyło. Przyglądanie się cierpiącej kobiecie niewątpliwie go pociągało.

Następne siedem zdjęć – dwudzieste, dwudzieste pierwsze, drugie, trzecie, czwarte, piąte i szóste ukazywało ciąg tych samych wydarzeń. Spanie, mycie się, siusianie, patrzenie na mięso. Spanie, mycie się, siusianie...

Dwudzieste siódme.

–Widzisz?

–Podnosi mięso.

–Tak, bierze je. Kawalek mięsa wygląda na dobrze już przegniły, pełen jajek much.

–Gryzie je.

Na następnym zdjęciu twarz zanurzona w mięsie.

Steve czuł w gardle smak zgniłego mięsa. "Jak mogła to zrobić?"

Dwudzieste dziewiąte: wymiotuje do wiadra w kącie pokoju.

Trzydzieste: siedzi, patrząc na stół. Pusty. Dzbanek z wodą wala się pod ścianą, talerz rozbity. Mięso leży na podłodze w stanie rozkładu.

Trzydzieste pierwsze: śpi. Głowa wtulona w ramię. Trzydzieste drugie: stoi. Znow patrzy na kuszące ją mięso. Na twarzy wyraźnie rysuje się głód. I wstręt. Trzydzieste trzecie. Śpi.

–Ile to trwało? – zapytał Steve.

–Pięć dni. Nie, sześć.

–"Sześć dni".

Trzydzieste czwarte. Jej postać jest zamazana, widocznie miota się pod ścianą. Może wali w nią głową, Steve nie był pewien. Nie zapytał. Coś w nim nie chciało wiedzieć.

Trzydzieste piąte: ponownie śpi, tym razem pod stołem. Śpiwór jest rozdarty na strzępy, kawałki tkaniny i wyściółki wypełniają pokój.

Trzydzieste szóste: mówi do drzwi, chociaż wie, że nie otrzyma odpowiedzi.

Trzydzieste siódme: je zepsute mięso.

Siedzi spokojnie pod stołem jak pierwotny człowiek w jaskini i rwie mięso siekaczami. Twarz ma znow bez wyrazu. Całą energię poświęca zadaniu chwili. Jedzeniu.

Steve wpatrywał się w zdjęcie.

–Zdumiało mnie – mówił Quaid -jak nagle się poddała. To był moment. Chwile wcześniej wydawała się równie odporna jak przedtem. Jej mówka pod drzwiami była zwykłą mieszaniną grózb i przeprosin, jaką raczyła mnie co dzień. Potem przerwała. Jak widzisz, kucnęła pod stołem i zjadła mięso do kości, jakby była to wyborowa porcja.

Trzydzieste ósme: śpi. Drzwi są otwarte. Wpada przez nie światło.

Trzydzieste dziewiąte: pokój jest pusty.

–Dokąd poszła?

–Zeszła na dół. Poszła do kuchni, wypita kilka szklanek wody i przez trzy czy cztery godziny siedziała bez słowa na krześle.

–Czy coś do niej mówiłeś?

–W końcu tak. Gdy zaczęła wychodzić z odrętwienia. Eksperyment się skończył. Nie chciałem jej skrzywdzić.

–Co powiedziała?

–Nic.

–Nic?

–Zupełnie nic. Przez dłuższy czas myślałem, że nie zauważa mojej obecności.

Potem upiekłem kilka ziemniaków Zjadła je.

–Nie próbowała wezwać policji?

–Nie.

–Nie musiałeś używać przemocy?

–Nie. Wiedziała, co chciałem zrobić i dlaczego to uczyniłem. Nie było to wcześniej uzgadniane, ale rozmawialiśmy o takich eksperymentach czysto teoretycznie. Nie stała się jej żadna krzywda. Może trochę straciła na wadze, ale to wszystko.

–Gdzie jest teraz?

–Wyjechała następnego dnia. Nie wiem dokąd.

–I czego to dowiodło?

–Może niczego. Lecz był to interesujący początek moich badań.

–Początek? Zaledwie początek? – W głosie Steve'a łatwo było odczytać pogardę dla Quaida.

–Stephen...

–Mogłeś ją zabić!

–Nie.

–Mogła zwariować. Oszaleć na zawsze.

–Możliwe. Lecz mało prawdopodobne. Była kobietą o silnej woli.

–Ale ją złamałeś.

–Tak. Była gotowa na takie doświadczenie. Rozmawialiśmy o stawieniu czoła jej lękowi. Ja tylko umożliwiłem to Cheryl. W gruncie rzeczy – nic wielkiego.

–Zmusiłeś ją do tego! Inaczej by się nie zdecydowała.

–Rzeczywiście. Była to dla niej nauczka.

–To teraz jesteś nauczycielem?

Steve wolałby usunąć sarkazm ze swego głosu, ale to mu się nie udało. W jego tonie słyhać było sarkazm, gniew i odrobinę lęku.

–Tak, jestem nauczycielem – odparł Quaid, patrząc z ukosa. – Uczę ludzi lęku. Steve patrzył na drzwi.

–Jesteś zadowolony z tego, czego nauczyłeś?

–I poznałem, Steve. Też się nauczyłem. To bardzo obiecująca dziedzina – badanie świata lęków. Zwłaszcza u stworzeń rozumnych. Nawet w obecnych, racjonalnych czasach...

Steve wstał.

–Nie chcę więcej tego słuchać.

–Ach tak? Dobrze.

–Jutro z samego rana mam zajęcia.

–Nie.

–Co?

–Nie. Nie idź jeszcze.

–Czemu? – Serce Steve'a było szaleńczo. Bał się Quaida, nigdy dotąd nie uświadamiał sobie, jak głęboko.

–Przyniosę ci jeszcze kilka książek.

Steve poczuł, że się rumieni. Lekko. Co sobie myślał? Że Quaid powali go chwytem judo i zacznie robić eksperymenty z lękiem?

Nie. Bzdurne myśli.

–Mam książkę Kierkegaarda, spodoba ci się. Na górze. Wracam za dwie minuty. Quaid wyszedł z uśmiechem.

Steve przysiadł i zaczął znów przerzucać zdjęcia. Najbardziej fascynowało go to, na którym Cheryl po raz pierwszy podnosi gnijące mięso. Wyraz jej twarzy w niczym nie przypominał znanej mu kobiety. Wypisana na niej była wątpliwość, zmieszanie i głęboki... lęk.

Lęk.

To słowo Quaida. Paskudne słowo. Nieprzyzwoite, będzie mu się teraz kojarzyć z Quaidem torturującym niewinną dziewczynę.

Przez chwilę pomyślał o wyrazie swej twarzy przy oglądaniu zdjęcia. Czy nie było i na niej takiego samego zmieszania? A może i odrobiny czekającego na wyzwolenie lęku.

Usłyszał za sobą jakiś szmer, zbyt cichy jak na Quaida.

Chyba, że się skradał.

–Boże, chyba, że się...

Nasycona chloroformem szmatka opadła na usta i nozdrza Steve'a. Nieświadomie wciągnął powietrze. Przed oczyma zawirowały mu czarne plamy. Powoli zapadał się w bezdenną otchłań. Jak z oddali słyszał stłumiony głos Quaida. Wymawiał jego imię.

–Stephen. Znowu.

–...ephen.

–...phen.

–...hen.

–...en.

Świat był mroczny, odpływał. Z oczu i z umysłu.

Steve padł ciężko na fotografię.

Po przebudzeniu nie mógł dojść do siebie. Ze wszystkich stron otaczała go ciemność. Leżał przez godzinę z otwartymi oczyma, nim zrozumiał, że nie są już zamknięte.

Badawczo poruszył rękoma i nogami, potem głową. Wbrew temu, czego się spodziewał, nie był związany. Jedynie wokół lewej kostki miał łańcuch, czy coś podobnego. Otarł sobie skórę, gdy poruszył się zbyt mocno.

Było mu niewygodnie. Macając dłońmi, zorientował się, że leży na wielkiej kracie. Przesunął ręce między prętami, szukając twardego podłoża. Znalazł tylko pustkę.

Zrobione przez Quaida w podczerwieni fotografie pokazywały uwięzionego Stephena. Zgodnie z przewidywaniami, badany obiekt zachowywał się całkiem

rozsądnie.

Nie histeryzował. Nie przeklinał. Nie płakał. W tym tkwiła przewaga tego właśnie obiektu. Wiedział dokładnie, co się dzieje, i reagował logicznie na własne obawy. Na pewno jego umysł będzie znacznie trudniej złamać niż w przypadku Cheryl.

Tym bardziej cenne będą wyniki, gdy zaczniesz pękać. Czyż nie otworzy wówczas swojej duszy, by Quaid mógł ją oglądać i dotykać? We wnętrzu człowieka kryło się tyle rzeczy, które pragnął badać.

Oczy Steve'a stopniowo przyzwyczajały się do ciemności.

Był chyba uwięziony w czymś w rodzaju szybu, który miał jakieś sześć metrów szerokości i był okrągły. Czy to kanał wentylacyjny tunelu lub jakiejś podziemnej fabryki? Umysł Steve'a analizował tereny wokół Pilgrim Street, starając się odnaleźć najbardziej prawdopodobne miejsca, w których mógł umieścić go Quaid. Nie potrafił wyszukać żadnego.

Nigdzie.

Był zagubiony w miejscu, którego nie potrafił rozpoznać. Wokół niego wznosiły się gładkie ściany. Ani śladu szczeliny czy dziury, na których można by zawiesić wzrok.

Najgorsze, że leżał rozciągnięty na kracie zawieszony nad tym szybem. Nie mógł przebić wzrokiem zalegającej pod nim ciemności; zdawała się nie mieć dna. Przed upadkiem chronił go jedynie cienki ruszt i słaby łańcuch. Steve wyobraził sobie, że wisi nad pustym, czarnym niebem.

Powietrze było ciepłe i stęchłe. Wysuszyło łzy, które nagle pojawiły mu się w oczach. Gdy zaczął wzywać pomocy, co uczynił zaraz po płaczu, ciemność bez trudu pochłaniała słowa.

Wrzeszcząc ochryple, leżał na metalowej kracie. Nie potrafił powstrzymać się przed myślą, że mrok panuje wszędzie, poza jego kruchym łóżem. Oczywiście bzdura. – Nic nie panuje wszędzie – powiedział na głos.

Nic nie trwa wiecznie.

Nigdy się jednak o tym nie dowie. Gdyby wpadł w całkowity mrok zalegający pod nim, spadałby i spadałby, nie widząc zbliżającego się dna szybu. Choć próbował myśleć o jaśniejszych, milszych sprawach, w głowie tkwił mu ciągle obraz jego ciała lecącego straszonym szybem; ciała znajdującego się pół metra nad jego dnem, ukrytym przed wzrokiem.

Póki w nie nie uderzy.

Czy ujrzy światło, gdy głowa pęknie mu przy upadku? Czy w chwili, gdy jego ciało zmieni się w potrzaskaną masę mięsa, zrozumie dlaczego żył i umarł?

Potem pomyślał: "Quaid by się nie ośmielił. Nie ośmielił!"

Potem, następna myśl, naprawdę paskudna. A jeśli Quaid wybrał to koliste piekło, bo nigdy nie będzie przeszukane, nigdy nie będzie zbadane? Może chce doprowadzić eksperyment do końca.

Do końca. Końcem tym jest śmierć. Czyż dla Quaida nie byłby to ostateczny eksperyment? Obserwowanie umierania człowieka; obserwowanie zbliżania się strachu przed śmiercią, podłoża wszystkich lęków. Sartre napisał, że żaden człowiek

nie doświadczy swojej śmierci. Czyż jednak poznawanie z bliska śmierci innych – patrzenie na gimnastykę umysłu, poprzez którą spróbuje na pewno umknąć gorzkiej prawdzie – nie jest kluczem do natury śmierci? Mogłoby to, choćby odrobinę, przygotować człowieka do własnej śmierci. Zastępcze przeżywanie lęku kogoś innego było najbezpieczniejszym, najsprytniejszym sposobem dotykania zwierzęcia.

"Tak – pomyślał – Quaid mógłby mnie zabić ze względu na własną grozę."

Steve zaczerpnął z tej myśli gorzką satysfakcję. Quaid, ten zimny eksperymentator, fałszywy guru, miał obsesję strachu, bo sam czuł głęboki lęk.

To dlatego musiał obserwować, jak inni radzą sobie z lękami. Potrzebował rozwiązania, wyjścia dla siebie.

Steve rozmyślał nad tym godzinami. W ciemnościach jego mózg był ruchliwy jak ręką, lecz chaotyczny. Przekonał się, że trudno mu dłużej skupiać się na jednym ciągu rozumowania. Jego myśli przypominały ryby, małe, szybkie rybki wymykające się z rąk, gdy tylko próbował je schwytać.

Jednakże ciągle pamiętał, że musi przechytrzyć Quaida. To na pewno. Musi być spokojny; udowodnić Quaidowi, że jako obiekt badań nie ma wartości.

Zdjęcia z owych godzin ukazywały Stephena leżącego na kracie, z zamkniętymi oczyma i lekko wykrzywioną twarzą. Paradoksalnie, czasem twarz rozjaśniał mu nikły uśmiešek. Czasem nie sposób było stwierdzić – śpi czy czuwa, myśli czy śni?

Quaid czekał.

Wreszcie oczy Steve'a zaczęły drgać pod powiekami, nieomylna oznaka snów. Obiekt spał, nadeszła pora dokręcenia śruby.

Steve obudził się z rękoma skutymi razem. Na talerzu obok siebie widział miskę z wodą; za nią stała druga pełna letniej, niesolonej owsianki. Z ochotą zjadł i napił się.

Po posiłku zauważył dwie rzeczy. Po pierwsze, odgłosy jedzenia huczały mu bardzo głośno w głowie; po drugie, poczuł wokół skroni coś krępującego.

Zdjęcia ukazywały Stephena sięgającego niezdarnie do głowy. Tkwiła ona w uprząży przytrzymującej mocno zatyczki w uszach, zapobiegające przedostawaniu się jakichkolwiek dźwięków.

Zdjęcia pokazały zdumienie. Potem gniew. Wreszcie strach.

Steve był głuchy.

Słyszał jedynie głosy w głowie. Szczęknięcie zębów. Cmokanie i przelykanie. Brzmiało to pod czaszką jak wystrzały.

Łzy trysnęły mu z oczu. Kopał w kratę, nie słysząc walenia pięty o metalowe pręty. Krzyczał aż do nadwerężenia gardła. Nie usłyszał swoich wrzasków.

Budziła się w nim panika.

Zdjęcia pokazywały jej narodziny. Twarz się zarumieniła, oczy rozszerzyły, w grymasie przerażenia odsłoniły się zęby i dziąsła.

Wyglądał jak przestraszona małpa.

Zalały go wszystkie znane z dzieciństwa uczucia. Pamiętał je jak twarze starych wrogów; drżące kończyny, pot, mdłości. W rozpaczę chwycił miskę z wodą i przykrył nią twarz. Wstrząs wywołany zimną wodą natychmiast uspokoił go. Steve położył się na kracie, wyciągnął i nakazał sobie oddychać głęboko i równo.

–Odpręż się, odpręż się, odpręż – powtarzał.

W głowie słyszał mlaskanie języka. Słyszał też, jak śluz spływa ospale w skurczonym paniką nosie, zatykając i od-tykając uszy. Mógł teraz wykryć niski, miękki syk czający się pod wszystkimi innymi dźwiękami. Głos jego umysłu.

Przypominało to jęk wydawany pod narkozą, odgłos rozbrzmiewający w uszach tuż przed zaśnięciem.

Jego kończyny nadal drgały nerwowo, już tylko na wpół świadomie walczył z kajdankami, nie zwracając uwagi na rany, jakie ich krawędzie ryły na przegubach rąk.

Zdjęcia dokładnie zarejestrowały wszystkie te reakcje. Jego walkę z histerią, próby zapobieżenia wypłynięciu na wierzch łęków. Jego łzy. Zakrwawione nadgarstki.

Wreszcie wyczerpanie pokonało panikę, często zdarza się to u dziecka. Ileż to razy zasypiał ze słonym smakiem łez w nosie i buzi, niezdolny do dalszej walki!

Zmęczenie podwyższyło ton głosów w głowie. Jego mózg zamiast nucić kołysankę, gwizdał i krzyczał.

Zapomnienie jest czymś dobrym.

Quaid był rozczarowany. Prędkość reakcji wskazywała wyraźnie, że Stephen Grace bardzo szybko się załamał. W zasadzie już się załamał, zaledwie po kilku godzinach eksperymentu. A Quaid liczył na Stephena. Po miesiącach przygotowań okazywało się, że ten obiekt traci rozum bez zdradzenia najmniejszej choćby wskazówki.

Quaid potrzebował tylko jednego słowa, jednego nędznego słowa. Małego znaku odsłaniającego naturę doznania. A jeszcze lepiej – czegoś podsuwającego rozwiązanie, leczniczego totemu, nawet modlitwy. Gdy umysł wpada w szaleństwo, na pewno wzywa Zbawcę? Musi coś być.

Quaid czekał jak sęp na miejscu masakry, licząc minuty pozostające dla wyczerpanej duszy, wypatrując swego kęsa.

Steve obudził się, leżąc twarzą do kraty. Powietrze było teraz znacznie bardziej stęchłe, metalowe pręty wżynały mu się w policzek. Było mu gorąco i niewygodnie.

Leżał spokojnie, czekając, aż oczy znowu przyzwyczają się do otoczenia. Linie kraty biegły w doskonałej perspektywie do ścian szybu. Obraz przecinających się pod kątem prostym prętów uderzył go swoim pięknem. Tak, pięknem. Steve biegł wzrokiem po liniach tam i z powrotem, aż go to zmęczyło. Znudzony przekręcił się na plecy, czując, że ruszt pod nim drga. Czy jest teraz mniej stabilny? Zdaje się trochę kołysać przy ruchach.

Zgrzany i spocony Steve rozpiął koszulę. Na piersiach miał krople śliny, lecz ich nie starł. No to co, że się ślini? Kto to zobaczy?

Ściągnął koszulę do połowy i jedną nogą zdjął but z drugiej-

Buty, kratownica, upadek. Niezdarnie połączył to w umyśle. Usiadł. Och, biedny but. Spadnie. Przeleci między prętami i będzie stracony. Ale nie. Stał balansując między dwoma otworami w kracie; mógłby go jeszcze uratować.

Sięgnął po swój biedny bucik i ten ruch przechylił kratę.

But zaczął się zsuwać.

–Proszę cię – błagał – nie spadnij. – Nie chciał tracić swego miłego buta, pięknego

buta. "Nie może spaść. Nie może spaść".

Gdy wyciągnął się, by go chwycić, but przechylił się piętą w dół i wpadł w ciemność.

Steve wydał krzyk straty, którego nie mógł usłyszeć.

Och, gdyby tylko mógł słyszeć upadek buta, liczyć sekundy jego lotu, zarejestrować odgłos uderzenia w dno szybu! Wiedziałby przynajmniej, jak długo spadałby przed śmiercią.

Nie mógł tego dłużej znieść. Przekręcił się na brzuch i opuścił przez kratę obie ręce, krzycząc:

–Też spadnę! Też spadnę!

Nie mógł znieść oczekiwania na upadek, w ciemności, w ciszy. Zapragnął lecieć za butem, w dół szybu, aż do zagłady, do zakończenia raz na zawsze całej tej gry.

–Spadnę! Spadnę! Spadnę! – skrzeczał. Krata, na której leżał poruszyła się, Coś się złamało. Pękła lina podtrzymująca kratę. Nie leżał już poziomo; zsuwał się po prętach strącających go w mrok.

Poczuł ze zgrozą, że nie jest już przykuty.

Spadnie.

Tamten czekał na jego upadek. Zły człowiek – jak się nazywa? Quake? Quail? Quarrel...

Zsunąwszy się dalej, instynktownie chwycił oburącz za kratę. Może jednak nie chce spaść, tak jak but? Może życie, dodatkowa chwila życia, warte jest trzymania się?

Mrok za brzegiem kraty jest taki głęboki; kto wie, co się w nim czai?

Głosy paniki w jego głowie nasiliły się. Mokre od potu dłonie trzymały coraz słabiej. Czyhała na niego grawitacja. Domagała się swoich praw do ciała; żądała, by spadło. Zerkając przez ramię w otwierającą się pod nim paszczę, miał przez chwilę wrażenie, że widzi rojące się tam potwory. Śmieszne kształty, ledwo naszkicowane, ciemne na mrocznym de. Straszliwe rysunki wypłynęły ze wspomnień dzieciństwa i wystawiły szpony, by złapać go za nogi.

–Mamo – powiedział, gdy zawiodły go dłonie i uległ lękowi.

–Mamo.

To to słowo. Quaid słyszał je wyraźnie w całej jego banalności.

–Mamo!

Steve uderzył w dno szybu, spadał znacznie krócej, niż mu się zdawało. Przed chwilą jego dłonie puściły kratę, a wiedząc, że ogarnia go mrok, przestawił umysł. Jego zwierzęca część odprężyła mięśnie, zapobiegając poważniejszym obrażeniom przy upadku. Reszta jego życia, wszystko poza najprostszymi reakcjami, została rozbita, kawałki schowały się po zakamarkach pamięci.

Gdy w końcu zabłysło światło, spojrzął na stojącą w drzwiach postać w masce Myszkki Miki i uśmiechnął się do niej. Był to uśmiech dziecka, pełen wdzięczności dla śmiesznego wybawcy. Pozwolił chwycić się za kostki i wywlec z wielkiego, okrągłego pokoju, w którym leżał. Miał mokro w spodniach, wiedział, że zlał się w czasie snu. Mimo to śmieszna Myszka mogła przecież go pocałować.

Podczas wyciągania z izby tortur głowa uderzyła o podłogę. Gdzieś niedaleko leżał but. Ponad dwa metry nad nim widział kratę, z której spadł. Nic mu nie mówiła.

Pozwolił Myszcze, by posadziła go w jasno oświetlonym pokoju. Pozwolił Myszcze przywrócić mu słuch, choć w gruncie rzeczy go nie potrzebował. Chętnie patrzył na świat bez dźwięków, pobudzało go to do śmiechu.

Napił się wody, zjadł kawałek słodkiego ciasta.

Był zmęczony. Chciał spać. Chciał do mamy. Mysz jednak chyba tego nie rozumiała, zapłakał więc i kopnął w stół, zrzucając na podłogę talerze i kubki. Potem pobiegł do sąsiedniego pokoju i rzucił w powietrze wszystkie znajdujące się tam papiery. Fajnie było patrzeć, jak spadają. Niektóre upadły stroną zapisaną do góry, niektóre czystą. Były też zdjęcia. Straszne zdjęcia. Na ich widok poczuł się bardzo dziwnie.

Wszystkie, co do jednego, przedstawiały zmarłych ludzi. Na części widać było małe dzieci, na innych starsze. Leżały lub na wpół siedziały, na twarzach i ciałach miały głębokie rany, rozcięcia ukazywały wnętrzności, mieszaninę jelit lśniących i mokrych. Wszędzie wokół były trupy. Nie w gładkich stosach, lecz porozrzucane, ze śladami palców, napisami, bardzo brudne.

Na trzech czy czterech zdjęciach było narzędzie, które spowodowało rany. Wiedział, jak się nazywa.

Topór.

Tkwił w twarzy kobiety, zagłębiony niemal po rękojeść. Był w nodze mężczyzny, inny leżał na podłodze kuchni obok martwego niemowlęcia.

Ten człowiek zbierał zdjęcia trupów i toporów, co według Steve' a było dziwne.

Była to jego ostatnia myśl przed dobrze znanym zapachem chloroformu wypełniającym mu głowę. Stracił przytomność.

Obskurne drzwi pachniały starym moczem i świeżymi wymiocinami. To on wymiotował, miał wszystko na koszuli. Próbował wstać ale, nogi chwiały się pod nim. Był bardzo słaby. Bolało go gardło.

Potem usłyszał kroki. Chyba wraca Mysz. Może zabierze go do domu.

–Wstawaj, synu.

To nie była Myszka. Zobaczył policjanta.

–Co pan tu robi? Powiedziałem, by pan wstał. Opierając się o pokruszone cegły wokół drzwi, Steve zdołał wstać. Policjant oświetlił go latarką.

–Jezus Maria – powiedział ze wstrętem na twarzy. – Jest pan w paskudnym stanie. Gdzie pan mieszka?

Steve pokręcił głową, patrząc na swą zarzyganą skórę jak skarcony uczeń.

–Jak się pan nazywa?

Nie mógł sobie przypomnieć.

–Nazwisko, chłopie?

Próbował. Żeby tylko policjant nie strzelał.

–Idziemy, weź się w garść.

Słowa niewiele mu mówiły. Steve czuł łzy zbierające się w kącikach oczu.

–Dom.

Beczal teraz i pociągał nosem, czuł się zupełnie zapomniany. Chciał umrzeć; położyć się i umrzeć.

Policjant potrząsnął nim.

–Uderzyłeś się? – zapytał, ciągnąc Steve'a pod latarnię uliczną i oglądając jego zapłakaną twarz. – Lepiej chodźmy stąd.

–Mama – powiedział Steve – chcę do mamy.

Te słowa zmieniły wszystko.

Policjant uznał nagle całą scenę za wstrętą i żalospną. Ten mały łobuz z przekrwionymi oczami i kolacją na koszuli naprawdę przesadza. Za dużo pieniędzy, za dużo paskudztwa w żyłach, za mało dyscypliny.

"Mama" była ostatnią kroplą. Walnął Steve'a w żołądek, gładkie, ostre, skuteczne uderzenie. Steve zgiął się w pół i zaskomlał.

–Zamknij się, synu.

Drugim ciosem ostatecznie unieruchomił dzieciaka, a potem chwycił go za włosy i przyciągnął do siebie oszołomioną twarz.

–Chcesz być wyrzutkiem, co?

–Nie. Nie.

Steve nie wiedział, co to znaczy "wyrzutek", chciał tylko, by policjant go polubił.

–Proszę – powiedział znów we łzach – zabierz mnie do domu.

Policjant się zmieszał. Dzieciak nie awanturował się ani nie odwoływał do praw obywatelskich, jak to przeważnie robili inni. Zwykle tak kończyli, na ziemi, z krwawiącymi nosami, wzywając opiekuna społecznego. Ten tylko płakał. Policjant zaczął: go żałować. Chyba jest psychiczny. A on walnął tego małego gnoja. Pieprzyć. Teraz poczuł się odpowiedzialny za niego. Chwycił Steve'a za ramię i zaciągnął przez ulicę do samochodu.

–Właż.

–Zabierz mnie.

–Zabiorę cię do domu, synu. Zabiorę cię do domu.

W nocnym przytułku przetrząsnęto ubranie Steve'a, szukając jakiegoś dokumentu z nazwiskiem. Niczego nie znaleziono. Potem zbadano, czy nie ma pcheł i wszy. Wreszcie policjant odszedł, co sprawiło Steve'owi ulgę. Nie lubił go.

Ludzie w przytułku rozmawiali o nim, jakby był nieobecny. Mówili, jaki jest młody, oceniali jego poziom umysłowy i wygląd. Potem dali mu kawałek mydła i pokazali prysznic. Po dziesięciu minutach stania w zimnej wodzie wytarł się brudnym ręcznikiem. Nie ogolił się, choć pożyczono mu brzytwę. Zapomniał, jak się to robi.

Dali mu jakieś stare ubranie. Spodobało mu się. Nie byli tacy źli, choć mówili o nim, jakby go nie było. Jeden się nawet do niego uśmiechnął, krępy mężczyzna ze szpakowatą brodą. Uśmiechnął się jak do psa.

Dostał dziwne ciuchy. Za duże albo za małe. Bardzo kolorowe: żółte skarpetki, brudną białą koszulę, spodnie w drobne paski uszyte na grubasa, wyświechtany sweter, ciężkie buty. Lubił się ubierać i gdy nikt nie patrzył nałożył dwie kamizelki i dwie pary skarpetek. Czuł się bezpieczniej, opatulony w kilka warstw bawełny i wełny.

Wreszcie zostawiono go z kwitkiem na łóżko w ręku, by zaczekał na otwarcie sypialni. Nie był taki niecierpliwy, jak niektórzy inni na korytarzu. Wrzeszczeli coś nieskładnie, rzucali oskarżenia, pluli na siebie. Bał się ich. Chciał tylko spać. Położyć się i zasnąć.

O jedenastej jeden z pielęgniarzy otworzył drzwi do sypialni i wszyscy bezdomni rzucili się do żelaznych łóżek. Wielka, słabo oświetlona sypialnia śmierdziała środkami dezynfekującymi i starymi ludźmi.

Unikając oczu i machających rąk innych wyrzutek, Steve znalazł dla siebie niezgrabne łóżko przykryte jednym cienkim kocem i położył się. Wszędzie wokół słyszał kaszle, mruczenie i łkanie. Jeden z mężczyzn odmawiał modlitwę patrząc w sufit. Steve pomyślał, że to dobry pomysł. Zmówił więc swój dziecięcy paciorek.

Dobry Jezu, łagodny i miły, Spójrz na tę dziecinę,

Pożaluj mnie... Jak było dalej?

Pożaluj mnie – prostego, Pozwól mi przyjść do Ciebie.

Poczuł się po tym lepiej i zasnął kojącym snem, smutnym i głębokim.

Quaid siedział w mroku. Zgroza znowu go opanowała, gorsza niż zwykle. Ciało zeszywniało mu ze strachu tak bardzo, że nie mógł nawet wstać z łóżka i zapalić światła. A co, jeśli teraz, akurat teraz, zgroza się spełni? Jeśli drwal stojący za drzwiami jest z krwi i kości? Uśmiecha się do niego jak głupiec, tańczy jak diabeł na szczycie schodów, taki sam, jakiego Quaid widział w snach, tańczącego i uśmiechniętego, uśmiechniętego i tańczącego.

Nic się nie poruszyło. Żadnego skrzypienia schodów, chichotania w cieniu. To jednak nie on. Quaid doczeka ranka.

Odprężył się trochę. Opuścił nogi i zapalił światło. Pokój był rzeczywiście pusty. Dom cichy. Przez otwarte drzwi widział szczyt schodów. Nie było tam oczywiście żadnego drwala.

Steve'a obudziły krzyki. Było jeszcze ciemno. Nie wiedział, jak długo spał, lecz nogi i ręce już mniej go bolały. Opierając się o poduszki, na wpół usiadł, rozglądając się po sypialni w poszukiwaniu źródła zamieszania. Parę łóżek dalej bili się dwaj mężczyźni. Przedmiot sporu był niewiadomy. Okładali się nawzajem jak dziewczyny. Rozśmieszyło to Steve'a. Wrzeszczeli i wyrwali sobie włosy. W świetle księżycy krew na twarzach i rękach była czarna. Jeden z nich, starszy, rzucił się na swe łóżko krzycząc:

–Nie pójdę na Finchley Road! Nie namówisz mnie. Nie bij! Nie jestem twoim niewolnikiem. Nie jestem!

Drugi nie słuchał, był zbyt głupi lub zbyt rozwścieczony, by zrozumieć, że stary błaga o zostawienie w spokoju. Podjudzany przez gapiów przeciwnik starego zdjął but i zaczął nim walić swoją ofiarę. Steve słyszał uderzenia obcasem po głowie. Każdemu towarzyszyły pochwalne wrzaski i słabnące krzyki starego.

Nagle gapie umilkli, ktoś wszedł do sypialni. Steve go nie widział, między nim a drzwiami tłoczyli się ludzie.

Zobaczył jednak, jak zwycięzca wznosił but w powietrze z końcowym okrzykiem:

–Skurwysyn!

But.

Steve nie mógł oderwać oczu od buta. Wzniósł się w powietrze, okręcił i opadł na gołe dechy jak ustrzelony ptak. Steve widział go wyraźnie, wyraźniej niż cokolwiek od wielu dni.

Spadł niedaleko niego.

Spadł z głośnym hukiem.

Spadł na bok. Jak jego but. Jego but. Ten, który ściągnął. Na kracie. W pokoju. W domu. Na Pilgrim Street.

Quaida obudził ten sam sen. Zawsze schody. Zawsze patrzy z dołu w tunel schodów, co za śmieszny widok, żart zmieszany z przerażeniem, schodzi ku niemu, śmiech rozbrzmiewa na każdym stopniu.

Nigdy dotąd nie miał tego snu dwa razy tej samej nocy. Przewiesił rękę przez krawędź łóżka, macając szukał butelki. W mroku pociągnął z niej zdrowo.

Steve minął grupę rozwścieczonych ludzi, nie zwracając uwagi na ich krzyki ani na jęki i przekleństwa starego. Pielęgniarki mieli dużo roboty z opanowaniem zamieszania. Po raz ostatni wpuścili starego Crowleya – zawsze wywoływał bójki. Ta to niemal bunt, miną godziny, nim zostanie opanowany.

Nikt nie zatrzymał Steve'a, który szedł korytarzem, mijał drzwi i sień nocnego przytułku. Brama była zamknięta, lecz dochodzące zza niej nocne, ostre powietrze bardzo orzeźwiało.

Pokój portiera był pusty, przez uchylone drzwi Steve zobaczył wiszącą na ścianie gaśnicę. Była czerwona i jaskrawa. Zwinięty obok na czerwonym bębnie długi, czarny szlauch wyglądał jak dymiący wąż. Niedaleko wisiał topór.

Bardzo ładny topór.

Stephen wszedł do portierni. Słyszał w pobliżu odgłosy biegania, gwizdki. Nikt jednak nie przyszedł przeszkodzić Steve'owi, gdy ten zaprzyjaźniał się z toporem.

Wpierw się do niego uśmiechnął.

Krzywe ostrze odwzajemniło uśmiech.

Potem go dotknął.

Toporowi to się spodobało. Był zakurzony, dawno nikt go nie używał. Zbyt dawno. Chciał być użyty, chciał, by nim walono. Uśmiechał się do tego. Steve bardzo łagodnie zdjął go z uchwytów i schował pod kurtkę, by tam ogrzać. Potem wyszedł z portierni przez wahadłowe drzwi i wyruszył na poszukiwanie swego buta.

Quaid znów się obudził.

Steve bardzo szybko zorientował się, gdzie jest. Sprężystym krokiem szedł na Pilgrim Street. Ubrany w kolorowe, workowate spodnie i śmieszne buciory, czuł się jak klaun. Czyż nie wygląda śmiesznie?! Chciało mu się śmiać z siebie, taki był komiczny.

Dopał go wiatr, wprawił w drżenie, przeczesał włosy i zmroził oczy w dwie grudki lodu.

Steve zaczął biec, podskakiwać, tańczyć, brykać po ulicach, biały w świetle, ciemny w cieniach. "Raz mnie widać, raz nie. Raz mnie widać, raz..."

Tym razem Quaida nie obudził sen. Teraz coś usłyszał. Wyraźnie.

Księżyc wznosił się na tyle wysoko, by rzucać poświatę przez okno i drzwi, oświetlając szczyt schodów. Nie musiał zapalać światła. Widział wszystko co trzeba. Schody były puste jak zawsze.

Potem zaskrzypiały na dole, cichutko, jakby ktoś w nie dmuchał.

Quaid poznał lęk.

Następne skrzypnięcie. Śmieszny sen wchodził do niego po schodach. Musi śnić. Wie przecież, że nie ma żadnych klaunów, żadnych zabójców z toporami. Czyż ten absurdalny obraz, budzący go ciągle w nocy, może być czymś innym niż snem?

Tak, może niektóre sny są tak niedorzeczne, że muszą być prawdą?

„Żadnych klaunów” – powtarzał sobie, stojąc i patrząc na drzwi, schody, jasne plamy księżyca. Quaid znał tylko kruche umysły, tak słabe, że nie mogły dać mu wskazówki zdradzającej naturę, początki lub lekarstwo na panikę, która go teraz opanowała. Przy najmniejszej oznace lęku potrafiły się tylko załamywać i rozsypywać w proch.

Wiedział, że nie ma żadnych klaunów, nigdy nie było i nie będzie.

Wtedy się pojawił, z twarzą głupka Kredowoblady w świetle księżyca, jego młodzieńcze policzki były podrapane, nie ogolone i pulchne, uśmiechał się jak dziecko. Na dolnej szczęce miał rozmazaną krew, a dziąsła były od niej niemal czarne. Mimo to był to klaun. Niewątpliwie klaun w nie dobranym ubiorze, taki nie na miejscu, taki patetyczny.

Z tym uśmiechem mógł się równać jedynie topór rzucający błyski w świetle księżyca.

Gdy klaun robił nim krótkie, rąbiące ruchy, jego maleńkie czarne oczy lśniły na myśl o czekającej go zabawie.

Niemal na szczycie schodów zatrzymał się i nie rezygnując nawet na chwile z uśmiechu, przyglądał się przerażeniu Quaida.

Nogi Quaida załamały się, opadł na kolana.

Klaun zszedł z podskokiem o jeden stopień. Błyszczące oczy utkwione w Quaidzie wypełniała łagodna złośliwość. Topór kołysał się w jego białych dłoniach.

Quaid znał go.

To jego uczeń, królik doświadczalny przeistoczony w kształt jego własnego leku.

On. Spośród wszystkich ludzi. On. Głuchy chłopiec.

Podskoki były teraz wyższe, klaun wydawał gardłowe dźwięki niby jakiś fantastyczny ptak. Topór zataczał w powietrzu coraz szersze koła, każde kolejne było coraz bardziej śmiercionośne.

–Stephen – powiedział Quaid.

Imię to nic nie znaczyło dla Steve'a. Zobaczył tylko otwierające się usta. Potem się zamknęły. Może wydały jakiś dźwięk, może nie. Było mu to obojętne.

Z gardła klauna wydarł się krzyk, a trzymany oburącz topór wznosił się nad głowę. W tejże chwili wesołe podrygiwanie przeszło w bieg, Steve skoczył z ostatnich dwóch stopni i wpadł do sypialni. Znalazł się w świetle.

Ciało Quaida odwróciło się w ucieczce przed morderczym ciosem, lecz nie był to ruch dostatecznie szybki ani zgrabny. Ostrze świsnęło w powietrzu i wbiło się w

ramię Quaida, odcinając większą część mięśnia trójgłowego, przerywając ścięgna, by następnie zagłębić się w przedramieniu, tuż obok tętnicy.

Ryk Quaida słysząc było o dziesięć domów dalej. Nikt go jednak nie usłyszał. Nikt nie przyszedł i nie odciągnął od niego klauna.

Topór, niecierpliwy swojej roboty, rąbnął teraz w udo Quaida, jakby był to pień drzewa. Otwarta rana, szeroka na jakieś dziesięć centymetrów, ukazała błyszczącą powierzchnię mięśnia, kość i szpik. Po każdym uderzeniu klaun szarpał za topór, by go wyciągnąć, a ciało Quaida podskakiwało jak lalka.

Quaid wrzeszczał. Quaid błagał. Quaid przymilał się.

Klaun nie słyszał ani słowa.

Dobiegały do niego tylko odgłosy z wnętrza głowy: gwizdy, krzyki, wycia, szumy. Znalazł tam schronienie, do którego nie dotrą nigdy racjonalne argumenty ani groźby. Dudnienie jego serca rozbrzmiewało tam cicho, a szum krwi był muzyką.

Jakże tańczył ten głuchy chłopak, tańczył jak głupi, patrząc, jak jego oprawca rozwiera usta niby ryba, jak milknie na zawsze jego zdeprawowany umysł. Jakże tryskała krew! Jak bulgotała i biła w górę!

Mały klaun urządził sobie nocne widowisko i cieszył się. Topór na zawsze zostanie jego przyjacielem, sprytnym i mądrym. Może ciąć, przecinać, ćwiartować, amputować i zachowywać przy tym człowieka przy życiu, a jeśli będzie robił to dobrze, to na długo, bardzo długo.

Steve cieszył się jak dziecko. Czeką ich jeszcze cała noc, a w głowie słyszał całą potrzebną mu muzykę.

Quaid zrozumiał, patrząc w obojętne oczy klauna, że na świecie jest coś gorszego niż lęk. Gorszego nawet niż śmierć.

To ból bez nadziei na ukojenie. To życie, które nie może się skończyć, mimo że umysł błaga ciało o zgon. A najgorsze jest spełnienie się snów.

PIEKIELNA KONKURENCJA

Tego września na ulice i place Londynu wyszło Piekło. Wyłoniło się z lodowatych głębin Dziewiątego Kręgu. Było tak zmarznięte, że nawet słońce babiego lata nie mogło go ogrzać. Jak zwykle starannie ułożyło swoje plany. Tym razem były one może bardziej dopracowane niż zazwyczaj. Każdy szczegół został dwa lub trzy razy sprawdzony, aby była pewność, że nie zaniedbano niczego. Precyzyjne przygotowania zwiększały szansę zwycięstwa w tej najważniejszej grze. Nigdy nie brakowało mu woli walki; tysiące tysięcy razy w wielu stuleciach występowało ogniem przeciw ciału, czasem wygrywając, częściej jednak doznając porażek. Mimo wszystko hazard był podstawą jego posunięć. Bez ludzkiej namiętności do współzawodnictwa, ryzyka i hazardu Pandemonium upadłoby być może, z braku obywateli. Tańce, wyścigi psów, gra na skrzypcach były wszystkim dla Piekła, każda gra, w której przy dostatecznych umiejętnościach mogło zgarnąć duszę bądź dwie. Właśnie dlatego pewnego jasnego, bezchmurnego dnia pojawiło się w Londynie, by ścigać i chwycić tyle dusz, ile się da, tyle, by przez następny wiek zajmować się ich zatracaniem.

Cameron nastawił radio; głos spikera zanikał, jakby dochodził z bieguna, a nie z Katedry Św. Pawła. Do rozpoczęcia wyścigu było jeszcze pół godziny, lecz Cameron chciał wysłuchać podsycających emocje komentarzy, dowiedzieć się, co mówią o jego chłopcu.

–... atmosfera jest napięta... prawdopodobnie dziesiątki tysięcy wzdłuż trasy...

Głos zamilkł, Cameron zaklął i tak długo kręcił gałką, aż znów rozległy się te bzdury.

–... będzie prawdopodobnie wyścigiem roku. Cóż za dzień, nieprawdaż, Jim?

–Na pewno, Mikę.

–Wielki Jim Delaney będzie śledził trasę wyścigu z lotu ptaka, zgadza, się, Jim?

–Dokładnie, Mikę.

–Za linią wielkie poruszenie, zawodnicy ustawiają się na starcie. Widzę tam Nicka Loyera, ma numer trzeci i muszę powiedzieć, że wydaje się być w świetnej formie. Zaraz po przybyciu zwierzył mi się, że zwykle nie biega w niedziele, lecz dla tego wyścigu robi wyjątek ze względu na jego dobroczynny charakter. Jak państwo wiecie, cały zysk z dzisiejszych zawodów jest przeznaczony na badania nad rakiem. Obok zawodnika z numerem trzecim stoi Joel Jones; nasz złoty medalista na 800 metrów pobiegnie ze swym wielkim rywalem, Frankiem McCloudem. W pobliżu znanych biegaczy widzę nowe twarze. Z numerem piątym na koszulce to Malcolm Voight z Afryki Południowej, walczyć będzie także Lester Kinderman, niespodziewany zwycięzca zeszłorocznego maratonu w Austrii. Muszę przyznać, że wszyscy oni prezentują się wspaniale w to wrześniowe popołudnie. Nie można by sobie wymarzyć piękniejszego dnia, prawda, Jim?

Joel obudził się z koszmaru.

–Dobrze wypadniesz, nie denerwuj się – powiedział mu Cameron.

Nie czuł się jednak dobrze, dokuczał mu żołądek. To nie była trema przed startem; przywykł do niej i potrafił sobie z

nią radzić. To było coś zupełnie innego. Tkwiło znacznie głębiej, gdzieś w samym środku.

Cameron nie okazał współczucia.

–To wyścig na cele dobroczynne, a nie olimpiada – powiedział, przyglądając się chłopcu. – Jesteś przecież już dorosły.

Oto sposób Camerona. Jego słodki głos stworzony był do pochlebstw, lecz używał go wyłącznie do terroryzowania innych. Jednak bez stymulowanej przez niego presji nie byłoby złotego medalu, wiwatujących tłumów ani rozentuzjasmowanych dziewcząt. Jedna z gazet ogłosiła Joela czarnoskórym biegaczem roku. Miło mu było, że nieznanymi ludzkie witali go jak przyjaciela; lubił sławę, choćby miała się okazać krótkotrwała.

–Kochają cię – powiedział Cameron. – Bóg wie dlaczego, ale cię kochają. Potem się roześmiał, trochę złośliwie.

–Wszystko będzie dobrze, synu – szepnął. – Wstawaj i biegnij. Chodzi tu przecież o twoje życie.

Teraz, w jasnym świetle dnia, Joel przyglądał się rywalom z trochę mniejszym niepokojem. Kinderman jest wytrzymały, lecz na średnich dystansach brak mu dobrego finiszu. Maraton wymaga zupełnie innej taktyki. Ponadto chłopak był krótkowzrostowy, w drucianych oprawkach z grubymi szklami wyglądał jak otumaniona żaba. Niczym mu nie zagraża. Loyer, ten jest dobry, ale to nie jego dystans. Przede wszystkim jest plotkarzem, czasami sprinterem. Czteryście metrów to szczyt jego możliwości. Voight, z Południowej Afryki. Mało o nim wie. Z wyglądu jest niezły. Z pewnością trzeba mieć go na oku. Jednak prawdziwy problem może mieć z McCloudem. Dwa razy go pokonał, raz (wspominał to z bólem) tamten zwyciężył. Mały Frankie ma się za co rewanżować; zwłaszcza za porażkę na olimpiadzie, tak niechętnie odbierał srebrny medal. Musi uważać na Franka. Nawet w biegu dobroczynnym McGoud da z siebie wszystko – dla tego tłumu i własnej dumy. Był już na linii, przymierzając się do pozycji startowej. "Błysk" to prawdziwy mężczyzna, nie ma co wątpić.

Przez chwile Joel poczuł, jak Voight mu się przygląda. To niezwykle. Zawodnicy rzadko patrzą na siebie przed biegiem, to rodzaj nieśmiałości. Ten był blady, zaczynał łysieć. Wyglądał na faceta tuż po trzydziestce, lecz sylwetkę miał młodszą, smuklejszą. Długie nogi, wielkie ręce. Gdy spotkały się ich spojrzenia, Voight odwrócił wzrok. Cienki łańcuszek na jego szyi błysnął w słońcu, a zawieszony na nim złoty krzyżyk bujał się lekko na wietrze.

Joel też miał przy sobie talizman. Za paskiem szortów zatknął kosmyk włosów matki, zapleciony dla niego dziesięć lat temu, przed pierwszym ważnym biegiem. Następnego roku matka wróciła na Barbados i tam zmarła. Wielki żal, ogromna strata. Bez Camerona załamałby się.

Cameron ze stopni katedry przyglądał się przygotowaniom. Chciał zobaczyć start, a następnie zamierzał objechać rowerem Strand od tyłu i zdążyć na finisz. Przybędzie tam na długo przed zawodnikami, a o przebiegu wyścigu posłucha w radiu. Czuł się dobrze. Jego chłopak jest w świetnej formie, bez względu na mdłości,

ten bieg to idealny sposób na pobudzenie jego bojowości.

Trasa była wprawdzie długa, biegła przez Ludgate Circus, wzdłuż Fleet Street, skręcała przy Tempie Bar w Strand, następnie przecinała narożnik Trafalgar i kierowała się koło Whitehall do parlamentu. Nawierzchnia asfaltowa. To jednak dobra próba dla Joela, zmusi go do wysiłku, co wyjdzie mu na dobre. Chłopak nadawał się na długodystansowca, Cameron wiedział o tym. Nigdy nie był sprinterem, nie potrafił tak precyzyjnie stawiać kroków. Potrzebował dystansu i czasu, by wejść w tempo, uspokoić się i wypracować własną taktykę. Powyżej 800 metrów biegał naturalnie, bardzo oszczędnym krokiem, rytmem bliskim doskonałemu. Przede wszystkim miał odwagę. Dzięki niej zdobył złoto, dzięki niej stale pierwszy osiągał metę. To odróżniało Joela od innych. Pojawiały się rzesze dzieciaków z błyskotliwą techniką, lecz bez odwagi te umiejętności nic nie znaczyły. Ryzykować, kiedy warto, biec aż do utraty przytomności, to się liczyło, Cameron wiedział o tym. Chętnie myślał, że sam ma coś z tego.

Dziś chłopak nie wygląda na szczęśliwego. Cameron stawiał na kłopoty z kobietą. Zawsze były z tym problemy, zwłaszcza odkąd Joel zdobył sławę złotego medalisty. Starał się mu wytłumaczyć, że po zakończeniu kariery będzie miał mnóstwo czasu na łóżko i figle, lecz celibat nie pociągał Joela. Zresztą Cameron nie miał mu tego za złe.

Uniesiony w górę pistolet wypalił. Było to raczej pyknięcie niż wystrzał. Spłoszone z kopuły św. Pawła gołębie przerwały modły i wzniosły się w górę, głośno trajkocząc. Joelowi wyszedł start. Czysty, gładki i szybki.

Tłum natychmiast zaczął skandować jego nazwisko, dobiegło doń z boków i z tyłu w burzy sympatii i entuzjazmu.

Cameron obserwował pierwsze dwadzieścia metrów, na których biegacze ustawili się w stawce. Na przedzie znalazł się Loyer, Cameron nie był pewny, przypadkowo czy celowo. Joel trzymał się za McCloudem biegnącym tuż po Loyerze.

–Nie śpiesz się, chłopcze – powiedział Cameron i wycofał się z miejsca startu. Rower zostawił w Paternoster Rów, minutę drogi od placu. Nigdy nie lubił samochodów. Na rowerze jest się panem samego siebie. Czego więcej można by chcieć?

–... Co za wspaniały start, zanosi się na cudowny bieg. Są już za placem, tłum pędzi za nimi. Bardziej przypomina to mistrzostwa Europy niż bieg dobroczynny. Czy nie wydaje ci się, Jim?

–Tak, Mikę, widzę tłumy wzdłuż całej trasy na Heet Street. Policja prosiła mnie, bym przypomniał ludziom, aby nie próbowali przyjeżdżać na miejsce biegu, bo oczywiście wszystkie ulice zostały z tej okazji zamknięte. Kto spróbuje w nie wjechać, nigdzie się nie dostanie.

–Kto teraz prowadzi?

–Cóż, teraz dyktuje tempo Nick Loyer, choć oczywiście, wiemy, że przy takim dystansie stosuje się różne taktyki. To więcej niż bieg średniodystansowy, a mniej niż maraton, lecz wszyscy zawodnicy są taktykami, będą próbowali zmusić innych do objęcia prowadzenia na początku biegu.

Cameron zawsze mówił: „pozволь innym na bohaterstwo”.

Joelowi trudno się było tego nauczyć.

–„To głupie, bardzo głupie. Nie marnuj czasu na popisy, niech supermeni mają swoje pięć minut. Trzymaj się w stawce, lecz raczej z tyłu. Lepiej niech ci gratulują zwycięstwa, niż by mieli cię nazywać ambitnym przegranym.

Zwycięż. Zwycięż. Zwycięż.

Za każdą cenę. Niemal za każdą cenę.

Zwycięż.

Człowiek, który nie chce zwyciężyć, nie będzie moim przyjacielem. Jeśli chcesz to robić, bo lubisz, dla sportu, idź do kogoś innego. Tylko uczniaki wierzą w te bzdury o radości płynącej z samej gry. Przegrywający się nie radują, mój chłopcze. Co powiedziałem?

–Przegrani się nie radują.

–Bądź barbarzyńcą. Przestrzegaj zasad, lecz balansuj na ich skraju. Naciągaj, jak tylko możesz. Nie daj innym sukinsynom wmówić sobie czegoś innego. Masz wygrać. Co powiedziałem?

–Wygrać”.

Paternoster Rów dobiegała stłumiona wrzawa, budynki zasłaniały słońce. Było chłodno. Gołębie ciągle krążyły. Tylko one wypełniały boczne uliczki. Wydawało się, że reszta świata ogląda bieg.

Cameron odczepił rower, schował łańcuch i kłódkę, potem wskoczył na siodełko. Całkiem zgrabnie jak na pięćdziesiątkę, pomimo wypalania sporej ilości tanich cygar. Włączył radio. Odbiór był słaby, przeszkadzały domy, słyszał same trzaski. Pedalując próbował poprawić fonię. Bez większego skutku.

–... NickLoyer został już w tyle...

Szybko poszło. Loyer miał szczyt formy dwa czy trzy lata temu. Pora zrzucić kolce i ustąpić młodszemu. Musi to zrobić, choć Bóg wie, jakie to trudne. Cameron przypomniał sobie z bólem, co czuł, mając trzydzieści trzy lata, kiedy zrozumiał, że najlepsze biegi ma już za sobą. Wydawało mu się, że jedną nogą wstępuje do grobu, przypomniało mu to, jak szybko rozkwita ciało i jak szybko zaczyna więdnąć.

Gdy wyjechał z cienia na słoneczną ulicę, minął go czarny mercedes. Pasażerowie tylko mignęli Cameronowi. W jednym rozpoznał człowieka, o którym mówił Voight przed biegiem, faceta koło czterdziestki o wąskiej twarzy i ustach tak zaciśniętych, jakby usunął je chirurg.

Za nim siedział Voight.

Nieemożliwe, ale to chyba twarz Voighta widoczna była za tylną szybą z przyciemnionego szkła, miał nawet na sobie kostium do biegu.

Cameronowi to się nie spodobało. Pięć minut wcześniej widział go w grupie biegaczy. Kim więc jest ten? Niewątpliwie sobowtórem. Coś mu tu śmierdziało, odór bił aż do nieba.

Mercedes zniknął już za rogiem. Cameron wyłączył radio i ruszył ostro za samochodem.

Mercedes przedzierał się z pewną trudnością przez wąskie uliczki, nie zwracając przy tym uwagi na oznakowanie ulic jednokierunkowych. Dzięki jego wolnej jeździe

Cameron mógł dość łatwo trzymać się z tyłu, nie będąc widzianym przez pasażerów.

Mercedes zatrzymał się na wąskiej, bezimiennej alejce na wschód od Fetter Lane, w bardzo gęstym cieniu. Cameron, kryjąc się za rogiem kilkanaście metrów od samochodu, zobaczył, jak szofer otwiera drzwiczki przed bezwargim mężczyzną i bliźniakiem Voighta. Weszli do domu. Gdy wszyscy trzej zniknęli, Cameron oparł rower o ścianę i poszedł za nimi.

Na uliczce było cicho jak makiem zasiał. Sprawiała wrażenie, jakby znajdowała się w innym świecie. Przemykające cienie ptaków, zamurowane okna domów, zdarte tynki, odór gnicia w powietrzu. Na jezdni leżał zdechły królik. Muchy wzbijały się z niego i opadały, kierowane na przemian strachem i żarłocznością.

Cameron skradał się, jak tylko mógł najciszej, do otwartych drzwi. Okazało się, że nie miał się czego bać. Trójka mężczyzn dawno już zniknęła w ciemnej sieni. Było w niej chłodno, pachniało bagnem. Rozglądając się śmiało, lecz czując lęk, Cameron wszedł do budynku. Tapeta w sieni była sraczkowata, podobnie jak tynk. Przypominało to wchodzenie do kiszek trupa, zimnych i pełnych łajna. Schody były spróchniałe i uniemożliwiały dostęp na piętra. Poszli więc nie na górę, lecz w dół.

Drzwi do piwnicy znajdowały się obok klatki schodowej, dobiegały z nich głosy. "Nie ma na co czekać" – pomyślał i uchylił drzwi na tyle, by zajrzeć w mrok za nimi. Był lodowaty. Nie zimny czy

wilgotny, lecz mroźny jak w lodówce. Cameron przez moment myślał, że wchodzi do chłodni.

Pomyślał, że nie może się teraz cofnąć i spojrzał na pokryte szronem stopnie. Nie było całkowicie ciemno. U dołu schodów, bardzo daleko, migotało blade światło, jego banalny blask udawał dzień. Cameron spojrzał tęsknie na otwartą bramę. Bardzo go pociągała, lecz był także ciekawy, taki ciekawy, że mógł tylko schodzić w dół.

Zapach tego miejsca drażnił go w nozdrza. Żona często wypominała mu, że ma stępiony węch i smak. Twierdziła, że nie odróżnia czosnku od róży, i chyba miała rację. Jednak ten odór coś mu przypominał, coś, co przewracało mu żołądek.

Kozły. Śmierdzi kozłami.

Był już niemal u stóp schodów, sześć, może dziesięć metrów pod ziemią. Głosy dobiegały z dalszej odległości, zza drugich drzwi.

Stał w małym pomieszczeniu o ścianach niedbale pobielonych i pokrytych sprośnymi rysunkami, przeważnie przedstawiającymi stosunki. Na podłodze stał siedmioramienny świecznik. Paliły się tylko dwie zakopcone świece, ich płomienie były niemal niebieskie. Koźli zapach był teraz silniejszy. Mieszał się z jakimś mdlącym, słodkim zapachem, jakby z tureckiego burdelu.

W pomieszczeniu było dwoje drzwi; zza jednych dochodziła do Camerona jakaś rozmowa. Z wielką ostrożnością podszedł do nich, stąpając po śliskiej podłodze. Starał się zrozumieć coś ze stłumionych głosów.

- ... szybko...
- ... właściwe umiejętności...
- ... dzieci, dzieci... Śmiech.
- Wierzę, że jutro my wszyscy... Znów śmiech.

Głosy nagle zaczęły się przybliżać, jakby rozmówcy szli w stronę drzwi. Cameron cofnął się trzy kroki po oszronionej podłodze, niemal wpadając na świecznik. Gdy go mijali, płomienie strzeliły do góry.

Miał do wyboru schody lub drugie drzwi. Schody oznaczałyby ucieczkę. Na górze byłby bezpieczny, lecz niczego by się nie dowiedział. Nie odkryłby, skąd ten chłód, błękitne płomienie, smród kozłów. Drzwi stanowiły szansę. Zwrócony do nich plecami, patrząc na przeciwległą ścianę, walczył z przejmująco zimną mosiężną klamką. Ustąpiła po chwili, jednocześnie z otwarciem się drzwi naprzeciwko. Oba ruchy były doskonale zgrane, Bóg miał go w opiece.

Zamykając drzwi wiedział już, że popełnił błąd. Bóg jednak się nim nie opiekował. Igły mrozu przenikały jego głowę, zęby, oczy, palce. Czuł się tak, jakby wrzucono go nagiego do wnętrza góry lodowej. Krew krzepła mu w żyłach, ślina na języku zmieniała się w lód, śluz w nosie stężał i odpryskiwał. Mróz zdawał się go unieruchamiać, nie mógł się nawet odwrócić.

Gdy w końcu z trudem poruszył mięśniami, wyciągnął zapalniczkę palcami tak zgrabiały, że nic by nie poczuł, gdyby je odcinano.

Zapalniczka przykleiła się do palców, pot na nich zmienił się w szron. Próbował ją zapalić, by pokonać mrok i mróz. Z oporami wykrzesala u siebie migotliwy płomień.

Pokój był duży, przypominał lodową jaskinię. Ściany i nierówny sufit iskrzyły się i lśniły. Ogromne, ostre jak włócznie sople wisiały u sufitu. Podłoga, na której mężczyzna z trudem stał, nachylała się w stronę otworu na środku. Szeroki był na półtora, dwa metry, krawędź i ściany miał pofałdowane, jakby tworzyła je zamarła rzeka spływająca w ciemnościach.

Pomyślał o "Xanadu", znanym na pamięć wierszu. Wizja innego Albionu.

... tam, gdzie płynie W pieczarach, których myśl człowieka
Nie zmierzy, Alpha, święta rzeka co w mrocznym morzu ginie.

Jeśli morze jest tam rzeczywiście, to zamarznięte. Zakrzeple na zawsze.

Z trudem utrzymywał się na nogach, chroniąc przed ześlizgnięciem i upadkiem w nieznanne. Lodowaty wiatr zdmuchnął ogień.

–Cholera – powiedział Cameron, gdy zalała go ciemność.

Nigdy się nie dowiedział, czy trójka na zewnątrz usłyszała to słowo, czy też Bóg opuścił go całkowicie w tej chwili. W każdym razie otworzyli drzwi, zwalając Camerona z nóg. Zbyt odrętwiali i zmarznięty, by uchronić się przed upadkiem, runął na pokrytą, lodem podłogę. Pokój wypełnił się kozłim zapachem.

Cameron odwrócił się. W drzwiach stał sobowtór Voihgta, obok szofer i trzeci człowiek z mercedesa. Nosił płaszcz zrobiony z kilku kozłich skór. Nadal zwisały z nich rogi i kopyta. Krew na sierści była brązowa i lepka.

–Co pan tu robi, Cameron? – zapytał mężczyzna w kozłich skórach.

Cameron z trudem mógł mówić. Czuł jedynie, jak środek czoła przewierca mu ból.

–Co za piekielne sprawy się tu dzieją? – poruszył wargami.

–Dokładnie takie, panie Cameron – usłyszał odpowiedź. – Dzieją się tu sprawy Piekła.

Gdy przebiegli obok kościoła St. Maryle-Strand, Loyer potykając oglądał się za

siebie. Trzymający się trzy metry za prowadzącymi Joel wiedział, że tamten się poddaje. Zbyt szybko, coś idzie nie tak. Zwolnił kroku, pozwalając się minąć Mcdoudowi i Voightowi. Bez pośpiechu. Kinderman był z tyłu, nie mógł się zmierzyć z szybszymi. W tym wyścigu był na pewno żółwiem. Loyera minął McCloud, potem Voight, wreszcie Jones i Kinderman. Brakowało mu tchu, nogi miał jak z ołowiu. Gorzej, widział jak asfalt pod jego butami trzeszczy i pęka, a z ziemi wyrastają palce, starając się go dotknąć. Chyba nie widział ich nikt więcej. Tłumy ryczały, a owe urojone ręce wystrzeliły spod asfaltu i mocno go złapały. Wpadł wyczerpany w ich straszliwe objęcia, opuściła go młodość i siły. Badawcze palce trupów ciągle go chwyciły, długo jeszcze po tym, jak lekarze podnieśli go z jezdni, zbadali i dali środek uspokajający.

Wiedział oczywiście dlaczego leży na gorącym asfalcie, a inni wokół niego się krzątają. Obejrzał się za siebie. To dlatego przyszli. Obejrzał się...

–Po sensacyjnym upadku Loyera bieg trwa nadal. Frank "Błysk" McCloud dyktuje teraz tempo, wyprzedza dość znacznie Voighta. Joel Jones jest jeszcze bardziej z tyłu, wydaje się, że nie jest w stanie dorównać prowadzącym. Co o tym sądzisz, Jim?

–Cóż, albo jest już wykończony, albo naprawdę liczy na to, że pozostali przeforsują swoje siły. Pamiętaj, że to dla niego nowy dystans.

–Tak, Jim.

–I może być na nim nierozważny. Na pewno będzie się musiał mocno napracować, aby poprawić obecne trzecie miejsce.

Joelowi kręciło się w głowie. Patrząc jak Loyer traci pozycję w wyścigu, usłyszał przez chwilę jego głośną modlitwę. Prosił Boga o wybawienie. Tylko on słyszał słowa:

"Tak, mimo iż krocę poprzez cienie Doliny Śmierci, to nie przestraszę się złego, bo jesteś ze mną, twa różdżka i laska".

Słońce grzało teraz mocniej i Joel zaczynał czuć znajome sygnały coraz bardziej zmęczonych nóg. Biegnie po asfalcie, nadweręża stopy i stawy. Nie tak jednak, by skłaniać do modlitwy. Próbował zapomnieć o rozpaczach Loyera i skupić się na sytuacji.

Czeka ich jeszcze dużo biegania, wyścig nie dotarł nawet do połowy trasy. Ma mnóstwo czasu, aby dogonić bohaterów; mnóstwo.

Biegnąc usiłował przypomnieć sobie modlitwy, których uczyła go matka, lecz lata ich nie odmawiał i nie pamiętał już żadnej.

–Nazywam się Gregory Burgess – powiedział mężczyzna w koźlim płaszczu – członek parlamentu. Nie będzie mnie pan pamiętał. Staram się nie rzucać w oczy.

–Poseł? – spytał Cameron.

–Tak. Niezależny. Bardzo niezależny.

–Czy to brat Voighta?

Burgess spojrział na bliźniaczy wizerunek Voighta. Pomimo ogromnego mrozu nie drżał nawet, choć miał na sobie jedynie cienką koszulę i szorty.

–Brat? – powtórzył Burgess. – Och nie. To mój, jak to się nazywa, chowaniec.

Słowo to zabrzmiało znajomo, lecz Cameron nie był odczytany. Kim jest chowaniec?

–Pokaż mu – powiedział Burgess wielkodusznie.

Twarz Voighta zadrżała, skóra się pomarszczyła, wargi odsłoniły zęby topniejące w biały воск, który spłynął mu do gardła. Ono z kolei przekształciło się w srebrzyście błyszczącą kolumnę. To nie była już twarz człowieka, a nawet ssaka. Zmieniała się w wachlarz z noży, ich ostrza lśniły w świetle świecznika stojącego za drzwiami. Ledwo kształt ten się ustalił, a zaczął znów się przetwarzać, noże stopniały i ściemniały, porosły sierścią, pojawiły się oczy wielkości baloników. Z nowej głowy wystawały czułki, miazga formowała się w szczęki, aż na szyi Voighta spoczął łeb pszczoły.

Pokaz ten spodobał się Burgessowi; bił brawo dłońmi w rękawiczkach.

–To też chowaniec – skinął na szofera, który zdjął czapkę, rozsypując na ramiona kłębowisko kasztanowych włosów. Dziewczyna była zachwycająco piękna, za jej twarz można było oddać życie. To jednak złudzenie. Chowaniec na pewno mógł udawać nieskończoną ilość osób.

–Obaj należą oczywiście do mnie – powiedział z dumą Burgess.

–Co? – tyle tylko zdołał wypowiedzieć Cameron; miał nadzieję, że zawiera to wszystkie pytania, jakie chciał zadać.

–Służę Piekłu, panie Cameron. Piekło ze swej strony służy mnie.

–Piekłu?

–Ma pan za sobą jedno z wejść do Dziewiątego Kręgu. Zna pan chyba Dantego?

"Patrz! Dis; i patrz! miejsce Gdzie musisz uzbroić w moc swe serce".

–Po co pan tu jest?

–By uczestniczyć w wyścigu. Czy raczej mój trzeci chowaniec już w nim biegnie. Tym razem nie zostanie pokonany. Tym razem to piekielna konkurencja sportowa, panie Cameron, i nikt nie odbierze nam wygranej.

–Piekło – powtórzył Cameron.

–Wierzy mi pan, prawda? Chodzi pan do kościoła. Stale modli się przed posiłkami, jak każda bogobojna dusza, lękająca się zakrzuszenia przy jedzeniu.

–Skąd pan wie, że się modlę?

–Powiedziała mi pańska żona. Och, okazała się bardzo rozmowna na pana temat, Cameron, otworzyła się cała przede mną. Bardzo usłużna. Nałogowa analityczka, według mnie. Przekazała mi wiele... informacji. Jest pan dobrym socjalistą, prawda, jak pański ojciec?

–Polityka teraz...

–Och, polityka to pępek świata, panie Cameron. Bez niej błąkalibyśmy się po pustyni, prawda? Nawet w Piekło konieczny jest porządek. Dziewięć wielkich kręgów, rosnące natężenie kar. Niech pan spojrzy w dół, a zobaczy pan sam.

Cameron czuł dziurę pod plecami, nie musiał patrzeć.

–Widzi pan, stawiamy na porządek. Nie na chaos. To tylko niebiańska propaganda. A wie pan co wygramy?

–To wyścig dobroczynny.

–Dobroczynność jest w nim najmniej ważna. Nie biegniemy po to, by uchronić świat przed rakiem. Biegniemy po rząd.

Cameron ledwo to rozumiał.

–Rząd – powiedział.

–Raz na stulecie odbywa się bieg od Św. Pawła do Pałacu Westminster. Często toczył się w środku nocy, bez ogłaszania i oklaskiwania. Dzisiejszy wypadł w pełnym słońcu, oglądają go tysiące ludzi. Bez względu jednak na okoliczności, to zawsze ten sam wyścig. Wasi zawodnicy przeciwko jednemu

z naszych. Jeśli wygracie, macie następne sto lat demokracji. Jeśli my wygramy... co się stanie... nastąpi koniec znanego panu świata.

Pod plecami Cameron poczuł drżenie. Wyraz twarzy Burgessa uległ naglej zmianie; pewność siebie została zakłócona, zadowolenie w jednej chwili przeszło w nerwowość.

–No, nie – powiedział, machając rękoma jak ptak. – Wygląda na to, że odwiedzą nas wyższe moce. Co za zaszczyt...

Cameron odwrócił się i spojrział przez krawędź otworu. Jego ciekawość niczego już nie zmieni. Mają go; może spokojnie patrzeć.

Z bezsłonecznego kręgu buchnął kłęb mroźnego powietrza i w mroku szybu męczyzna dojrzał zbliżający się kształt. Posuwał się miarowo, z odrzuconą głową patrząc na świat.

Cameron słyszał jego oddech, widział, jak otwierają i zamykają się w ciemnościach rany na jego twarzy, oleiste kości zwierają się i rozwierają jak szczypce kraba.

Burgess opadł na kolana, obaj chowańcy leżeli płasko na podłodze z obu jego stron, twarzami do ziemi.

Cameron wiedział, że nie będzie miał następnej szansy. Z trudem panując nad nogami, minął Burgessa, który zamknął oczy w uniżonej modlitwie. Bardziej przypadkowo niż celowo uderzył go kolaniem w podbródek, rozciągając na posadzce.

Nogi Camerona wyniosły go z lodowatej jaskini do pomieszczenia ze świecznikami.

Pokój za nim wypełniły dymy i westchnienia, a Cameron, jak żona Lota uciekająca po zniszczeniu Sodomy, obejrzał się na zakazany widok z tyłu.

Coś wynurzyło się z szybu. Szare cielsko wypełniało oświetlony otwór. Oczy głęboko osadzone w nagiej czaszce monstrialnej głowy spojrzały przez otwarte drzwi na Camerona. Zdawały się spoczywać na nim jak pocałunki, wnikając przez oczy do myśli.

Nie zamienił się w słup soli. Oderwawszy ciekawskie spojrzenie od przerażającej twarzy, przeleciał jak na łyżwach przez przedsionek i zaczął się wspinać po dwa, trzy stopnie na raz, upadając i wstając, upadając i wstając. Drzwi były nadal otwarte. Za nimi było światło i świat.

Minął je i wpadł do sieni, czując, jak ciepło zaczyna pobudzać zmarznięte nerwy. Ze schodów nie dochodził żaden dźwięk, pewnie zbyt się obawiali bezcielesnego

gościa, by gonić człowieka. Włókł się wzdłuż ściany sieni, jego ciało rozrywały drgawki i ciarki.

Ciągle nie był ścigany.

Na dworze było oślepiająco jasno, Cameron zaczął czuć radość z ucieczki. Nigdy dotąd czegoś takiego nie doznał. Mało brakowało, ale się uratował. Mimo wszystko Bóg był z nim.

Dotarł z trudem do roweru, zdecydowany przerwać bieg, oznajmiając światu...

Rower stał nienaruszony, jego kierownica była ciepła jak ramiona żony.

Gdy przekładał nogę przez ramę, spojrzenie, jakie wymienił z Piekiem, wywołało ogień. Ciało, lekceważąc pożar mózgu, chwilę jeszcze kontynuowało ruchy, naciskając stopami na pedały.

Cameron poczuł płomienie w głowie i wiedział, że umiera.

Ten widok, spojrzenie za siebie...

Żona Lota.

Jak głupia żona Lota...

Błyskawica przeskoczyła mu między uszami, szybsza niż myśl.

Czaszka pękła, a ze środka mózgu wyskoczył rozpalony do białości piorun. Oczy w oczodołach zaschły w czarne orzechy, mężczyzna miotał światło z ust i nozdrzy. Zmienił się w ciągu sekundy w słup czerniałego ciała.

Kompletnie zwęglone zwłoki zjechały na rowerze z jezdni i rozbiły okno wystawowe krawca. Legły w środku sklepu jak manekin, twarzą w dół, wśród spopielałych ubrań.

Tłumy na Trafalgar Square kipiały entuzjazmem. Krzyki, łzy i flagi. Wydawało się, że ten podrzędny wyścig znaczy wiele dla tych ludzi, jest rytuałem, którego znaczenia nie mogą znać. Mimo to czuli gdzieś wewnątrz, że dzień podszyty jest siarką, że ich dusze wspinają się na palce, by dosięgnąć nieba. Zwłaszcza...dzieci. Biegły wzdłuż trasy, krzycząc niezgrabne błogosławieństwa, ich twarze pokrywały łzy. Niektóre wołały jego imię:

–Joel! Joel!

A może mu się zdaje? Może wyobraził sobie zarówno modlitwę spływającą z ust Loyera, jak i promienne twarze dzieci trzymanyh wysoko, by patrzyły na biegających zawodników?

Na skrócie do Whitehall Frank McCloud zerknął przez ramię i Pieko go dopadło.

Zachwiał się, lodowata dłoń w jego piersiach zaczęła dławić mu życie.

Joel zwolnił, gdy do niego dobiegł. Frank miał purpurową twarz i pianę na ustach.

–McCloud – powiedział Joel i stanął, by spojrzeć w szczupłą twarz swego wielkiego rywala.

McCloud dojrzał go poprzez zasłonę dymu, która zażółciła jego szare oczy. Joel nachylił się, by mu pomóc.

–Nie dotykaj mnie – jęknął McCloud. Drobne naczynka w jego oczach pęczniały i krwawiły.

–Skurcz? – spytał Joel. – Czy to skurcz?

–Biegnij, idioto, biegnij – mówił mu McCloud, podczas gdy dłoń w jego wnętrzu

wyrywała zeń życie. Krew sączyła mu się teraz z porów twarzy, płakał czerwonymi łzami. – Biegnij. I nie oglądaj się. Na miłość boską, nie oglądaj się!

–Co ci jest?

–Biegnij po życie!

Nie była to prośba, lecz rozkaz.

Biegnij!

Chodziło nie o złoto czy sławę. Stawką było życie.

Joel poczuł nagle na karku zimny oddech.

Poderwał pięty i pobiegł.

–... Coś nie wiedzie się tu zawodnikom, Jim. Po sensacyjnym upadku Loyera, teraz zasłabł Frank McCloud. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Zdaje się jednak, że wymienił kilka słów z mijającym go Joelem, musi więc być z nim dobrze.

McCloud zmarł, nim umieszczono go w karetce, a do następnego ranka uległ rozkładowi.

Joel biegł. Jezu, jak biegł. Słońce grzało okrutnie w jego twarz, pozbawiając barw krzyczące tłumy, twarze i flagi.

Wszystko było jednym wielkim szumem, wypranym z człowieczeństwa.

Joel znał ogarniające go uczucie, towarzyszące zwykle zmęczeniu i niedotlenieniu. Biegł w otoczce własnej świadomości, myśli, potu. Cierpiał sam, dla siebie.

Samotność nie była taka zła. Głowę zaczęły wypełniać mu piosenki: strzępy hymnów, urywki z ballad miłosnych, sprośne przyśpiewki. Jego jaźń próżnowała, do głosu doszły marzenia, bezimienne i nieustraszone.

Przed nim, zalany białym deszczem światła, biegł Voight. To przeciwnik, musi go pokonać, Voight, z błyszczącym krzyżykiem kołyszącym się w słońcu. Może tego dokonać, jeśli się tylko nie obejrzy, jeśli się tylko nie obejrzy...

Za siebie.

Burgess otworzył drzwiczki mercedesa i wsiadł do środka. Zmarnował czas, cenny czas. Powinien być w parlamencie, na linii mety, gotów do powitania zawodników. Miał scenę do odegrania, będzie udawał łagodną, uśmiechniętą twarz demokracji. A jutro? Już mniej łagodną.

Dłonie spocły mu się z podniecenia, a garnitur w drobne prążki śmierdział płaszczem z kozlich skór, który musiał nosić w tamtym pokoju. Nikt jednak tego nie zauważył, a gdyby nawet, to który Anglik byłby na tyle niegrzeczny, by zwrócić mu uwagę, że śmierdzi kozłem?

Nienawidził Dolnej Izby, wiecznego lodu, przeklętej, ziejącej dziury z odległymi odgłosami zatracenia. Ma to już jednak za sobą. Dokonał ofiary, okazał całkowite, niepodważalne oddanie Piekłu. Nadeszła pora odebrania nagrody.

Prowadząc samochód, myślał o licznych ofiarach w imię ambicji. Najpierw drobne zwierzęta: kocięta i kurczaki. Potem odkrył, że te gesty uważali za śmieszne. Na początku był jednak naiwny, nie wiedział, co dać i w jaki sposób. Z upływem lat coraz lepiej pojmował ich wymagania i w końcu nauczył się obrzędu sprzedaży duszy. Jego umartwienia były dokładnie planowane i nieskazitelnie dozowane, choć pozbawiły go

sutków oraz nadziei na dzieci. Jednakże warto było cierpieć; stopniowo zdobywał moc.

Najpierw trzy dyplomy w Oxfordzie, żona odpowiadająca jego ambicjom, miejsce w parlamencie, a wkrótce, już niedługo, cały kraj.

Jak zwykle przy zdenerwowaniu, bolały go przypalane końce kciuków. Machinalnie zaczął jeden ssać.

–... No, zbliżamy się do decydujących chwil tego rzeczywiście piekielnego biegu, co Jim?

–O tak, naprawdę okazał się niesamowity. Voight wysforował się mocno, bez większego trudu ucieka przed pozostałymi zawodnikami. Oczywiście Jones wykonał niekorzystny dla siebie gest i sprawdził, czy Frank McCloud czuje się dobrze po paskudnym upadku, to sprawiło, że został w tyle.

–Jones przez to przegrał bieg?

–Chyba tak.

–Rzecz jasna, to tylko bieg dobroczynny.

–Oczywiście. A przy takich okazjach nie chodzi o zwycięstwo czy przegraną...

–Lecz o sam udział.

–Racja.

–Racja.

–Odkąd skręcili do Whitehall, widzą już budynki parlamentu. Tłumy dopingują swego chłopca, sądzą jednak, że na próżno...

–Pamiętasz, w Szwecji zdobył się na coś nadzwyczajnego.

–Tak. Rzeczywiście.

–Może uczyni to jeszcze raz.

Joel biegł, odstęp między nim a Voightem zaczął maleć. Chłopak skupił się na plecach przeciwnika, oczyma przewiercał mu koszulkę, poznawał jego rytm, szukał słabych punktów.

Zwalnia teraz. Nie jest już taki szybki. Stawia kroki nierówno, to nieomylna oznaka zmęczenia.

Może go dogonić. Z odwagą, może go dogonić...

I Kinderman. Zapomniał o Kindermanie. Nie namyślając się, Joel zerknął przez ramię i obejrzał się za siebie.

Kinderman był z tyłu, nie tracąc dystansu. Biegł stałym krokiem maratończyka. Za Joelem było jednak coś jeszcze, inny biegacz niemal deptał mu po piętach; upiorny, ogromny.

Odwrócił wzrok i spojrzał przed siebie, przeklinając swoją głupotę.

Z każdym krokiem zbliżał się do Voighta, który bardzo wyraźnie tracił siły. Joel wiedział, że na pewno go dogoni, jeśli tylko się postara. "Zapomnij o goniącym, kimkolwiek jest, zapomnij o wszystkim, poza ściganiem Voighta".

Nie mógł jednak pozbyć się widoku tego, co zobaczył za sobą.

„Nie oglądaj się”- słowa McClouda. Za późno, już to zrobił. Lepiej się dowiedzieć, kim jest duch.

Obejrzał się ponownie.

Wpierw nie zobaczył niczego, jedynie pędzącego samotnie Kindermana. Potem pojawiła się jeszcze raz biegnąca mara i Joel dowiedział się, co powaliło McClouda i Loyera.

To nie biegacz, żywy czy martwy. Nawet nie człowiek. To mgliste ciało i ziejąca ciemność zamiast głowy. Ściga go samo Piekło.

"Nie oglądaj się".

Jego usta, jeśli to usta, są otwarte. Oddech jest tak zimny, że Joela aż zatyka. To dlatego Loyer mamrotał modlitwy podczas biegu. Niewiele mu to pomogło; i tak zmarł.

Joel obejrzał się, nie dbał o to, że Piekło jest tak blisko za nim, próbował zlekceważyć nagłą słabość w kolanach.

Voight oglądał się także. Miał mroczną, zaniepokojoną minę. Joel skądś wiedział, że należy do Piekła, że cień z tyłu to pan Voighta.

–Voight. Voight. Voight – Joel wyrzucał z siebie to nazwisko za każdym krokiem. Voight usłyszał swoje nazwisko.

–Czarny gnój – powiedział na głos. Joel trochę wydłużył krok. Miał dwa metry do biegacza z Piekła.

–Spójrz... za... siebie – powiedział Voight.

–Widziałem to.

–Przyszedł... po... ciebie.

Słowa były melodramatyczne, dwuwymiarowe. Czyż nie był panem swego ciała? Nie bał się też ciemności, pokrywała mu skórę. Czyż w oczach innych ludzi nie czyniło go to czymś gorszym od człowieka?

A może lepszym, dużo lepszym: bardziej cielesnym, spoconym, krwistym. Co mu może zrobić Piekło? Zjeść go? Nie smakowałyby dobrze. Zamrozić? Był zbyt gorąckrwisty, zbyt szybki, zbyt żywotny. Nic go nie weźmie, był barbarzyńcą z manierami dżentelmena.

Voight cierpiał, ból widać było w jego urywanym oddechu, poszarpanym rytmie kroków. Byli zaledwie pięćdziesiąt metrów od schodów i mety, lecz przewaga Voighta systematycznie malała, każdy krok zbliżał biegaczy do siebie.

Potem zaczęły się targi.

–Posłuchaj... mnie.

–Czym jesteś?

–Moc... dam ci moc... tylko... daj... nam... wygrać. Joel był niemal przy nim.

–Za późno.

Z dumą stawiał nogi, umysł rozpierała mu radość. Piekło za nim, Piekło za nim. Czym się tu martwić? Może biec.

Minął Voighta sprężystym krokiem, jak doskonała maszyna.

–Bydlę. Bydlę. Bydlę... – mówił chowaniec z twarzą wykrzywioną wielkim wysiłkiem. Czy nie zafalowała, gdy Joel go mijał? Czy jego rysy nie przestały na chwilę udawać ludzkich?

Potem Voight został w tyle, tłumy wiwatowały, a świat odzyskiwał barwy. Czekają go zwycięstwo. Nie wiedział w czym, ale jednak zwycięstwo.

Widział teraz Camerona, stał na schodach obok nieznanego Joelowi mężczyzny w garniturze w drobne prążki. Cameron uśmiechnął się i krzyczał z niezwykłym dla niego entuzjazmem, kiwając na Joela.

Biegł jeszcze szybciej w stronę mety, widok Camerona dodał mu sił. Potem jego twarz zaczęła się zmieniać. Czy tylko żar powoduje, że jego włosy migoczą? Nie, policzki mu nabrzmiały, na szyi i czole pojawiają się ciemne plamy. Włosy stały mu na głowie, jaśniały. Cameron płonął. Cameron płonął, lecz mimo to uśmiechał się i nadal kiwał ręką.

Joel poczuł nagłą rozpacz.

Piekło za nim. Piekło przed nim.

To nie jest Cameron. Nie było go nigdzie widać, a więc Cameron zmarł.

Czuł to. Cameron zmarł, a jego czarna karykatura uśmiechała się i pozdrawiała go do ostatniej chwili jak inni wielbiciele.

Joel zmylił krok, stracił rytm. Za plecami słyszał oddech Voighta, strasznie mocny i bliski, coraz bliższy.

Nagle zbuntowało się całe jego ciało. Żołądek chciał wyrzucić swoją zawartość, nogi wołały o upadek, głowa odmawiała myślenia, pragnęła się tylko bać.

–Biegnij – mówił do siebie. – Biegnij. Biegnij. Biegnij.

Ale przed nim jest Piekło. Jak można biec w jego ramiona?

Voight dogonił go, biegł u jego boku, popchnął przy mijaniu.

Łatwo odbierał Joelowi zwycięstwo, tak jak dziecku odbiera się cukierek. Meta znajdowała się tylko o kilka kroków, a Voight znowu prowadził. Ledwo uświadamiając sobie, co robi, Joel wyciągnął rękę i chwycił Voighta, złapał go za koszulkę. Był to faul widoczny dla każdego w tłumie. Do diabła z tym.

Szarpnął mocno Voighta, obaj się zachwiali. Ludzie rozstąpili się, gdy wybiegli z trasy i ciężko upadli, Voight na Joela.

Ręka Joela, wyciągnięta, by uchronić go przed zbyt gwałtownym upadkiem, trzasnęła pod ciężarem obu ciał. Pękła źle ustawiona kość przedramienia. Joel usłyszał trzask, nim opanował go skurcz, potem krzyknął z bólu.

Na schodach Burgess ryczał jak dziki. Co za widowisko! Kamery kręciły, komentatorzy komentowali.

–Wstawaj! Wstawaj! – wrzeszczał.

Joel trzymał jednak Voighta zdrową ręką, nic nie mogło mu go wyrwać.

Przewracali się obaj na żwirze, każdy obrót miażdżył rękę Joela i wydierał mu z wnętrzości bluzgi wymiocin.

Udając Voighta chowaniec, był wyczerpany. Nie znał dotąd takiego zmęczenia, nie był przygotowany na wysiłek w biegu, w którym kazał mu uczestniczyć jego pan. Tracił nerwy, był niebezpiecznie blisko utraty opanowania. Joel czuł na twarzy jego oddech i zapach kozła.

–Pokaż się – powiedział.

Oczy stwora straciły źrenice, były teraz całkowicie białe.

Joel odchrząknął flegmę z głębi gardła i plunął nią w twarz chowańca.

Tamten się załamał.

Twarz się rozpuściła. Niby ciało przybrało nowy kształt, bez oczu i nosa, bez uszu i włosów. Otaczający ich tłum cofnął się. Ludzie krzyczeli i mdleli. Joel ich nie widział, lecz z radością słuchał głosów. Nie tylko on widział przemianę. Stała się znana wszystkim. Każdy dostrzegał prawdę, ohydną, zionącą prawdę.

Gęba była wielka, wypełniona rzędami zębów jak pysk pewnej ryby głębinowej, groteskowo ogromnej. Zdrowa ręka Joela znajdowała się po dolną szczęką stwora, starał się go odsunąć, krzycząc o pomoc.

Nikt nie podchodził.

Tłum stał w bezpiecznej odległości, ciągle wrzeszcząc i gapiąc się, nieskory do interwencji. Przyglądał się zapasom z Diabłem. Nie chciał mieć z nimi nic wspólnego.

Joel poczuł w końcu, że opuszczają go siły, nie był w stanie dłużej odpychać pyska. Z rozpaczą poczuł zęby na brwiach i brodzie, ich wdzieranie się w ciało i kości. Gdy gęba odgryzła mu twarz, poczuł, jak ogarnia go noc.

Chowaniec wstał znad zwłok ze zwisającymi mu między zębami kawałkami głowy Joela. Zdarł mu twarz jak maskę, pozostawiając krew i poszarpane mięśnie. W otwartych ustach Joela trzepotał i wił się język.

Burgess nie dbał o to, co pomyśli o nim świat. Bieg był dlań wszystkim, zwycięstwo jest zwycięstwem, obojętnie jak osiągnięte. A Jones przecież popełnił faul.

–Tu! – wrzeszczał do chowańca. – Tu! Stwór zwrócił do niego pokrytą krwią twarz.

–Chodź tutaj – rozkazał Burgess. Byli tylko o kilka metrów, parę kroków do mety i zwycięstwo zapewnione.

–Biegiem do mnie! – skrzeczał Burgess. – Biegiem! Biegiem! Biegiem!

Chowaniec był zmęczony, ale poznał głos swego pana. Powłókł się do mety, ślepo słuchając krzyków Burgessa.

–Cztery kroki. Trzy...

Metę minął Kinderman. Krótkowzroczny Kinderman wygrał bieg o krok przed Voightem, nie wiedząc, że zwycięża, nie widząc nawet krwawej jatki u swoich stóp.

Minięcia mety nie skwitowały żadne wiwaty, żadne gratulacje. Powietrze wokół schodów pociemniało, pojawił się niezwykle o tej porze roku szron.

Kręcąc przepraszająco głową, Burgess upadł na kolana.

–Ojczy nasz, któryś jest w niebie...

Co za stara sztuczka. Co za naiwna reakcja.

Tłum zaczął się cofać. Niektórzy ludzie biegli. Najmniej przestraszone były dzieci znające naturę mroku, który dopiero co opuściły. Brały rodziców za ręce i wyprowadzały stamtąd jak owieczki, każąc, by się nie oglądali. Rodzice przypominali sobie mętnie łono, pierwszy tunel, pierwsze bolesne wyjścia z poświęconego miejsca, pierwszą straszną pokusę, by się obejrzeć i umrzeć. Pamiętając odchodzili ze swoimi dziećmi.

Tylko Kinderman wyglądał na nieporuszonego. Usiadł na stopniach i zaczął czyścić okulary, uśmiechnięty, radujący się ze zwycięstwa, nieczuły na chłód.

Burgess, wiedząc, iż jego modły nie poskutkowały, podwinął ogon i zniknął w

Pałacu Westminster.

Opuszczony chowaniec przestał udawać człowieka i stał się sobą. Niestaly, bezbarwny, wypluł niesmaczne ciało Joela Jonesa. Na wpeł przeżuta twarz biegacza spadła na żwir obok ciała. Chowaniec zwinął się w powietrzu i wrócił do Kręgu, który był mu domem.

W korytarzach władzy śmierdziało; nie było w nich życia, pomocy.

Burgess nie był wysportowany, z biegu szybko przeszedł w marsz.

Mijał ponure korytarze, krocząc niemal bezgłośnie po wydeptanym dywanie.

Nie wiedział, co robić. Niewątpliwie zostanie obwiniony o nieuwzględnienie w planach wszystkich okoliczności, lecz był pewny, że zdoła się z tego wytłumaczyć. Odda im wszystko, co zechcą, by wynagrodzić brak przezorności. Ucho, stopę, nie ma niczego do stracenia oprócz ciała i krwi.

Musi jednak starannie zaplanować obronę, bo oni nie znoszą błędnej logiki. Stając przed nimi z nie uporządkowanymi wyjaśnieniami ryzykował więcej niż życie.

Za nim był mróz, wiedział, czym jest. Piekło szło za nim cichymi korytarzami, prosto do samego łona demokracji. Wytrzyma to, dopóki się nie odwróci. Jak długo będzie patrzył na podłogę lub dłonie bez kciuków, nic mu nie grozi. Była to jedna z pierwszych lekcji, jakie opanował, wchodząc w komitwę z Piekłem.

W powietrzu był szron. Burgess widział swój oddech, głowa bolała go z zimna.

–Przepraszam – szczerze oznajmił goniącemu. Głos, który mu odpowiedział, był łagodniejszy, niż się spodziewał.

–To nie twoja wina.

–Nie – stwierdził Burgess pokrzepiony pojednawczym tonem. – To był błąd, jestem pełen skruchy. Przeoczyłem Kindermana.

–Wszyscy popełniamy błędy – odparło Piekło. – Za sto lat spróbujemy znowu. Demokracja to ciągle nowy kult, nie straciła jeszcze swego sztucznego blasku. Damy im następny wiek, potem dostaniemy najlepszych.

–Tak.

–Ale ty...

–Wiem.

–Żadnej władzy dla ciebie, Gregory.

–Żadnej.

–To nie koniec świata. Spójrz na mnie.

–Nie teraz, jeśli pozwolisz.

Burgess szedł dalej, stawiając miarowe kroki. "Zachowuj się spokojnie, rozsądnie".

–Proszę cię, spójrz na mnie – zawołało Piekło.

–Później, panie.

–Proszę ci tylko o spojrzenie. Docenię odrobinę szacunku.

–Spojrzę. Naprawdę spojrzę. Później.

Korytarz się tu rozdzielał. Burgess skręcił w lewe odgałęzienie. Symbolizm go zawiódł. Była to ślepa uliczka.

Burgess stał twarzą do ściany. Mróz przenikał do szpiku kości, kikuty kciuków

naprawdę bolały. Zdjął rękawiczki i zaczął je mocno ssać.

–Spójrz na mnie. Odwróć się i spójrz – dobiegł go uprzejmy głos.

Co ma teraz zrobić? Najlepiej chyba, jeśli cofnie się korytarzem i znajdzie inną drogę. Musi krążyć tak długo, aż zdoła na tyle wytłumaczyć swoje stanowisko, by prześladowca go opuścił.

Gdy stał, rozważając dostępne możliwości, poczuł lekki ból w karku.

–Spójrz na mnie – oznajmił znowu głos.

Coś dławilo mu gardło, w głowie dziwnie zgrzytało, jakby kość tarła o kość.

Wydawało mu się, że na podstawie jego czaszki spoczął nóż.

–Spójrz na mnie – powiedziało Piekło po raz ostatni i głowa Burgessa odwróciła się.

Reszta ciała tkwiła nieruchoma przed pustą ścianą ślepego korytarza.

Głowa jednak skręcała się na wiotkiej szyi, lekceważąc rozum i anatomię. Burgess zacharczał, gdy gardło skręciło się w węzeł, a kręgosłup stał się na proszek. Chrząstki rozpadły się w pył. Oczy zaszły mu krwią, a uszy nabrzmiały. Zmarł, patrząc na twarz swego pana, którego nie udało mu się zadowolić.

–Powiedziałem ci, byś na mnie spojrział – oznajmiło Piekło i odeszło swoimi gorzkimi drogami, zostawiając go tam dla demokratów, którzy znajdą ciało, gdy wejdą do Westminsteru.

NOWE MORDERSTWA PRZY RUEMORGU

Zima, stwierdził Lewis, to nie pora dla starych ludzi. To co radowało go w dzieciństwie, witał teraz przekleństwami. Z całego serca nienawidził rzucających śnieżkami dzieci, a także młodych kochanków, chętnie dających się przyłapać przez śnieżycę. Było mu niewygodnie i źle, wolałby zostać w Fort Lauderdale, gdzie grzeje słońce. Telegram Catherine był jednak naglący. Łączące ich od pięćdziesięciu lat więzy przyjaźni nakazywały mu jechać. Przybył na wezwanie z przeszłości tak szybko, jakby płonął Paryż.

Było to miasto jego matki, urodziła się na Boulevard Diderot, gdy miasta nie zeszpeciły jeszcze swobodne wizje architektów i inżynierów. Przed każdym przybyciem do Paryża Lewis przygotowywał się na nową profanację. Zauważył, że ostatnio jest ich więcej. Recesja w Europie sprawiła, że rządy mniej chętnie wysyłały spychacze. Mimo to wciąż burzono stare piękne domy. Czasem spotykało to całe ulice.

Nawet Rue Morgue.

Nie był już nawet pewny, czy ta ulica naprawdę istniała.

Z biegiem lat Lewisowi coraz mniej zależało na rozróżnianiu faktów od fikcji. Była to kwestia akademicka. Jakie znaczenie ma prawda i fałsz? Różnica między rzeczywistym a wymyślonym? Według niego wszystko razem, półprawdy i kłamstwa, tworzyło życie człowieka. Może istniała jakaś Rue Morgue, którą opisał w swoim nieśmiertelnym opowiadaniu Edgar Allan Poe, a może została całkowicie wymyślona.

Trochę się jednak rozczarował, kiedy nie znalazł tej ulicy. Mimo wszystko tworzyła część jego dziedzictwa. Jeśli prawdziwe były opowieści, których słuchał w dzieciństwie, to o wydarzeniach opisanych w "Morderstwie przy Rue Morgue" Poe'go dowiedział się od dziadka Lewisa. Matka była dumna, że jej ojciec spotkał Poe'go podczas pobytu w Ameryce. Jako zapalony podróżnik był nieszczęśliwy, jeśli co tydzień nie odwiedził nowego miasta. W zimie 1835 roku znalazł się w Richmond, w Wirginii. Była wtedy mroźna zima, taka sama jak ta tutaj.

Pewnej nocy jego dziadek schronił się przed śnieżycą do baru. Spotkał tam niskiego, ciemnego melancholijnego młodzieńca, na którego wołano Eddie. Był miejscową sławą, odkąd napisał opowiadanie, które wygrało konkurs "Baltimore Saturday Visitor". Opowiadanie nosiło tytuł: "Rękopis znaleziony w butelce", a młody człowiek nazywał się Edgar Allan Poe.

Pili razem cały wieczór, a Poe (zwykle tak czynił) grzecznie nagabywał dziadka Lewisa o znane mu opowieści o dziwnych wydarzeniach, duchach i chorobach. Bywały w świecie podróżnik chętnie uległ namowom, opowiadając niewiarygodne rzeczy, które pisarz zamienił później w "Tajemnicę Marii Roget" oraz "Morderstwo przy Rue Morgue". W obu tych opowiadaniach różne okropieństwa wykrywał C. Auguste Dupin, szczególny geniusz.

Poe stworzył wizerunek doskonałego detektywa, spokojnego, rozsądnego i niesamowicie spostrzegawczego. Opowiadania, w których występował, szybko stały się słynne i Dupin stał się bardzo znany. Nikt w Ameryce nie wiedział, że istniał

naprawdę.

Był bratem dziadka Lewisa. Stryjeczny dziadek Lewisa nazywał się właśnie C. Auguste Dupin.

Jego największe odkrycie – morderstwo przy Rue Morgue – było także oparte na prawdziwym zdarzeniu. Na tej ulicy brutalnie zamordowano dwie kobiety. Były to pani L'Espa-naye i jej córka Camille. Obie cieszyły się dobrą reputacją, żyły spokojnie i bez sensacji. Tym większy wstrząs wywołał okrutny koniec ich życia. Ciało córki wrzucono do komina, matkę odnaleziono na podwórku z podciętym gardłem. Nie znaleziono motywu morderstwa, a tajemnicę pogłębiły zeznania mieszkańców domu, z których każdy twierdził, iż morderca mówił w innym języku. Francuz był pewien, że po hiszpańsku, Anglik usłyszał niemczyznę, Holender był przekonany, iż chodzi o francuski. Prowadzący śledztwo Dupin zauważył, że żaden ze świadków nie znał języka, którego według nich miał używać morderca. Doszedł do wniosku, że nie był to prawdopodobnie język, lecz nieartykułowany głos dzikiego zwierzęcia.

Rzeczywiście. Była to małpa, wielki orangutan z wysp Indii Wschodnich. Dupin znalazł brązowe włosy w zaciśniętej dłoni pani L'Españaye. Bestia należała do maltańskiego marynarza, uciekła mu i udała się do mieszkania przy Rue Morgue.

To zasadniczy zręb opowieści.

Ta historia wywarła wielki wpływ na Lewisa. Lubił rozmyślać o swoim stryjecznym dziadku, logicznie rozwiązującym tajemnicę. Uważał jego spokój za czysto europejski i przynależny zapomnianej epoce, w której ceniono światło rozumu.

Teraz, gdy dwudziesty wiek zbliża się ku końcowi, przywykliśmy do znacznie większych okropieństw. Antropolodzy zbadali łagodnego orangutana i stwierdzili, iż jest on żyjącym samotnie spokojnym zwierzęciem roślinożernym.

Prawdziwe potwory nie rzucają się w oczy i są dlatego bardziej niebezpieczne. Przy ich możliwościach brzytwa wygląda żałośnie.

Lewis cieszył się, że jest stary i niedługo opuści ten świat. Tak. Mróz przenika go do szpiku kości. Widok młodej dziewczyny o boskiej twarzy już nie budzi w nim pożądania. Czuje się teraz obserwatorem, nie uczestnikiem.

Nie zawsze tak było.

W roku 1937, w tym samym pokoju przy Quai de Bourbon 18, w którym teraz siedzi, zdobywał liczne doświadczenia. Paryż był wtedy rozkosznym miejscem, beztrąsko lekceważącym pogłoski o wojnie, zachowującym nastrój radosnej naiwności. Wówczas spędzał życie na rozrywkach. Oczywiście złudne to było szczęście, ale wtedy nikt jeszcze nie wierzył, że nadejdzie najgorsze.

Powrócił myślami do swojej nowojorskiej wystawy. Ukazana w niej seria malowanych kronik potępionej Europy odniosła wspaniałą sukces. W wieku siedemdziesięciu trzech lat Lewis Fox był fetowany. Wszystkie pisma poświęcone sztuce zamieściły o nim artykuły. Wielbicie i kupcy dobijali się o jego prace, cisnęli się, by z nim pomówić, uściskać go. Wszystko to przyszło za późno. Okres twórczy miał już dawno za sobą. Pięć lat temu odłożył pędzel. Teraz, gdy był jedynie widzem, jego triumf wydawał mu się parodią; patrzył na ten cyrk z rosnącym niesmakiem.

Kiedy otrzymał z Paryża telegram z prośbą o przybycie, z wielką ochotą porzucił ten kretyński krąg.

Czekał teraz w ciemnym mieszkaniu, patrząc na potok samochodów przejeżdżających przez most Ludwika Filipa; zmęczeni paryżanie wracali w śnieżycy do domów. Rozlegały się klaksony, silniki krztusiły się i ryczały, światła przeciwmgłowe przecinały most. Catherine ciągle nie nadchodziła.

Śnieg zaczął padać dopiero wieczorem. Zapadał zmrok. Wreszcie usłyszał kroki na korytarzu i szepty wymieniane z dozorczynią.

To Catherine. Nareszcie jest!

Wstał, patrząc na drzwi. Wyobrażał sobie, jak się otworzą i zobaczy ją na progu.

–Lewis! Kochany – uśmiechnęła się do niego; blade uśmiech na bladej twarzy.

Wyglądała staro. Ileż to lat minęło od ich ostatniego spotkania? Cztery? Pięć? Pachniała tak samo jak zawsze, ta stałość napawała Lewisa spokojem. Ucałował ją w zimne policzki.

–Dobrze wyglądasz – skłamał.

–Nie wyglądam – powiedziała. – Gdybym wyglądała dobrze, Phillipe mógłby poczuć się urażony. Jak mogę się dobrze czuć, skoro mam takie kłopoty?

Jak zwykle bystra i groźna. Była od niego trzy lata starsza, lecz traktowała go jak nauczycielka ucznia. Zawsze taka była; w ten sposób zachowywała się wobec tych, których lubiła.

Po przywitaniu usiadła przy oknie, patrząc na Sekwanę. Małe, szare kry przepływały pod mostem, zderzając się i obracając. Woda wyglądała groźnie.

–Jakie kłopoty ma Phillipe?

–Jest oskarżony o...

Drobne zawieszenie głosu. Drgnięcie powieki.

–...morderstwo.

Lewisowi chciało się śmiać. To niedorzeczne! Phillipe miał sześćdziesiąt dziewięć lat i był łagodny jak baranek.

–Rozumiesz, że nie mogłam ci tego napisać w telegramie. Morderstwo! Jest oskarżony o morderstwo.

–Kogo?

–Oczywiście dziewczyny. Jednej z jego kochanek.

–Ciągle gania za spódniczkami?

–Często żartował, że umrze na kobiecie, pamiętasz? Lewis kiwnął głową.

–Miała dziewiętnaście lat. Natalie Perec. Była nieźle wykształcona. I śliczna.

Długie, rude włosy. Pamiętasz, że Phillipe uwielbiał rude?

–Miała dziewiętnaście lat?

Nie odpowiedziała. Lewis usiadł, wiedząc, że denerwuje ją chodzenie po pokoju. Miała nadal ładny profil, a wpadająca przez okno poświata łagodziła rysy jej twarzy, wymazując magicznie kilkadziesiąt lat z jej życia.

–Gdzie on jest?

–Zamknęli go. Powiedzieli, że jest niebezpieczny i może znowu kogoś zabić. Lewis czuł ból w skroni.

–On chce się z tobą zobaczyć. Bardzo nalega. Teraz wiedział, że nie może być jedynie widzem.

Phillipe Labordeaux patrzył na Lewisa nad pustym stołem. Miał zmęczoną, przygnębną twarz. Przywitali się skinieniem ręki; wszelki kontakt fizyczny był ściśle zakazany.

–Jestem zrozpaczony! Moja Natalie nie żyje.

–Powiedz, jak to się stało.

–Mam małe mieszkanie na Montmartrze. W zasadzie sam pokój do przyjmowania przyjaciół. Wiesz, jaki porządek utrzymuje zawsze Catherine, nie można czuć się z nią swobodnie. Natalie spędzała ze mną wiele czasu, wszyscy ją znali. Była taka dobra, taka piękna. Przygotowywała się do studiów medycznych. Kochała mnie.

Phillipe był przystojny i ciągle elegancko ubrany. Bił z niego nastrój minionego wieku.

–Wyszedłem w sobotę rano do piekarni. A gdy wróciłem... – Słowa utknęły mu w gardle. – Lewis...

W oczach pokazały mu się łzy bezsilności. Nie mógł znieść, że usta odmawiają mu wypowiedzenia niezbędnych słów.

–Nie mów – zaczął Lewis.

–Chcę ci coś powiedzieć. Powinieneś zobaczyć ją taką, jaką była, gdy wróciłem, żebyś wiedział, co jest... co jest... co jest na świecie. – Łzy spływały mu po twarzy. – Była zalana krwią. Zdarta skóra... wydarte włosy, język na poduszce. Wyobraź to sobie! Odgryzła go z przerażenia. Leżał na poduszce. Oczy, były całe zakrwawione, jakby płakała krwią. Była dla mnie najdroższym stworzeniem na świecie. Była piękna.

–Była...

–Chcę umrzeć, Lewis.

–Nie.

–Nie mam po co żyć.

–Nie uznają cię winnym.

–To nieważne, Lewis. Teraz ty musisz troszczyć się o Catherine. Czytałem o twojej wystawie. – Niemal się uśmiechnął. – Wspaniale ci się powiodło. Pamiętasz? Przed wojną zawsze mówiliśmy, że ty będziesz sławny, a ja... – przestał się uśmiechać – osławiony. W gazetach piszą teraz o mnie straszne rzeczy. Starzec uganiający się za młodymi dziewczętami. Sam rozumiesz. Przypuszczalnie uważają, że się wściekłem, bo nie mogłem jej zadowolić. Na pewno tak myślą. – Stracił wątek, umilkł, po czym znowu zaczął: – Musisz dbać o Catherine. Ma pieniądze, ale brak jej przyjaciół. Jest zimna i zbyt zraniona w środku, to odstręcza od niej ludzi. Musisz z nią zostać.

–Zostanę.

–Wiem, wiem. Dlatego czuję się szczęśliwy, naprawdę...

–Nie, Phillipe.

–Umieram. Nic innego nam nie zostało, Lewis. Świat jest zbyt okrutny.

Lewis pomyślał o śniegu, krach i przyznał w myśli, że umieranie ma sens.

Oficer prowadzący śledztwo nie był uprzejmy, choć Lewis przedstawił się jako

krewny szanowanego powszechnie detektywa Dupina.

–Pański przyjaciel, monsieur Fox – powiedział inspektor, oglądając swój brudny kciuk – jest mordercą. Dowody są niezaprzeczalne.

–Nie mogę w to uwierzyć.

–Ma pan prawo wierzyć, w co pan zechce. Mamy wszelkie dowody, aby skazać Phillipe'a Labordeaux za morderstwo z premedytacją. Popełnił je z zimną krwią i zostanie ukarany z całą surowością prawa.

–Jakie dowody ma pan przeciw niemu?

–Panie Fox, nie muszę ich zdradzać. Powiem tylko, że w czasie, kiedy oskarżony miał rzekomo przebywać w wymyślonej piekarni, w domu nie widziano nikogo innego, a do pokoju denatki można się było dostać jedynie po schodach.

–A oknem nie?

–Gładki mur, trzy piętra. Jedynie akrobata mógłby się po nim wspiąć.

–Jak wyglądało ciało? Inspektor skrzywił się z odrazy.

–Strasznie. Skóra i mięśnie oderwane od kości. Widoczny kręgosłup. Mnóstwo krwi.

–Phillipe ma prawie siedemdziesiątkę!

–No to co?

–Stary człowiek nie byłby zdolny...

–Pod innymi względami – przerwał mu inspektor – wydaje się całkiem zdolny! Był namiętnym kochankiem; do tego był zdolny.

–A jaki mógł mieć motyw?

Inspektor ściągnął usta, przewrócił oczami i klepnął się w pierś.

–Miłość... – powiedział, jakby próbował wyjaśnić sprawę sercową. – Ludzkie serce, czy nie? – Owiewając Lewisa nieświeżym oddechem, otworzył drzwi. – Traci pan czas, panie Fox. Zbrodnia to zbrodnia. Jest czymś rzeczywistym, inaczej niż na pańskich obrazach.

Dojrzał zdziwienie na twarzy Lewisa.

–Och, oczywiście doszły mnie słuchy o pańskiej sławie. Proszę, niech pan fantazjuje jak potrafi, w tym jest pan znakomity! Ja zaś znam się na dochodzeniu prawdy.

Lewis nie mógł już dłużej wytrzymać z tym szczurem.

–Prawdy? – warknął na inspektora. – Nie poznałby pan prawdy, choćby się pan o nią potknął.

Inspektor wyglądał tak, jakby dostał w twarz zdechłą rybą.

Satysfakcja była bardzo mała, lecz dzięki niej Lewis poczuł się lepiej.

Wspinając się do pokoiku na drugim piętrze domu przy Rue des Martyrs, Lewis czuł zapach wilgoci. Otwierały się za nim drzwi, słyszał za sobą pełne ciekawości szepty, lecz nikt nie próbował go zatrzymać. Pokój, w którym zdarzył się ten koszmar, był zamknięty. Zdenerwowany, choć nie wiedział, jak widok wnętrza pokoju miałby mu pomóc rozwikłać sprawę Phillipe'a, zszedł po schodach na zewnątrz.

Catherine wróciła na Quai de Bourbon. Rozpuściła kok, a siwe włosy opadły swobodnie naramiona. W świetle lamp jej twarz miała chorobliwy, szarobły odcień.

Drżała.

–Coś się stało? – zapytał.

–Byłam w mieszkaniu Phillipe'a.

–Ja też byłem, ale jest zamknięte.

–Mam zapasowy klucz. Chciałam wziąć stamtąd trochę jego ubrań.

Lewis kiwnął głową.

–No i?

–Był tam ktoś jeszcze.

–Policja?

–Nie.

–A kto?

–Miał na sobie obszerny płaszcz, twarz zasłaniał szalikiem. Nosił kapelusz i rękawiczki. – Zamilkła i po chwili dodała: -Miał też brzytwę.

–Brzytwę?

–Otwartą brzytwę. Jak fryzjer.

Coś drgnęło w umyśle Lewisa. Otwarta brzytwa, ktoś tak ubrany...?!

–Czy coś ci zrobił? Pokręciła głową.

–Krzyknęłam, a on wtedy uciekł.

–Czy coś mówił?

–Nie.

–Może to jest jakiś przyjaciel Phillipe'a?

–Znam jego przyjaciół.

–No to tej dziewczyny. Może jej brat.

–Może. Ale...

–Co?

–Było w nim coś dziwnego. Czułam od niego perfumy, mocne, ponadto bardzo drobił kroczyki, mimo że był potężny. Lewis objął ją ramieniem.

–Ktokolwiek to był, przestraszyłaś go. Nie możesz tam chodzić. Jeśli Phillipe potrzebuje ubrań, chętnie pójdę po nie.

–Dziękuję. Może on po prostu wpadł tam, by zobaczyć miejsce zbrodni. Ludzie czasem tak robią, prawda? To taka chorobliwa ciekawość...

–Jutro pogadam z tym szczurem.

–Szczurem?

–Inspektorem Marais. Powiem mu, by przeszukał to miejsce.

–Czy widziałeś się z Phillipem?

–Tak.

–Dobrze się czuje? Lewis dość długo milczał.

–Chce umrzeć. Przestał walczyć, nim jeszcze doszło do procesu.

–Przecież on tego nie zrobił.

–Nie możemy tego dowieść.

–Chwaliłeś się zawsze swoimi przodkami. Wynosiłeś Dupina pod niebiosa.

Dowiedź tego...

–Od czego mam zacząć?

–Porozmawiaj z ludźmi. Może ta kobieta miała wrogów.

Jacques Solal wpatrywał się w Lewisa poprzez grube, okrągłe szkła okularów, powiększające jego źrenice. Wlał w siebie nieco za dużo koniaku.

–Ona nie miała żadnych wrogów – powiedział. – Może tylko kilka kobiet zazdrościło jej urody...

Lewis bawił się opakowanymi kostkami cukru, które podano mu do kawy. Solal nie był skory do udzielania informacji. Trudno było uwierzyć, że ten karzeł jest według Catherine najbliższym przyjacielem Phillipe'a.

–Uważasz, że to Phillipe ją zamordował? Solal zacisnął usta.

–Skąd mogę wiedzieć?

–A kogo podejrzewasz?

–Phillipe jest moim przyjacielem. Powiedziałbym, kto ją zabił, gdybym tylko znał prawdę.

Wyglądało na to, że nie kłamie. Ten mały mężczyzna topił w koniaku swoją rozpacz.

–Jest dżentelmenem – powiedział Solal, patrząc na ulicę. Za przydymionymi oknami kawiarni paryżanie brnęli w śniegu i zamieci.

–Dżentelmenem – powtórzył.

–A jaka była dziewczyna?

–Była piękna, kochał ją. Miała oczywiście także innych wielbicieli. Kobieta taka jak ona...

–Zazdrosnych?

–Skąd to mogę wiedzieć?

Skąd mogę wiedzieć? Skąd mogę wiedzieć? To stawało się denerwujące.

–Czy przypominasz sobie jakiegoś jej szczególnego zalotnika? – zapytał.

Solal uśmiechnął się. W dolnej szczęce brakowało mu zębów.

–O, tak. Był ktoś taki.

–Kto?

–Nie znam jego nazwiska. Wielki facet; kilka razy widziałem go przed domem. Choć, sądząc po zapachu, można by podejrzewać, że jest... – Zrobił minę zdradzającą, iż ma na myśli homoseksualistę. Uniesione brwi i ściągnięte usta czyniły go jeszcze śmieszniejszym.

–Pachniał?

–O, tak.

–Czym?

–Perfumami, Lewis. Perfumami.

"Gdzieś w Paryżu jest człowiek, który znał ukochaną Phillipe'a. Opanowała go wywołana zazdrością furia. W napadzie dzikiego szału włamał się do mieszkania Phillipe'a i zmasakrował dziewczynę. To jasne" – myślał gorączkowo Lewis.

–Jeszcze koniaku? Solal pokręcił głową.

–Już mam dość – powiedział.

Lewis przywołał kelnera. Spojrzał na plik gazet wiszących za barem.

–Phillipe lubił pisma ilustrowane – powiedział Solal. – Czasami tu przychodził, by

je przeglądać.

Wycinki były stare, poplamione i wyblakłe. Była tu wzmianka o piorunach kulistych widzianych na pobliskich ulicach. Inna mówiła o chłopcach, którzy spłonęli w swoim szałasie. Jedna dotyczyła zbiegłej pумы, druga nieznanego rękopisu Rimbauda, trzecia (zilustrowana zdjęciem) śmiertelnych ofiar katastrofy lotniczej na lotnisku w Orleanie. Pod stosem tych ciekawostek leżała tak absurdalna fotografia, że jej autorem mógł być Max Ernst. Grupa dobrze ubranych dżentelmenów, noszących sumiaste wąsy, popularne w latach dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku, skupiona wokół wielkiego, zakrwawionego cielska goryla, zawieszzonego na łałami za tylne łapy. Twarze na zdjęciu wyrażały tępą dumę z całkowitej władzy nad martwym zwierzęciem. Jego odwrócony łeb był w chwili śmierci szlachetnie pochylony. Brwi miał gęste i grube, ze szczęki, na której widniała straszliwa rana, zwieszała się rzadka jak u patrycjusza broda, głęboko osadzone oczy wydawały się być pełne troski o bezlitosny świat.

Żałosne!

–Co to jest? – zapytał Lewis pryszczatego barmana, wskazując na zdjęcie.

Mężczyzna w odpowiedzi wzruszył ramionami.

–Skąd to może wiedzieć? – powiedział w tyle Solal.

Na pewno nie była to małpa z opowiadania Poe'go. Pochodzi ona z roku 1835, a zdjęcie jest znacznie późniejsze. Ponadto przedstawia ono niewątpliwie goryla.

Czy historia się powtórzyła? Czy małpa ta błąkała się na przełomie wieku po ulicach Paryża?

A jeśli opowieść o małpie powtórzyła się raz... dlaczego nie miałyby powtórzyć się dwukrotnie?

Wracając mroźną nocą do mieszkania przy Quai de Bourbon, Lewis wyobrażał sobie powtórkę owych wydarzeń i dostrzegł dalsze odpowiedniki.

Czy to możliwe, by on, stryjeczny wnuk C. Auguste'a Dupina wplątał się w identyczną sprawę?

Klucz do pokoju Phillipe'a miał w kieszeni i chociaż było dobrze po północy, Lewis zawrócił na moście i wkroczył na Boulevard de Sebastopol, skręcił na zachód w Boulevard Bonne-Nouvelle i ponownie na północ w stronę placu Pigalle. Była to długa, wyczerpująca wędrówka, lecz chciał zaczerpnąć zimnego powietrza. Wreszcie dotarł na Rue des Martyrs.

Była sobotnia noc i z wielu mieszkań ciągle dochodziły głosy. Lewis wszedł na drugie piętro najciszej, jak potrafił. Klucz obrócił się lekko i drzwi stanęły otworem.

Światła uliczne wpadały do pokoju, oświetlając puste łóżko. Pościel zabrano pewnie dla przeprowadzenia badań. Wielkie plamy krwi pozostały na materacach, widoczne w półmroku

Lewis sięgnął do kontaktu, by włączyć światło, ale nie zapaliło się. Żarówka była rozbita. Pomyślał, by wrócić tu rano, gdy będzie jaśniej, jednak jego oczy zaczęły się przyzwyczajać do ciemności i dostrzegł pod ścianą wielką szafę. "Tam są pewnie ubrania Phillipe'a". W pokoju panował bałagan. Lewis brnął do szafy, klnąc pod nosem, gdy wpadł na zwaloną lampę i rozbitą wazę. Doszły go hałasy i krzyki

rozbawionego towarzystwa na dole. "Co się tam dzieje?" Szarpnął za górną szufladę szafy, aż wreszcie ją wysunął i zaczął w niej myszkować w poszukiwaniu najpotrzebniejszych rzeczy.

Nagle dotarł do niego zapach perfum. Wszystko przesiąknięte było tym zapachem!

Obrócił się w stronę środka pokoju i jego wzrok przyciągnął cień za łóżkiem. Od razu rozpoznał w nim nieznanego z brzytwą.

Ku swojemu zdziwieniu, Lewis nie poczuł strachu.

–Co pan tu robi? – spytał głośno i dobitnie.

Twarz wychodzącego z kryjówki znalazła się w słabym świetle padającym z ulicy; była szeroka i płaska, oczy głęboko osadzone. Nieznajomy uśmiechał się do Lewisa.

–Kim pan jest?

Mężczyzna pokręcił głową, wskazując na usta. Czyżby był niemy? Kręcenie głową nasilało się, jakby miał dostać ataku.

–Dobrze się pan czuje?

Nagle drgawki ustały i, ku swojemu zdziwieniu, Lewis ujrzał, że nieznajomy płacze. Jakby zawstydzony zdradzeniem swoich uczuć, odwrócił się od światła, zaszlochał i wyszedł. Lewis poszedł za nim; jego ciekawość przeważała nad lekiem.

–Zaczekaj!

Mężczyzna schodził ze schodów.

–Proszę zaczekać, chce z panem pomówić. – Lewis zaczął schodzić w ślad za nim.

Nie był w stanie go dogonić. Patrzył, jak nieznajomy pędzi ulicą, stawiając drobne kroki. To dreptanie śmiesznie wyglądało u tak wysokiego człowieka. Pozostał po nim lekki zapach perfum.

Zmęczony Lewis ponownie wspiął się po schodach, by zabrać ubrania dla Phillipe'a.

Następnego dnia Paryż obudził się w śnieżycy. W budkach leżały gazety, których nikt nie chciał czytać. Mało kto miał ochotę wychodzić z domu w taką zamieć. Ludzie siedzieli przy piecach, grzejąc się i marząc o wiosnie.

Catherine chciała odwiedzić Phillipe'a w więzieniu, lecz Lewis postanowił, że pójdzie sam. Czekala go ciężka rozmowa, musiał zadać przyjacielowi drażliwe pytania. Po nocnym spotkaniu w jego pokoju nie wątpił już, iż miał on rywala, który prawdopodobnie posunął się do zbrodni. Jedynym sposobem ocalenia życia Phillipe'owi było odszukanie tego człowieka. Phillipe na pewno nie zechce rozmawiać o takich sprawach w obecności Catherine.

Ubranie przyniesione przez Lewisa zostało przeszukane i oddane Phillipe'owi, który podziękował kiwnięciem głowy.

–Nocą poszedłem po nie do twego pokoju.

–Tak?

–Ktoś tam był!

Szczęka Phillipe'a drgnęła, zazgrzytał zębami, unikając wzroku Lewisa.

–Wielki mężczyzna, z brodą. Czy go znasz?

–Nie.

–Phillipe?

–Nie!

–Ten sam mężczyzna zaatakował Catherine.

–Co? – Phillipe zaczął drżeć.

–Brzytwą.

–Zaatakował ją? – upewnił się Phillipe.

–Zamierzał zaatakować. Kto to jest, Phillipe? Czy go znasz?

–Powiedz jej, by więcej tam nie chodziła, proszę cię, Lewis... Na miłość boską, powiedz jej to, proszę. Też tam nie chodź.

–Kim on jest?

–Powiedz jej.

–Powiem. Ale musisz mi powiedzieć, kim on jest.

–Nie zrozumiałbyś.

–Chcę ci pomóc. Kim on jest?

–Pozwól mi tylko umrzeć... Chce zapomnieć. Dlaczego każesz mi pamiętać?

Uniósł wzrok, oczy miał przekrwione i podkrążone od płaczu. Teraz jednak

wyschły w nich łzy; wyschły zupełnie wraz z lękiem przed śmiercią, miłością i pragnieniem życia. Były obojętne.

–Była dziwką. – Phillipe zacisnął dłonie. – Dziwką – powtórzył głośno.

–Cicho tam – warknął strażnik.

–Dziwką!

Lewis nic nie rozumiał.

–Wszystko zaczęło się od ciebie... – powiedział Phillipe, patrząc na Lewisa, po raz pierwszy nie uciekając przed jego wzrokiem. Mówił to z wyrzutem. – Od twoich opowiadań. Z tym cholernym Dupinem. To wszystko łgarstwa, głupie łgarstwa. Kobiety, morderstwo...

–Chodzi ci o historię przy Rue Morgue?

–Jesteś z niej bardzo dumny, prawda? Z tych dziecinnych kłamstw. Nie ma w nich odrobiny prawdy.

–Jest.

–Nie. Nigdy nie było. To tylko opowieść. Dupin, Rue Morgue, mordercy, małpa...

–Co z tą małpą?

–To zwierzęta, Lewis. Niektóre są godne litości, zwłaszcza trzymane w cyrkach. Nie mają rozumu, to urodzone ofiary. Ale są inne...

–Jakie inne?

–Natalie była dziwką! – wrzasnął.

Chwycił Lewisa za klapy i zaczął nim trząść. Wszyscy spojrzeli na dwóch starych mężczyzn mocujących się nad stołem.

–Dziwką! Dziwką! Dziwką! – krzyczał wleczonej do celi.

Catherine stała przy drzwiach swojego mieszkania. Była wstrząśnięta i zapłakana.

Łkała, nie mogąc się uspokoić. Minęło wiele lat, odkąd po raz ostatni pocieszał kobietę, i zapomniał jak to robić. Był zakłopotany. Wyrwała się z jego objęcia.

–Był tutaj! – powiedziała.

Nie musiał pytać kto. Straszny nieznajomy z brzytwą.

–Czego chciał?

–Ciągle mówił "Phillipe". Raczej chrząkał niż mówił, a gdy nie odpowiadałam, zaczął wszystko niszczyć.

Mieszkanie było zdemolowane. Lewis brodził między kawałkami porcelany i strzępami tkanin. Mieszały mu się w głowie twarze Catherine, Phillipe'a, nieznajomego. W jego małym świecie wszyscy byli zranieni i załamani. Wszyscy cierpieli, lecz nie mógł nigdzie dostrzec źródła, powodu tych cierpień.

"Wszystko zaczęło się od ciebie" – czyż nie tak brzmiały słowa Phillipe'a?

Ale w jaki sposób?

Lewis stanął przy oknie. Małe szybki były stłuczone i do mieszkania wdzierał się wiatr. Patrzył na pokryte grubą krą wody Sekwany; jego oczy przykuł jakiś ruch. Coś ścisnęło mu żołądek.

Za oknem zobaczył nieznajomego. Jego ubranie było w nieładzie, wyglądał żałośnie. Co to wszystko miało znaczyć? Gdy Lewis spoglądał nań z góry, obcy uniósł ramiona w geście błagania o przebaczenie. Po chwili ujrzał, jak obcy odchodzi. Dreptanie przeszło w kołyszące się susy.

To kołysanie to nie chód człowieka. Tak drepcze wyprostowane zwierzę, które nauczyło się chodzić, a teraz, bez swego pana, zapomina tej sztuczki. O Boże, Boże, to małpa!

–Muszę się zobaczyć z Phillipe'em Labordeaux.

–Przykro rai, proszę pana.

–To sprawa życia i śmierci – Lewis spróbował kłamstwa. – Jego siostra umiera. Błagam pana o odrobinę współczucia.

–Och... tak...

Lewis nacisnął trochę mocniej.

–Tylko kilka chwil...

–Nie może to poczekać do jutra?

–Może umrzeć w nocy – kłamał. Było to konieczne, musiał się zobaczyć z Phillipe'em. Historia może się powtórzyć jeszcze tej nocy. Obudzono Phillipe'a.

–Czego chcesz?

Lewis nie próbował dalej ciągnąć swego kłamstwa.

–Trzymałeś małą, prawda?

Twarz Phillipe'a wyrażała przerażenie.

–Lewis...

–Odpowiedz mi, błagam cię, nim będzie za późno; czy trzymałeś małą?

–To był eksperyment, nic więcej. Eksperyment! Wszystko przez te twoje cholerne opowieści. Chciałem się przekonać, czy naprawdę są takie dzikie, chciałem zrobić z niej człowieka. A ta dziwka... Natalie... Uwiodła ją!

Lewis poczuł się słabo. Tego nie przewidział.

–Gdzie jest ta małpa?

–Zabijesz ją?

–Włamała się do mieszkania, gdy była w nim Catherine. Wszystko zniszczyła, Phillipe. Bez ciebie jest niebezpieczna. Nie rozumiesz?

–Jest wytresowana, nie skrzywdzi jej. Obserwowała ją z ukrycia. Przychodziła i odchodziła. Cicho jak myszka. O Natalie była zazdrosna.

–Dlatego ją zamordowała?

–Może. Nie wiem! Nie chcę o tym myśleć.

–Dlaczego im nie powiedziałaś?

–Nie wiedziałem, czy rzeczywiście tak było. Przecież to brzmi jak historyjka z brukowca. – Gorzki, chytry uśmieszek pojawił się na jego wymęczonej twarzy. – Chyba rozumiesz, o co mi chodzi. Taka niewiarygodna bajeczka o Dupinie nie może się urzeczywistnić.

Lewis wstał. Rozmowa była męcząca, mieszała się w niej rzeczywistość i fikcja.

–Gdzie jest małpa? – zażądał odpowiedzi. Phillipe splunął Lewisowi w twarz.

–Nie wiesz, coś zrobił. Nigdy się nie dowiesz.

Strażnicy wyprowadzili więźnia z sali. Pozostawiony samotnie w zimnym pokoju widzeń Lewis rozmyślał, jak bardzo Phillipe to sobie ułatwił. Wybrał ucieczkę w udawaną winę, dał się zamknąć tam, gdzie nigdy już nie dotrą do niego wspomnienia, zemsta i prawda, okrutna, niepokojąca prawda. W tej chwili nienawidził go z całego serca. Nienawidził go za partactwo i tchórzostwo, jakie zawsze w nim dostrzegał. Phillipe nie tworzył wokół siebie lepszego świata, lecz kryjówkę, równie nieprawdziwą, jak w lecie roku 1937. Nie można było prowadzić takiego życia bez zapłacenia za nie rachunku. Teraz to nastąpiło.

Tej nocy Phillipe nie spał w swojej bezpiecznej celi. Było w niej ciepło, lecz on czuł chłód. W głębokich ciemnościach szarpał zębami nadgarstki, dopóki nie trysnęła krew. Położył się, spokojnie czekając, aż się wykrwawi.

O samobójstwie doniosła prasa. Wiadomością dnia było jednak sensacyjne morderstwo prostytutki w małym domku przy Rue de Rochechquant. Monique Zevaco została znaleziona przez mieszkającą z nią koleżankę o trzeciej nad ranem. Jej ciało było w stanie tak okropnym, że "nie daje się tego opisać".

Wszystkie gazety szczegółowo rozprawiły o każdym rozcięciu, rozdarciu i zagłębieniu częściowo obnażonego ciała Monique. Pisano o jej dobrze ubranym i przesadnie wyperfumowanym mordercy, który najpierw podglądał ją przez małe okienko toalety, a następnie włamał się i napadł na mademoiselle Zevaco w łazience. Morderca uciekał po schodach, wpadając na jej koleżankę, która następnie odnalazła zmasakrowane zwłoki Monique. Nikt nie zauważył dziwnego zbiegu okoliczności: oskarżony Phillipe Labordeaux tej nocy targnął się na własne życie.

Pogrzeb odbył się podczas zamieci. Smutny orszak podążał opustoszałymi ulicami w stronę Montparnasse, a zacinający śnieg niemal całkowicie zasłaniał drogę. Na miejsce ostatniego spoczynku odprowadzali Phillipe'a tylko Lewis, Catherine i Jacques Solal. Inni znajomi nie chcieli uczestniczyć w pogrzebie samobójcy oskarżonego o morderstwo.

Okazało się jednak, że przyszło wiele obcych osób. Solal przysunął się do Lewisa i szturchnął go.

–Co?

–Tam, pod drzewem...

Stał daleko, za marmurowym grobowcem. Twarz zasłonił grubym, czarnym szalikiem, kapelusz o szerokim rondzie opuścił na same brwi. Wielka mała. Catherine też ją dostrzegła i zaczęła drżeć ze strachu. To niesamowite, że mała przyszła zobaczyć składanie Phillipe'a do grobu. Co czuła? Udrękę? Winę?

Wiedziała, że ją dostrzeżono, odwróciła się i odeszła, powłócząc nogami. Nic nie mówiąc, Jacques Solal ruszył za nią w pogoń. Po chwili zniknęli w śnieżycy.

Po powrocie na Quai de Bourbon Catherine i Lewis nie rozmawiali o tym. Analizy nie miały sensu, żale nic by nie dały. Phillipe nie żył. Z nim umarła ich wspólna przeszłość. Ostatni rozdział ich wspólnego życia przekreślił całkowicie wszystko poprzednie, tak iż nie pozostało im żadne wspomnienie, które mogliby przywoływać z radością. Phillipe miał straszną śmierć, pożerał własne ciało i krew, być może świadomość winy i zepsucia przyprawiła go o obłąd.

W milczeniu opłakiwali stratę, nie tylko Phillipe'a, lecz i własnej przeszłości. Lewis rozumiał teraz niechęć Phillipe'a do pozostawiania przy życiu po tak okropnym doznaniu.

Zadzwoił Solal. Zadyszany i podniecony, wyraźnie zadowolony z siebie.

–Halo, Lewis! Dowiedziałem się, gdzie mieszka nasz przyjaciel, znalazłem go! Jestem na Dworcu Północnym.

–Wspaniale. Już jadę. Wezmę taksówkę.

–Jest w piwnicy domu przy Rue des Fleurs szesnaście. Poczekam tam na ciebie.

–Nie idź tam, Jacques. Zaczekaj na mnie!

Telefon brzęknął i Solal umilkł. Lewis sięgnął po płaszcz.

–Kto to był?

Zapytała, lecz nie pragnęła wiedzieć.

–Nie martw się. Zaraz wrócę.

–Zabierz szalik – powiedziała. – Jeszcze się przeziębisz. Zostawił ją patrzącą na okrytą nocą Sekwanę.

Na Rue des Fleurs nie zobaczył nigdzie Solala, lecz świeże ślady na śniegu prowadziły do frontowych drzwi domu numer szesnaście, a stamtąd na tył budynku. Lewis uświadomił sobie, że nie zabrał broni. Może lepiej będzie, jeśli wróci, znajdzie łom, nóż lub cokolwiek. W tym momencie otworzyły się drzwi i ukazał się nieznajomy ubrany w znajomo wyglądający płaszcz. Lewis przylgnął do muru, mając nadzieję, że mała go nie dostrzeże. Zwierzę miało jednak inne zmartwienia. Stało w drzwiach z całkowicie odsłoniętą twarzą i w świetle księżyca, odbijającym się od śniegu, Lewis dostrzegł po raz pierwszy wyraźnie jego rysy. Było świeżo ogolone, w mroźnym powietrzu czuć było wodę kolońską. Skórę miało różową jak brzoskwinia. Lewis pomyślał o otwartej brzytwie. Zwierze wciągało skórzane rękawiczki na szerokie, ostrzyżone dłonie i lekko pokasływało. Ta istota pragnęła być człowiekiem! Naśladowała po swojemu ideał, jakim był dla niej Phillipe. Teraz, pozbawiona nauczyciela, śmieszna i nieszczęśliwa, próbowała sama stawić czoła światu. Nie miała innego wyjścia, nie mogła ponownie stać się beztroskim zwierzęciem.

Umieszczona w pułapce nowej osobowości musiała prowadzić życie, którego smaku nie potrafiła się wyrzec. Nie patrząc w stronę Lewisa, spokojnie zamknęła za sobą drzwi i przeszła podwórko drobnymi krokami.

Lewis odczekał chwile w cieniu, ledwo oddychając. Zwierze nie wracało, ośmielił się więc wyjść z kryjówki. Drzwi do piwnicy nie były zamknięte. Uderzył go odór, mdły, słodki zapach gnijących owoców, zmieszany z wodą kolońską; zoo połączone z buduaem.

Zszedł po śliskich, kamiennych stopniach i dotarł do drzwi. Te także były otwarte, za nimi światło żarówki ukazywało dziwną scenę.

Podłogę pokrywał wielki, zniszczony dywan perski; mebli było mało; łóżko niedbale zaścielone kocami i poplamioną narzutą; szafa wypchana ubraniami, mnóstwo owoców, niektóre leżące na podłodze; kosz wypełniony słomą i cuchnącymi odchodami. Na ścianie wielki krucyfiks. Na kominku wspólna fotografia Catherine, Lewisa i Phillipe'a. W zlewie przybory do golenia. Mydło, pędzel, brzytwa. Świeże mydliny. Na szafce stosik pieniędzy leżących beztrosko obok

strzykawek i wielu buteleczek. W kryjówce zwierzęcia było ciepło; może w sąsiedniej piwnicy mieścił się piec ogrzewający cały dom. Nikogo nie było.

Nagle rozległ się jakiś hałas.

Lewis odwrócił się do drzwi, spodziewając się ujrzeć w nich małpę z wyszczerzonymi zębami i szaleńczymi oczami. Stracił jednak orientację; odgłosy dochodziły nie od drzwi, lecz z szafy.

–Solal?

Z szafy wypadł mężczyzna. Twarz pokrywała mu jedna straszliwa rana. Małpa zerwała mięśnie z kości. Lewis uklęknął przy Solalu; miał silne nerwy. Podczas wojny, sprzeciwiając się uczestnictwu w walkach ze względu na kwestie sumienia, służył ochotniczo w szpitalu wojskowym. Mało było takich zniekształceń ludzkiego ciała, których by tam nie widział. Łagodnie podniósł ciało, nie zwracając uwagi na krew.

Kończyny trzęsły mu się nerwowo, nie miał sił, niemal upadł, stracił równowagę. Nie tutaj. W imię Boga, nie tutaj.

Może powinien teraz wyjść, poszukać telefonu. To było najmądrzejsze. Zadzwoić na policję, tak... do Catherine, tak... a nawet poszukać kogoś do pomocy w tym domu. Ale oznaczałoby to zostawienie Jacquesa. Stał na środku pokoju, nic nie robiąc. Tak najlepiej, na pewno. Nic nie robić. Jest zbyt zmęczony, zbyt osłabiony. Najlepiej nic nie robić.

Nie mógł wyrwać się z odrętwienia. Trwał zawieszony między skalaną przeszłością i upiorną przyszłością. Marzył o zapomnieniu; czekał na koniec świata.

Odgłos otwieranych drzwi pobudził Lewisa do działania. Z pewnym trudem zaciągnął Jacquesa do szafy, sam też się tam schował, trzymając zmasakrowaną głowę.

W pokoju rozległ się kobiecy głos. Przez szparę w drzwiczkach szafy Lewis dojrzał bestię, a z nią młodą dziewczynę; trajkotała bez przerwy.

–Dostaniesz więcej. Och, słodziutki, mój drogi, to wspaniałe. Spójrz!

W obu dłoniach trzymała pigułki i połykała je jak cukierki.

Czy to też sprawka Phillipe'a, a może małpa ukradła pigułki z własnej inicjatywy?

Czy zawsze kusiła lekami prostytutki?

Dziewczyna zaczęła się rozbierać.

–Tu... jest... tak... gorąco.

Zwrócona plecami do Lewisa małpa też się przyglądała. Jaki wyraz przybrała ta ogolona twarz? Czy miała w oczach pożądanie, czy może wątpliwość?

Dziewczyna miała piękne piersi, białą skórę, sutki różowe jak płatki kwiatów. Uniosła ręce nad głową i przeciągała się, wznosząc i lekko splaszczając wspaniałe półkule. Małpa wyciągnęła szeroką dłoń i łagodnie popieściła jedną brodawkę, gładząc ją ciemnymi palcami. Dziewczyna westchnęła.

–Czy mam... zdjąć wszystko? Małpa chrząknęła.

–Nie gadasz wiele.

Kobieta wysliznęła się z czerwonej spódniczki. Miała teraz na sobie jedynie długie majtki. Położyła się na łóżku i znowu przeciągnęła, zadowolona ze swego ciała i ciepła pokoju. Nawet nie patrzyła na gospodarza.

Lewis poczuł się źle. Nogi zdrętwiały mu całkowicie, stracił czucie w prawej ręce, przyciśniętej do tylnej ściany szafy, lecz nie odważył się ruszać. Wiedział, że małpa jest zdolna do wszystkiego. Każda cząstka jego ciała była przeszyta bólem. Trzymane na kolanach zwłoki Solala ciążyły mu coraz bardziej. Cierpienie stawało się nie do zniesienia; zaczął myśleć, że gdy ta dziwaczna para będzie się kochać, on umrze w tej nędznej kryjówce.

Lewis spojrzął na łóżko. Małpa trzymała rękę między nogami prostytutki wijącej się pod wpływem tych pieszczot.

–Tak, o tak – powtarzała ciągle, gdy kochanek rozebrał ją całkowicie.

Tego było już za wiele. Odrętwienie doszło do mózgu Lewisa. Czy to śmierć? To światło w głowie, szum w uszach?

Zamknął oczy.

Wreszcie ciemność.

Ocknął się nagle. Drzwi szafy stały otworem, a małpa przyglądała mu się z uśmiechem. Była naga, ciało miała całkowicie ogolone. Na środku potężnej piersi lśnił mały, złoty krzyżyk. Lewis rozpoznał go natychmiast. Kupił ten klejnot dla Phillipe'a tuż przed wojną, na Champs Elysees. Szorstka ręka małpy wyrwała go spod ciała Solala. Nie mógł się wyprostować. Nogi miał jak z waty, nie chciały go utrzymać. Bestia podparła go. Lewis spojrzął na szafę, w której leżał Solal zwinięty jak dziecko.

Dziewczyna w łóżku właśnie się obudziła.

–Phillipe, kto to? Och... Phillipe... proszę. Czy mam pójść i z nim? Zrobię to, jeśli zechcesz, tylko daj mi pigułki. Zwykle nie chodzę ze starszymi panami.

Małpa warknęła. Zmienił się wyraz jej twarzy, jakby po raz pierwszy zaczęła się domyślać, z kim miała do czynienia. Był to jednak problem zbyt trudny dla oszołomionego umysłu.

Lewis patrzył na małpę. Zdjęła fotografię z kominka. Ciemnym paznokciem

wskazywała na wizerunek Lewisa. Poznała go!

–Lewis – powiedziała. – Lewis – powiedziała znowu i wskazała na kobietę siedzącą teraz na łóżku z rozłożonymi nogami.

Lewis pokręcił głową. Na wpół fikcja, na wpół rzeczywistość. Naga małpa ofiarowuje mu kobietę.

To już na pewno ostatni rozdział w utworze zapoczątkowanym przez jego stryjecznego dziadka. Zaczęło się od miłości, by przez zbrodnię do niej wrócić. Do miłości małpy do człowieka. On to spowodował swoimi marzeniami o wymyślonych bohaterach. Skłonił Phillipe'a do wcielenia w życie opowieści z utraconej młodości. To jego wina. Nie tej biednej, dumnej małpy; nie Phillipe'a pragnącego zachować wieczną młodość; na pewno nie zimnej Catherine, która zostanie teraz zupełnie sama. To przez niego. Jego jest zbrodnia, wina i kara.

Lewis odzyskał odrobinę siły i zaczął się wlec do drzwi.

–Nie zostaje pan? – spytała rudowłosa.

–Ta istota... – Nie mógł wymówić nazwy zwierzęcia.

–Chodzi panu o Phillipe'a?

–Nie nazywa się Phillipe – odparł Lewis. – Nie jest nawet człowiekiem.

–Jak pan chce. – Wzruszyła ramionami.

Za nią odezwała się małpa, wymawiając jego imię. Tym razem jednak nie było to podobne do chrząknięcia. Małpie podniebienie oddało głos Phillipe'a z nieomylną dokładnością, precyzyjniej aniżeli najlepiej wytresowana papuga. To był Phillipe, dokładnie.

–Lewis – powiedziała.

Nie prosiła. Nie żądała. Po prostu nazywała z radości mówienia do równego sobie.

Na widok starego mężczyzny wspinającego się na balustradę Pont du Carrousel przechodnie przystawali, ale nie

mogli go powstrzymać. Stał prosto, zachwiał się i runął w lodowatą wodę.

Parę osób przeszło na drugą stronę mostu, by zobaczyć, czy prąd go porwał. Samobójca unosił się na powierzchni z siną twarzą, potem jakiś wir chwycił go i wciągnął w głąb. Woda zalała go i pochłonęła.

–Kim był? – ktoś zapytał.

–Skąd mogę wiedzieć? – padła odpowiedź.

Dzień był pogodny; padał ostatni śnieg tej zimy, który na pewno stopnieje przed nocą. Ptaki krążyły nad Sacré Coeur. Paryż zaczynał się rozbierać na wiosnę; dziewczęta biel bruka się zbyt szybko, by długo ją nosić.

Późnym rankiem młoda, rudowłosa kobieta, trzymana za rękę przez wielkiego, brzydkiego mężczyznę, wspinała się powoli schodami prowadzącymi do kościoła. Słońce im błogosławiło. Biły dzwony.

Zaczął się nowy dzień.

JACQUELINEESS: JEJ WOLA I TESTAMENT

"Mój Boże – pomyślała – nie można tak żyć. Dzień po dniu nuda, harówka, frustracja. Chryste – modliła się – uwolnij mnie, ukrzyżuj, jeśli musisz, lecz wyrwij z tego marazmu". Wyjęła brzytwę Bena i pewnego marcowego dnia zamknęła się w łazience, by podciąć sobie żyły.

Poprzez dudnienie w uszach ledwo słyszała głos Bena stojącego pod drzwiami łazienki.

–Jesteś tam, kochanie?

–Odejdź. – Zdawało jej się, że to powiedziała.

–Wróciłem dziś wcześniej, najdroższa. Nie było dużego ruchu.

–Odejdź, proszę.

Wyczerpana osunęła się na białe kafelki podłogi, pokryte krzepnącymi już kałużami krwi.

–Kochanie?

–Zostaw mnie!

–Kochanie!

–Precz.

–Dobrze się czujesz?

"Teraz drapie w drzwi jak szczur. Czy nie rozumie, że nie może ich otworzyć, nie jest w stanie?"

–Odpowiedz mi, Jackie.

Jęknęła. Nie mogła się powstrzymać. Ból nie był taki straszny, jak myślała, lecz czuła się źle, jak gdyby ktoś kopał ją w głowę. Nie zdąży już jednak jej przeszkodzić, za późno, choćby nawet wyłamał drzwi.

Ben wyłamał drzwi.

Patrzyła na niego, walcząc ze śmiercią zasnuwającą jej oczy.

–Za późno. – Znowu nie była pewna, czy naprawdę to powiedziała. Myliła się.

"Mój Boże – pomyślała – więc jednak nie umarłam" Lekarz wezwany przez Bena był aż do przesady łagodny.

"Tylko najlepszy – mówił Ben – tylko najlepszy dla mojej Jackie".

–To nic – zapewniał ją doktor. – Skończy się na małej łataninie.

"Dlaczego nie poprzestanie na tym?" – pomyślała. Nie potępił jej. Nie wiedział, jak to jest.

–Miałem wiele do czynienia z takimi kobiecymi kłopotami – zapewniał ją, znakomicie udając współczucie. – W pewnym wieku to niemal epidemia.

Miała zaledwie trzydziestkę. Co jej wmawiał? Że ma przedwczesną menopauzę?

–Depresja, częściowe lub całkowite zamykanie się w sobie, nerwice. Nie jest pani jedyna, proszę mi wierzyć.

"Na pewno jestem – pomyślała. – Nie możesz wiedzieć, co czuję".

–Wyciągniemy panią z tego w mgnieniu oka.

"Czy ma mnie za głupią?"

Przyglądał się w zadumie wiszącym w ramach dyplomom, potem swoim wypielęgnowanym paznokciom, piórom i notatnikom na biurku. Nie patrzył na Jacqueline. Wszędzie, tylko nie na nią.

–Wiem – mówił dalej – co pani przeszła. Kobiety mają pewne potrzeby. Jeśli nie zostają zaspokojone...

"Co możesz wiedzieć o potrzebach kobiet? Nie jesteś kobietą" – pomyślała.

–Co? – zapytał.

Czy coś powiedziała? Potrząsnęła przecząco głową. Ciągnął dalej, wpadając ponownie w rytm.

–Nie zamierzam wpędzać pani w długie sesje terapeutyczne. Nie chce ich pani, prawda? Potrzebuje pani odrobiny poczucia bezpieczeństwa i czegoś, co pomoże zasnąć w nocy.

Mocno ją już zdenerwował. Jego łaskawość zdawała się nie mieć granic. Wszechwiedzący ojciec, to jego styl. Jakby obdarowany był mocą cudownego wejrzenia w naturę kobiecej duszy.

–Oczywiście, przedtem próbowałem długich terapii, lecz między nami mówiąc...

Lekko poklepał ją po dłoni. Ręka ojca na jej ręce. Miało ją to uspokoić, podbudować, może nawet uwieść.

–... między nami mówiąc, zbyt dużo jest słów. Ciągłe rozmowy. Prawdę powiedziawszy, nic dobrego z nich nie wynika. Wszyscy mamy problemy. Nie zagadamy ich, prawda?

"Nie jesteś kobietą. Nie wyglądasz jak kobieta, nie odczuwasz jak kobieta..."

–Czy pani coś powiedziała? Pokręciła głową.

–Wydawało mi się. Śmiało, może być pani ze mną szczerą.

Nie odpowiedziała, a udawanie poufałości zaczęło go chyba męczyć. Wstał, podszedł do okna i zasłonił sobą widok na wiśnie rosnące na trawniku.

–Uważam, że najlepsze dla pani...

Stał pod światło. Patrzyła na jego szerokie ramiona, wąskie biodra. Dobra figura dla mężczyzny, jak powiedziałby Ben. Nie urodzi dziecka.

–Uważam, że najlepsze dla pani...

"Co może wiedzieć z takimi biodrami, takimi ramionami? Jest po prostu mężczyzną, więc jak może cokolwiek w niej zrozumieć?"

–Uważam, że najlepsze dla pani byłyby oczywiście środki uspokajające... Patrzyła teraz na jego brzuch.

–... i wakacje.

Skupiała się na ciele osłoniętym ubraniem. Mięśnie, kości i krew pod elastyczną skórą. Oglądała je ze wszystkich stron, mierzyła, oceniała zdolność do oporu, potem zamknęła oczy. Pomyślała:

"Bądź kobietą"

Gdy tylko wypowiedziała tę nedorzeczną myśl, mężczyzna zaczął się zmieniać. Niestety, nie była to czarodziejska przemiana, jego ciało sprzeciwiało się takiej magii. Pragnęła, by męska pierś doktora stała się biustem, i ta rzeczywiście zaczęła nabrzmiwać, powodując pęknięcie skóry. Mostek wypuklił się. Miednica,

rozdzierana aż do pęknięcia, przełamała się; pozbawiony podparcia runął na biurko i stamtąd patrzył na nią z twarzą pobladłą z bólu. Oblizwał wargi.

Usta miał suche, słowa wzięły mu w gardle. Spomiędzy jego nóg dochodziły odgłosy skapującej na dywan krwi i wysuwających się jelit.

Krzyknęła. Widok był potworny.

Cofnęła się w najdalszy kąt pokoju, gdzie zwymiotowała do donicy z drzewkiem kauczukowym.

"Mój Boże – pomyślała – to nie może być morderstwo. Tylko go dotknęłam".

Jacqueline zachowała dla siebie to, co zrobiła tego dnia.

Nie było sensu wpędzać ludzi w bezsenne noce, wypełnione długimi rozmyślaniami o tak niesamowitej mocy.

Policja była bardzo uprzejma. Przedstawili wiele wyjaśnień nagłego odejścia doktora Blandisha, choć niedostatecznie tłumaczących, jak jego pierś mogła się tak wygiąć, tworząc dwie ładne, choć owłosione kopuły.

Przypuszczano, że jakiś szalony psychopata włamał się do gabinetu lekarza, zrobił swoje, a potem uciekł, wprawiając niewinną Jacqueline Ess w pełne grozy milczenie, którego nie mogło przerwać żadne przesłuchanie.

Niemal zapomniała. W miarę upływu miesięcy wracało to do niej stopniowo, jak pamięć o potajnym cudzołóstwie. Kusilo ją zabronionymi przyjemnościami. Zapomniała o dokuczliwych wymiotach, pamiętała o mocy. Zapomniała o poczuciu winy, które ją potem opanowało. Nęciło ją. Nęciło, by to powtórzyć.

Tylko tym razem w doskonalszy sposób.

–Jacqueline.

"Czy to mój mąż – pomyślała – woła mnie po imieniu? Zwykle mówił Jackie lub Jack, lub w ogóle nic"

–Jacqueline.

Patrzył na nią swoimi wielkimi, dziecięcymi, niebieskimi oczami jak uczeń, którego pokochała od pierwszego wejrzenia. Miał jednak twardsze usta, a jego pocałunki smakowały jak spleśniały chleb.

–Jacqueline.

–Tak.

–Chcę o czymś z tobą pomówić.

"Rozmowa? – pomyślała. – Dziś musi być święto".

–Nie wiem, jak ci to powiedzieć...

–Spróbuj – odparła zachęcająco.

Wiedziała, że gdyby tylko chciała, mogłaby myślą skłonić jego język do mówienia. Skłonić do powiedzenia tego, co pragnęłaby usłyszeć. Może słowa miłości, jeśli by przypomniała sobie, jak brzmią. Co by jej jednak z tego przyszło? Lepsza jest prawda.

–Kochanie, trochę zszedłem z drogi.

–Co masz na myśli? – spytała. "Mam cię, łotrze" – pomyślała.

–Stało się to wtedy, gdy nie byłeś całkiem sobą. Wiesz, kiedy między nami się popsuło. Oddzielne pokoje... Pragnęłaś tego... Wariowałem ze zdenerwowania. Nie

chciałem cię martwić, dlatego o niczym nie mówiłem. Nie potrafię jednak prowadzić podwójnego życia.

–Ben, możesz mieć romans, jeśli zechcesz.

–To nie romans, Jackie. Kocham ją...

Przygotował jedną ze swych gadek, widziała, jak w ustach nabrzmiewają mu słowa wyjaśnienia przechodzące w oskarżenie; przeprosiny, które zawsze przekształcały się w napaści na jej charakter. Gdy się rozpędzi, nic go nie powstrzyma. Nie chciała tego słuchać.

–Zupełnie nie przypomina ciebie, Jackie. Jest trochę frywolna. Chyba nazwałabyś ją powierzchowną.

"Warto mu przerwać – pomyślała – nim znowu zaczniesz głądzić".

–Nie jest taka nastrojowa jak ty. Widzisz, to normalna kobieta. Nie chcę przez to powiedzieć, że ty nie jesteś normalna, nie możesz nic poradzić na swoje depresje. Ale ona nie jest taka wrażliwa.

–Nie trzeba, Ben...

–Nie, do diabła, chcę to wszystko z siebie zrzucić. "Na mnie" – pomyślała.

–Nigdy nie pozwalasz mi wyjaśnić – mówił. – Zawsze rzucasz na mnie jedno ze swych cholernych spojrzeń, jakbyś chciała...

"Umieraj"

–... chciała, bym się zamknął. "Zamknij się"

–Nie dbasz o to, co czuje. – krzyczał teraz. – Zawsze tkwisz we własnym małym świecie.

"Zamknij się" – pomyślała znowu.

Dwa doskonale szeregi jego zębów spadły na siebie, trzeszcząc i pękając, nerwy i ślina utworzyły różowawą pianę na brodzie, gdy jego usta zapadły się do środka.

"Zamknij się" – powtarzała w myśli, gdy jego zdumione, dziecięce, błękitne oczy wbiły się w czaszkę, a nos wwiercił się w mózg.

To już nie był Ben, lecz człowiek z czerwonym łbem jaszczurki, pożerającej się łapczywie. Dzięki Bogu, raz na zawsze skończyły się te jego gadki.

Zacząła czerpać przyjemność ze zmian, które na nim wymuszała.

Rozciągnęła go na podłodze i zaczęła kurczyć mu ręce i nogi, skupiając ciało i odporne kości na coraz mniejszej przestrzeni. Ubranie zawinęło się do środka, a tkanki żołądka, wyrwane z ciasno upakowanych wnętrzności, oplotły ciało. Palce wyrastały mu teraz z łopatek, a ciągle walące wściekle stopy, zostały przywiązane do jelit. Przewróciła go po raz ostatni, by ścisnąć kręgosłup w długą na stopę kolumnę gnoju. To był koniec.

Po wyjściu z transu ujrzała Bena siedzącego na podłodze, zajmującego nie więcej miejsca niż jedna z jego pięknych skórzanych aktówek. Krew, żółć i limfa pulsowały słabo.

Tym razem nie czekała na pomoc. Wiedziała teraz, co robi (domyślała się nawet jak) i uważała swoją zbrodnię za całkowicie uzasadnioną. Spakowała rzeczy i opuściła dom.

"Żyje – pomyślała. – Po raz pierwszy w całym moim paskudnym życiu".

Testament Vassiego (część pierwsza)

Opowiadam to marzącym o słodkiej, ale silnej kobiecie. To obietnica, jak również wyznanie, a także i ostatnie słowa zgubionego człowieka, który chciał tylko kochać i być kochanym. Siedzę tu drżąc, czekając na noc, czekając, aż znów przyjdzie pod moje drzwi ten jęczący rajfur Koos i wymieni wszystko, co mam, na klucz do jej pokoju.

Nie jestem odważny i nigdy nie byłem, boję się tego, co może się dzisiaj ze mną stać. Nie mogę jednak spędzić całego życia na marzeniach, czekając na uśmiech losu. Wcześniej czy później trzeba pomóc szczęściu. Choćby nawet trzeba było oddać za to życie.

Przypuszczalnie nie zostanę zrozumiany. Myślicie sobie, natknąwszy się na ten testament, że zostawił go jakiś idiota.

Nazywam się Oliver Vassi. Mam teraz trzydzieści osiem lat. Byłem prawnikiem, aż przed jakimś rokiem rozpocząłem poszukiwania, które doprowadziły mnie do tego rajfura z jego bezcennym kluczem.

Wszystko zaczęło się przeszło rok temu. Przybyła do biura twierdząc, że jest wdową po moim koledze ze Szkoły Prawniczej, niejakim Benjaminie Essie. Po dłuższej chwili przypomniałem sobie. Kiedyś nasz wspólny znajomy, który był na ich ślubie, pokazał mi zdjęcie Benjaminiego rozpromienionej żony. To była ona.

Pamiętam, że podczas pierwszej rozmowy była bardzo zmieszana. Przyszła w godzinach szczytu, miałem pracy po uszy, tak jednak mnie oczarowała, że odłożyłem wszystkie spotkania, a gdy weszła sekretarka, jej stalowe spojrzenie podziało na mnie jak kulebki zimnej wody. Chyba zakochałem się od razu, a ona wyczuła to. Udawałem, że jestem tylko grzeczny dla wdowy po starym przyjacielu. Nie chciałem myśleć o uczuciach, nie były dla mnie typowe, tak przynajmniej sądziłem. Jak mało wiedziałem – chodzi mi o prawdziwą wiedzę – o naszych możliwościach.

Przy pierwszym spotkaniu Jacqueline uraczyła mnie kłamstwami. Mówiła, że Ben zmarł na raka, że często o mnie mówił. Chyba mogła mi wtedy powiedzieć prawdę, a ja bym to przyjął – sądzę, że od początku uległem tej kobiecie całkowicie.

Trudno jednak pamiętać, jak i kiedy zainteresowanie innym człowiekiem przechodzi w coś głębszego, przemienia się w uczucie. Być może wymyśliłem to, że wywarła na mnie przy pierwszym spotkaniu olbrzymie wrażenie, po prostu wymyśliłem wszystko, by usprawiedliwić późniejsze postęпки. Nie jestem pewien. Obojętnie jednak, gdzie i kiedy to się stało, szybko czy wolno postępowało, nie oparłem się jej jednak i zaczął się romans.

Nie jestem zbyt dociekliwy wobec przyjaciół czy partnerek w łóżku. Jako prawnik cały czas grzebię się w brudach innych ludzi i naprawdę, osiem godzin każdego dnia wystarcza mi w zupełności. Poza biurem z chęcią zostawiam ludzi w spokoju. Nie szperam, nie grzebię, przyjmuję wszystko za dobrą monetę.

Jacqueline nie stanowiła wyjątku od tej reguły. Była kobietą, z którą chętnie dzieliłbym życie bez względu na jej przeszłość. Posiadała cudowną zimną krew, była dowcipna, trochę lubieżna. Nigdy nie spotkałem bardziej czarującej kobiety. To, jak żyła z Benem, jak wyglądało ich małżeństwo, nie było moją sprawą. Należało tylko do

niej. Czuję się szczęśliwy w tamtych dniach. Toteż pozwalałem przeszłości umrzeć wraz z Essem. Chyba nawet pochlebiałem sobie, że jeśli cierpiała, pomogę jej o tym zapomnieć.

Jej opowieści na pewno nie były pełne. Jako prawnik miałem ucho wyczułone na kłamstwa i choć próbowałem stłumić profesjonalne nawyki, to czułem, że nie była ze mną całkowicie szczerą. Każdy jednak ma swoje sekrety, wiedziałem o tym. Niech je sobie zachowa, myślałem.

Tylko raz zapytałem o szczegóły jej historii. Mówiąc o śmierci Bena, napomknęła, że dostał to, na co zasługiwał. Spytałem, co ma na myśli. Uśmiechnęła się swym uśmiechem Giocondy i odpowiedziała, że według niej należy przywrócić równowagę między mężczyznami i kobietami. Pomiąłem tę uwagę. Byłem wtedy opętany, bez nadziei na ocalenie; cokolwiek by mi powiedziała, chętnie bym to przyjął.

Widzicie, była taka piękna. Nie w banalnym sensie, nie była młoda ani niewinna, nie miała zgrabnej sylwetki, tak ulubionej przez fotografów i facetów od reklamy. Wyglądała na kobietę tuż po czterdziestce, często śmiejącą się i płaczącą, co pozostawiało na twarzy ślady. Miała jednak zdolność przekształcania siebie w bardzo subtelny sposób, dzięki czemu jej twarz zmienna była jak niebo. Początkowo sądziłem, że to kwestia makijażu. Coraz częściej jednak spaliśmy ze sobą, widywałem ją rano z zaspanymi oczyma, wieczorem padającą ze zmęczenia i wkrótce zrozumiałem, że sprawia to siła jej woli.

Dzięki temu kochałem Jacqueline jeszcze mocniej.

Pewnej nocy obudziłem się przy niej. Często spaliśmy na podłodze, wołała ją od łóżka. Jak mówiła, łóżka przypominały jej o małżeństwie. W każdym razie tej nocy leżała pod kołdrą na dywanie w moim pokoju, a ja w zachwycie przyglądałem się jej twarzy.

Jeśli ktoś jest zaangażowany po uszy, widok ukochanej pogrążonej we śnie może być strasznym doświadczeniem. Może znacie to paraliżujące wpatrywanie się w cudzą twarz, wyrażającą to, czego nigdy, nigdy nie poznacie – wewnątrz czyjegoś umysłu. Jak powiedziałem, dla zakochanych jest to zgroza. Wiadomo, że w takich chwilach ich luba istnieje jedynie jako twarz, osobowość. Dlatego gdy ta twarz jest chroniona maską snu, a osobowość kryje się we własnym, niedostępnym świecie, czujemy się całkowicie pozbawieni celu. Jak planeta bez słońca, obracająca się w mroku.

Tak właśnie czułem się tej nocy, patrząc na jej nadzwyczajne rysy. Gdy przetrawiałem własną bezduszość, jej twarz zaczęła się zmieniać. Na pewno spała, ale jakie musiała mieć sny! Poruszała ją najskrytsza część duszy, jej mięśnie, włosy, policzki falowały pod wpływem wewnętrznego rytmu. Wargi zakwitły, wydymając się w zaślinioną wieżę ze skóry, włosy uniosły się nad głową, jakby leżała w wodzie, policzki tworzyły bruzdy i wzniesienia jak obrzędowe blizny wojownika; zaczerwienione i pulsujące fragmenty tkanki nabrzmiwały i przekształcały się według jakiegoś wzoru. Wszystko to było dla mnie straszne i musiałem zrobić coś, aby to przerwać. Nie obudziła się, lecz zbliżyła trochę do powierzchni snu, opuszczając głębsze wody, siedlisko owych mocy.

Znowu miała twarz spokojnie śpiącej kobiety.

Było to decydujące doświadczenie, choć przez kilka następnych dni próbowałem przekonać siebie, że tego nie widziałem.

Wysiłki nie zdały się na nic. Wiedziałem, że dzieje się z nią coś złego, a wtedy jeszcze o niczym nie miałem pojęcia. Byłem przekonany, że ma jakieś kłopoty ze zdrowiem i że lepiej zrobię, sprawdzając jej historię, nim powiem, co widziałem.

Z perspektywy wydaje się to śmieszną naiwnością. Jak mogłem myśleć, że nie wiedziała, iż posiada taką moc. Łatwiej mi jednak było wyobrażać sobie ją jako ofiarę takich potęg niż jako ich panią. Tak mężczyźni myślą o kobietach; nie tylko ja, Oliver Vassi, o niej, Jacqueline Ess. Nie możemy uwierzyć, że w ciele kobiet może przebywać jakaś inna moc niż moc dziecka płci męskiej. Żadna inna. Tylko mężczyźni mają siły dane im przez Boga. Tak wmawiają nam nasi ojcowie, idioci jak i my.

W każdym razie skrycie zbierałem informacje o Jacqueline. Miałem znajomych w Yorku, gdzie mieszkała z Benem i nietrudno mi było poprosić tam o dane. Minął tydzień, nim do mnie dotarły, bo moja wtyczka musiała mocno się napracować z policją, by dotrzeć do prawdy. W końcu jednak je otrzymałem – były złe.

Ben rzeczywiście zmarł. W żadnej jednak mierze nie był to rak. Mój znajomy otrzymał jedynieniewyraźne dane odnośnie stanu ciała Bena, lecz wynikało z nich, że zostało dziwnie okaleczone. A główny podejrzany? Moja ukochana – Jacqueline Ess. Ta sama niewinna kobieta, która u mnie mieszkała, spała każdej nocy u mego boku.

Powiedziałem jej więc, że coś przede mną ukrywa. Nie wiem, czego się spodziewałem. Odpowiedzią był pokaz jej mocy. Objawiła ją swobodnie, bez złośliwości, lecz byłbym głupi, gdybym nie odczytał w nim ostrzeżenia. Najpierw wyjaśniła mi, jak odkryła swoją wyjątkową władzę nad duchem i ciałem ludzi. Twierdziła, że znalazłszy się w rozpacz na krawędzi samobójstwa, w najgłębszych warstwach swej natury odkryła zdolności, jakich nigdy dotąd nie знаła. Gdy doszła do siebie, moce te wypłynęły na powierzchnię niczym ryby do światła.

Następnie objawiła mi najdrobniejszą część tych sił, wrywając po jednym włosy z mojej głowy. Tylko kilka, dość, aby ukazać niezwykle umiejętności. Czulem, jak wyskakują. Mówiła: "Jeden z za ucha" – i już czulem mrowienie skóry i zaraz podskakiwałem, gdy palcami woli wrywała włos. Potem następny i jeszcze jeden. Było to coś niewiarygodnego. Posługiwała się tą mocą z wielką sztuką, znajdując i wyciągając włosy z głowy z precyzją godną podziwu.

Naprawdę siedziałem tam zdrętwiały ze strachu, świadom, że się mną bawi. Byłem pewny, że prędzej czy później nadejdzie czas, gdy zamknie mi usta na zawsze.

Wątpiła jednak w siebie. Powiedziała mi, że jej umiejętności, choć ćwiczone, krzywdzą ją. Twierdziła, że potrzebuje kogoś, kto pomoże jej lepiej je wykorzystywać. Nie mnie. Byłem jedynie kimś, kto ją kocha, kochał, nim mu się zwierzyła i będzie kochał nadal, pomimo wszystko.

Istotnie, po tym zdarzeniu szybko przywykłem do nowego obrazu Jacqueline. Zamiast się jej bać, bez reszty oddałem serce kobiecie, która pozwalała mi mieć swoje ciało.

Praca zaczęła mnie denerwować, stała się zawadą przeszkadzającą myśleć o ukochanej. Opinia o mnie pogorszyła się, traciłem sprawy, wiarygodność. Po dwóch, trzech miesiącach moje życie zawodowe skurczyło się niemal do zera. Przyjaciele mnie żalowali, znajomi unikali.

Nie żerowała na mnie. Chcę stwierdzić to jasno. Nie była strzygą ani wiedźmą. Ja i tylko ja jestem odpowiedzialny za swoją życiową klęskę. Nie czarowała mnie, to romantyczne usprawiedliwienie przemocy. Była jak morze, musiałem w nim pływać. Czy miało to sens? Wiodłem życie na brzegu, na stałym gruncie prawa i byłem tym zmęczony. Ona była wodą; bezkresnym morzem w jednym cieple, potopem w małej przestrzeni i chętnie w nim tonąłem, skoro mi na to pozwalała. Była to jednak moja decyzja. Zrozumcie. Zawsze była to moja decyzja. Postanowiłem dziś być z nią po raz ostatni. Czynię to z własnej woli.

Jakiż męczyzna uczyniłyby inaczej? Była i jest wspaniała.

Przez miesiąc po tym pokazie mocy żyłem w ciągłej ekstazie. Nauczyła mnie kochać w sposób przekraczający ograniczenia wszystkich innych istot na bożej ziemi. Powiedziałem: "bez ograniczeń", bo nie miała żadnych. Zauroczenie trwało nawet wtedy, gdy jej nie było, albowiem zmieniła mój świat.

Potem mnie porzuciła.

Wiem dlaczego; odeszła, by poszukać kogoś, kto nauczyłby ją wykorzystywać moc. Rozumienie powodów jej decyzji nie czyniło mnie jednak spokojniejszym.

Załamałem się, straciłem pracę i tych paru przyjaciół, którzy dotychczas mi zostali. Ledwo to zauważyłem. Były to drobiazgi w porównaniu z utratą Jacqueline...

–Jacqueline.

"Mój Boże – pomyślała – czy to rzeczywiście najbardziej wpływowy człowiek w kraju? Wygląda tak niepociągająco, zwyczajnie. Nie ma nawet stanowczego podbródka".

Mimo to Titus Pettifer miał władz?

Nie był w stanie policzyć monopoli, którymi kierował; w świecie finansów mógł łamać koncerty jak słomki, niszczyć ambicje setek, kariery tysięcy. W jego cieniu wyrastały nagle fortuny, korporacje upadały, gdy tylko dmuchnął. Spełniały się wszystkie jego zachcianki. Jeśli ktoś ma moc, to tylko on. Musiała się od niego uczyć.

–Nie będzie pani przeszkadzać, że będę jej mówił J.?

–Nie.

–Długo czekałaś?

–Dość długo.

–Zwykle nie pozwalałam czekać pięknym kobietom.

–Pozwalasz.

Znała go już, wystarczyły jej na to dwie minuty. Szybciej go pokona, jeśli będzie spokojna i bezczelna.

–Czy zawsze używasz inicjałów wobec nie znanych ci kobiet?

–To wygodne, przeszkadza ci?

–Zależy.

–Od czego?

–Od tego, co dostanę za przyznanie ci tego przywileju.

–Poznanie twego imienia jest przywilejem?

–Tak.

–Hmm... Pochlebia mi to. Chyba że wszystkim udzielasz tego przywileju?

Pokręciła głową. Nie, widział, że nie była rozrzutna w swoich uczuciach.

–Dlaczego tak długo czekałaś, by się ze mną zobaczyć? – zapytał. – Dlaczego dochodziły mnie informacje, że zamęczasz moje sekretarki ciągłymi żądaniem spotkań się ze mną? Czy chcesz pieniędzy? Jeśli tak, odejdziesz z pustymi rękoma. Zdobyłem bogactwo, bo byłem podły. I im jestem bogatszy, tym bardziej staję się podły.

Powiedział prawdę.

–Nie chcę pieniędzy – odparła równie szczerze.

–To pocieszające.

–Są bogatsi od ciebie.

Uniósł brwi ze zdumieniem. "Ta piękność potrafi gryźć".

–Prawda – przyznał. – Na tej półkuli było co najmniej kilku ludzi z większym majątkiem.

–Jestem tu dla twojego nazwiska. Przyszłam, bo możemy być razem. Możemy sobie nawzajem wiele zaoferować.

–Na przykład? – zapytał.

–Mam ciało.

Uśmiechnął się. Od lat nie słyszał bardziej bezpośredniej oferty.

–A co mam ci dać za taką hojność?

–Chcę się nauczyć...

–Nauczyć?

–... jak korzystać z potęgi. "Jest coraz dziwniejsza".

–Co masz na myśli? – zwlekał. Nie ocenił jej jeszcze, denerwowała go, wprawiała w zakłopotanie.

–Mam ci to przeliterować? – odparła z bezczelnym uśmiechem.

–Nie trzeba. Chcesz się nauczyć korzystać z potęgi. Chyba mógłbym to zrobić...

–Wiem o tym.

–Zdajesz sobie sprawę, że mam żonę? Jestem z Virginią od osiemnastu lat.

–Macie trzech synów, cztery domy, pokojówkę imieniem Mirabelle. Nie znosisz Nowego Jorku, uwielbiasz Bangkok, masz numer kołnierzyka szesnaście i pół, twój ulubiony kolor to zieleń.

–Turkus.

–Na starość stajesz się subtelniejszy.

–Nie jestem stary.

–Osiemnaście lat małżeństwa. Przez to przedwcześnie dojrzałeś.

–Nie.

–Udowodnij.

–Jak?

-Weź mnie.

-Co?

-Weź mnie.

-Tutaj?

-Zaciągnij zasłony, zamknij drzwi na klucz, wyłącz końcówkę komputera i weź mnie. Pozwalam ci.

-Pozwalasz?

Ile to już czasu minęło, nim ktokolwiek pozwolił mu zrobić cokolwiek?

-Pozwalasz?

Był podniecony. Od wielu lat nie był równie podniecony. Zaciągnął zasłony, zamknął drzwi na klucz, wyłączył ekran łączący go z majątkiem.

"Mój Boże – pomyślała – mam go".

Nie była to łatwa sprawa, zupełnie co innego niż z Vassim. Po pierwsze, Pettifer był niezdarnym kochankiem. Po drugie, zbyt obawiał się żony, by zostać dobrym. Wszędzie widział Virginie, na korytarzach hoteli, w których wynajmowali pokoje na dzień, w taksówkach krążących po ulicach po ich spotkaniach, raz nawet (przysięgał, że podobieństwo jest całkowite) dopatrywał się jej w kelnerce i wywalił stolik w restauracji. Wszystko to były wymysły, lecz przeszkadzały w spontaniczności ich romansu.

Mimo to uczyła się od niego. Był równie błyskotliwym potentatem, co niezdarnym kochankiem. Nauczyła się być potężną bez okazywania siły, a także jak nie ulegać zepsuciu, jak upraszczać decyzje, jak być bezlitosną. W tej akurat dziedzinie nie potrzebowała żadnego szkolenia. Może słuszniej byłoby powiedzieć, że nauczył ją nie ubolewać nad brakiem wrodzonego współczucia, lecz oceniać wyłącznie rozumowo, kto zasługuje za zniszczenie, a kogo można zaliczyć do sprawiedliwych.

Ani razu nie odkryła się przed nim, choć używała potajemnie swoich umiejętności, by dawać przyjemność jego napiętym nerwom.

Było to w czwartym tygodniu ich znajomości. Leżeli obok siebie w liliowym pokoju. Za oknami słyhać było popołudniowy ruch. Seks im nie wyszedł, Pettifer był nerwowy, nie potrafiła go rozbudzić żadnymi sztuczkami. Wszystko skończyło się szybko, niemal bez żaru.

Zamierzał coś jej powiedzieć. Wiedziała o tym, czekało to ukryte gdzieś w głębi jego gardła. Masowała mu myślami skronie i zachęcała do mówienia.

Zamierzał zepsuć dzień.

Zamierzał zepsuć karierę.

Zamierzał, niech Bóg ma go w swojej opiece, zepsuć swoje życie.

-Muszę przestać się z tobą widywać – oznajmił. "Nie odważy się" – pomyślała.

-Nie jestem pewny, co wiem o tobie, czy raczej, co mi się zdaje, że wiem, lecz czyni mnie to... ostrożnym. Rozumiesz, J.?

-Nie.

-Niestety, podejrzewam cię o... morderstwo.

-Morderstwo?

-Masz przeszłość.

–Kto ci nagadał? – zapytała.– Na pewno nie Virginia.

–Nie, ona nie.

–No to kto?

–Nie twoja sprawa.

–Kto?

Ścisnęła lekko jego skronie. Zabolalo go i skrzywił się.

–Co się stało? – spytała.

–Boli mnie głowa.

–Napięcie, kochanie, to tylko napięcie. Mogę je usunąć, Titusie. – Dotknęła palcami jego czoła i zwolniła swój uchwyt. Westchnął z ulgą.

–Teraz lepiej?

–Tak.

–Kto wtyka nos w nie swoje sprawy, Titusie? – nalegała.

–Mam osobistego sekretarza, Lyndona. Słyszałaś, jak z nim rozmawiałem. Od początku wie o naszym związku. To on rezerwował hotele, krył mnie przed Virginią.

W jego słowach było coś chłopięcego, co ją rozrzewniło. Porzucenie jej raczej go kłopotalo, niż łamało serce.

–Lyndon to cudotwórca. Ułatwił wiele rzeczy między nami. Nie ma nic przeciwko tobie. Przypadkowo zobaczył jedno z twoich zdjęć. Dałem mu je do zniszczenia.

–Dlaczego?

–Nie powinienem był go zabierać, zrobiłem błąd. Virginia mogłaby... – Przerwał na moment. – W każdym razie rozpoznał cię, choć nie mógł sobie przypomnieć, gdzie widział cię wcześniej.

–W końcu sobie jednak przypomniał.

–Współpracował z rubryką towarzyską jednej z moich gazet. Tak został moim osobistym sekretarzem. To mu pomogło ustalić twoją tożsamość. Jacqueline Ess, żona zmarłego Benjamina Essa.

–Zmarłego – podkreśliła.

–Przyniósł mi inne zdjęcia.

–Zdjęcia czego?

–Twojego domu. I ciała twojego męża. Twierdzili, że to ciało, choć na Boga, diabelnie mało było w nim czegokolwiek ludzkiego.

–Od początku było tego diabelnie mało – powiedziała, myśląc o chłodnych oczach Bena i jeszcze zimniejszych dłoniach. Zasługi wał jedynie na wieczne zapomnienie.

–Co się stało?

–Benowi? Został zabity.

–Jak? – Czy głos nie zadrżał mu lekko?

–Bardzo łatwo. – Wstała z łóżka i stanęła w oknie. Silne letnie słońce przedzierało się przez żaluzje, wydobywało z cienia rysy jej twarzy.

–Ty to zrobiłaś.

–Tak – nauczył ją szczerości. – Zrobiłam. Nauczył ją także zwięzłości w groźbach.

–Zostaw mnie, a zrobię to jeszcze raz. Pokręcił głową,

–Nigdy. Nie odważysz się. – Stał teraz przed nią. – Musimy się rozumieć, J.

Jestem potężny i czysty. Rozumiesz? Mojego publicznego wizerunku nie tknął nawet cień skandalu. Mogę znieść wyjście na jaw informacji, że mam kochankę, nawet kilka. Ale że moją kochanką jest morderczyni? Nie, to zrujnowałoby moje życie.

–Czy Lyndon cię szantażuje?

Patrzył przez żaluzje na świat z nieszczęśliwą miną. Pod lewym okiem drgał mu nerwowo policzek.

–Jeśli musisz wiedzieć, to tak- powiedział głucho. – Ten nędznik ma mnie w garści.

–Rozumiem.

–Skoro on się domyślił, mogą i inni. Rozumiesz?

–Jestem silna; jesteśmy silni. Możemy ich okręcić wokół małego palca.

–Nie.

–Tak! Mam moc, Titusie.

–Nie chcę wiedzieć.

–D o w i e s z się – oznajmiła z naciskiem.

Spojrzała na niego i chwyciła za ręce nie dotykając. Patrzył ze zdumieniem, jak wbrew swej woli unosi dłonie, by dotknąć jej twarzy. Poglądził włosy czułym gestem. Zmusiła go do przesunięcia drżących palców po piersiach z większym żarem, niż mógłby wykrzesać z własnej inicjatywy.

–Byłeś zawsze zbyt uległy, Titusie – stwierdziła, sprawiając, że drapał ją niemal do krwi. – Tak lubię. – Teraz opuściła jego ręce, przybierając inną minę. Przez jej twarz przechodziły fale, była cała w ruchu.

–Głębiej.

Zagłębiła jego palce, przycisnęła kciuki.

–Lubię to, Titusie. Dlaczego nie robiłeś mi tego bez ponaglenia?

Zarumienił się. Nie lubił mówić o tym, co robili razem. Pobudziła go mocniej szepcząc:

–Nie złamię się, wiesz o tym. Może Virginia jest z saskiej porcelany, ale nie ja. Zrób coś, abym cię pamiętała, gdy zostanę bez ciebie. Nic nie trwa wiecznie, prawda? Chcę jednak zachować miłe wspomnienia o tej nocy.

Upadł na kolana, trzymając dłonie na jej ciele niczym wędrujące, lubieżne kraby. Ciało oblał mu pot. Pomyślała, że po raz pierwszy widzi go spoconego.

–Nie zabijaj mnie – wyszeptał. – Wiem, wiem – mówił. – Możesz mnie łatwo zabić.

Płakał. "Mój Boże – pomyślała – ten wielki człowiek łka u moich stóp jak dziecko. Jak mogę nauczyć się władzy od niego". Starła mu łzy z policzków z większą siłą, niż było to potrzebne. Skóra mu poczerwieniała.

–Zostaw mnie, J. Nie mogę ci pomóc. Jestem dla ciebie bezużyteczny.

To prawda. Był całkowicie bezużyteczny. Z pogardą puściła jego dłonie. Opadły bezwładnie.

–Nie próbuj nigdy mnie odszukać, Titusie. Rozumiesz? Nie wysyłaj nigdy pachołków, by zachować swoją reputację, bo będę bardziej bezlitosna, niż ty byłeś kiedykolwiek.

Nic nie powiedział; klęczał tam, twarzą do okna, gdy umyła twarz, wypięła

zamówioną kawę i wyszła.

Lyndon ze zdziwieniem spojrział na stojące otworem drzwi do swojego biura. Była zaledwie siódma trzydzieści sześć. Sekretarki pokażą się dopiero za godzinę. Jedna ze sprzątaczek musiała zapomnieć zamknąć drzwi. Dowie się, która to, i wywali z roboty.

Wszedł.

Jacqueline siedziała plecami do drzwi. Poznał tył jej głowy, kaskadę kasztanowych włosów.

Jego biuro, sąsiadujące z gabinetem Pettifera, było pedantycznie uporządkowane. Rozejrzał się po nim, wyglądało na to, że wszystko jest na swoim miejscu.

–Co pani tu robi?

Odetchnęła głębiej.

Po raz pierwszy wszystko zaplanowała. Nie robiła tego pod wpływem chwili.

Podeszła do biurka, położyła na nim aktówkę i dokładnie złożony egzemplarz "Financial Timesa".

–Nie miała pani prawa przychodzić tu bez mojego pozwolenia.

Obróciła się leniwie razem z krzesłem, tak samo jak on to robił, gdy miał kogoś skarcić.

–Lyndon – powiedziała.

–Nic, co pani powie czy zrobi, nie zmieni faktu, pani Ess – zaoszczędził jej zbędnych wstępów – że zamordowała pani męża z premedytacją. Powiadomienie pana Pettifera o tym było moim świętym obowiązkiem.

–Zrobiłeś to dla dobra Titusa?

–Oczywiście.

–A szantaż też jest dla jego dobra?

–Wynoś się z mojego biura... – wysyczał.

–Jest, Lyndon, czy nie jest?

–Ty dziwko! Dziwki niczego nie wiedzą, to głupie, chore zwierzęta. – Plunął. – Och, przyznaję, jesteś sprytna – tak jak każda inna flądra.

Wstała. Spodziewał się riposty, lecz nie było żadnej, przynajmniej słownej. Poczł jednak napięcie na twarzy, jakby ktoś ją ścisnął.

–Co... robisz? – zapytał.

–Robię?

Oczy zwęziły mu się do szparek, jak u dziecka udającego Chińczyka, usta rozwarły się szeroko w olśniewającym uśmiechu. Trudno mu było mówić.

–Przerwij... to... Pokręciła głową.

–Dziwko... – powtórzył, ciągle się opierając.

A ona tylko patrzyła. Ścisnana twarz zaczęła wykrzywiać się i rozciągać, mięśnie drżały.

–Policja... – próbował powiedzieć – jeśli tkniesz mnie palcem...

–Nie tknę – obiecała.

Poczł pod ubraniem to samo napięcie. Zrywało mu skórę, rozciągało coraz

mocniej. Coś nie wytrzyma, wiedział o tym. Jakaś jego cząstka okaże się słaba i pęknie pod tym bezlitosnym atakiem. A gdy raz zacznie się rozdzierać, nic już go nie uratuje. Myślał o tym chłodno, podczas gdy jego ciało skręcało się.

–Kurwo – przeklinał ją z wymuszonym uśmiechem. Syfilityczna kurwo.

"Nie wygląda na przestraszonego" – pomyślała.

W istocie, tak bardzo jej nienawidził, że zapomniał całkowicie o strachu. Znów wyzywał ją od dziwek, choć twarz miał wykrzywioną nie do poznania.

Potem zaczął pękać.

Rozdarcie zaczęło się od grzbietu nosa i szło w górę czoła oraz w dół, rozpoławiając wargi i podbródek, potem szyję do piersi. W kilka sekund koszula zabarwiła się na czerwono, ciemny garnitur, mankiety i nogawki ociekały krwią. Skóra z dłoni zeszła jak rękawiczki chirurga, dwa pierścienie szkarłatnej tkanki zwisały z obu stron obdartej ze skóry twarzy jak uszy słonia.

Przestał wyzywać.

Zmarł z powodu wstrząsu w ciągu dziesięciu sekund, lecz Jacqueline nadal pastwiła się nad nim, obdzierając ze skóry i rozrzucając jej skrawki po całym pokoju. Zadowolona z efektu, skończyła wreszcie.

"Mój Boże – pomyślała, spokojnie schodząc schodami – to było morderstwo z zimną krwią".

W żadnej z gazet ani w telewizji nie znalazła wiadomości o śmierci Lyndona. Niewątpliwie zmarł tak jak żył, nieznanymi opinii publicznej.

Zabiła Lyndona nie tylko dlatego, że była na niego zła. Chciała również rozdrażnić wrogów, ściągnąć ich na siebie. Niech się odsłonią, ukażą swoją pogardę, przerażenie. Spędziła życie na szukaniu własnego oblicza, lecz mogła jedynie określać swój charakter poprzez jego odbicie w oczach innych. Teraz chciała z tym skończyć. Pora zmierzyć się z prześladowcami.

Na pewno wszyscy, którzy ją widzieli, najpierw Pettifer, następnie Vassi, będą jej szukać. Musi zamknąć na zawsze ich oczy, sprawić, by o niej zapomnieli. Dopiero po zniszczeniu świadków będzie wolna.

Oczywiście Pettifer nie przyszedł osobiście. Łatwo mu było wynająć innych, ludzi bez skrupułów i współczucia, którym psy gończe mogłyby pozazdrościć wężu.

Zastawiono na nią pułapkę, choć nie mogła jeszcze dostrzec, jakiego rodzaju. Wszędzie były jej oznaki. Dziwne światło w dalekim oknie, kroki, gwizdy, mężczyźni w ciemnych ubraniach czytający gazety.

Mijały tygodnie, a oni się nie zbliżali, choć także nie oddalali. Czekali przyczajeni jak koty na drzewie o sennie zmrużonych ślepiach i leniwie poruszających się ogonach.

Ścigano ją na sposób Pettifera. Na tyle go rozszyfrowała, by rozpoznać jego ostrożność i przebiegłość. Dopadną ją kiedyś, w wybranym przez nich, a nie przez nią, czasie. Może nie tyle przez nich, co przez niego. I choć nigdy nie widziała jego twarzy, czuła się tak, jakby Titus osobiście deptał jej po piętach.

"Mój Boże – pomyślała – moje życie jest zagrożone, a ja się tym nie martwię".

Władza nadciałami nie przyda się jej na nic, jeśli nie znajdzie sobie celu. Używała

jej z własnych, drobnych powodów, by uspokoić nerwy i ukoić gniew. Jednakże owe wyczyny nie zbliżały jej do innych ludzi, czyniły ją jedynie wariatką w ich oczach.

Czasami myślała o Vassim, zastanawiając się, gdzie jest i co robi. Nie był silnym człowiekiem, lecz miał w duszy trochę namiętności. Więcej niż Ben, więcej niż Pettifer i na pewno więcej niż Lyndon. Przypomniała też sobie z dumą, że jako jedyny nazywał ją Jacqueline. Wszyscy inni wymyślali okropne zdrobnienia: Jackie, J. czy Juju, jak mówił Ben w chwilach złości. Tylko Vassi nazywał ją Jacqueline, zwyczajnie i prosto, okazując w ten sposób, że akceptuje ją w całości. Myśląc o nim, próbując sobie wyobrazić, jak mógłby do niej wrócić, odczuwała obawę o niego.

Testament Vassiego (część druga).

Jasne, że jej szukałem. Dopiero po straceniu kogoś rozumiemy bzdurność powiedzenia "świat jest mały". Nie jest. Jest ogromny, przepastny, zwłaszcza wtedy, gdy jest się samotnym.

Będąc adwokatem, przywykłem widzieć codziennie tych samych ludzi. Z niektórymi rozmawiałem, innych obdarzałem uśmiechem czy kiwnięciem głową. Mogliśmy być przeciwnikami na sali sądowej, lecz należeliśmy do tej samej sfery. Jadaliśmy przy tych samych stolikach, piliśmy te same koktajle. Wymienialiśmy się nawet kobietami, choć nie zawsze o tym wiedzieliśmy. W takich okolicznościach łatwo jest wierzyć, że świat cię nie skrzywdzi. Na pewno się starzejesz, lecz wraz ze wszystkimi innymi. Możesz nawet uważać, w pochlebiający sobie sposób, że mijające lata czynią cię trochę mądrzejszym.

Przekonanie, że świat jest przyjazny, jest jednak okłamywaniem siebie, wiara w tak zwane pewniki to zwykła ułuda.

Świat nie jest mały, gdy jest tylko jedna twarz, której widoku pragniesz, i która gdzieś znika. Świat nie jest mały, gdy grozi ci to, że tych kilka najważniejszych wspomnień o twojej miłości zginie pod natłokiem tysiąca zdarzających się co dzień spraw.

Byłem załamanym facetem.

Budziłem się w ciasnych pokojach nędznych hotelików, częściej piłem niż jadłem i jak klasyczny maniak pisałem ciągle jej imię. Na ścianach, poduszkach, wnętrzu dłoni. Przebiłem przy tym skórę i atrament zakaził mi krew. Ciągle mam znaki, patrzę na nie teraz. Jacqueline, Jacqueline.

Wreszcie pewnego dnia dostrzegłem ją. Był to czysty przypadek. Brzmi to melodramatycznie, ale wydawało mi się wtedy, że umieram. Tak długo o niej marzyłem, przygotowywałem się na ujście jej znowu, że gdy do tego doszło, ugięły się przede mną nogi i omal nie zemdlałem na środku ulicy. Nie było to klasyczne pojednanie, w którym kochanek na widok lubej zdziera z siebie koszulę. Ale przecież nic, co zachodziło między mną a Jacqueline, nie było całkiem normalne czy naturalne.

Śledziłem ją z dużym trudem, bo szła bardzo szybko zatłoczoną ulicą. Nie wiedziałem, czy mam ją zawołać po imieniu. Zdecydowałem, że nie. Co zrobiłaby, widząc włóczkę zataczającą się w jej stronę, wykrzykującą jej imię? Prawdopodobnie uciekłaby. Albo gorzej, sięgnęłaby mi do piersi, chwytając serce

uściskiem woli i wyzwoliłaby mnie z łań, zanim zdołałbym powiedzieć o niej światu.

Dlatego szedłem za nią cicho jak pies tam, gdzie prawdopodobnie było jej mieszkanie. Przebywałem w jego pobliżu przez następne dwa i pół dnia, niezbyt zdając sobie sprawę z tego, co robię. Moje rozterki były śmieszne. Tak długo jej szukałem, a teraz, mając ją w zasięgu ręki, nie odważyłem się podejść. Może bałem się śmierci?

Teraz tkwię w Amsterdamie, w tym śmierdzącym pokoju, piszę testament i czekam, aż Koos przyniesie mi jej klucze. Nie boję się już śmierci. Prawdopodobnie nie podszedłem do niej z powodu próżności. Nie chciałem, by ujrzała mnie załamane i opuszczonego, pragnąłem przyjść do niej czysty, jak wyśniony kochanek.

Kiedy czekałem, przyszli po nią.

Nie wiedziałem, kim są. Dwaj mężczyźni w prostych ubraniach. Nie byli policjantami, wyglądali na zbyt ugrzecznionych. Nie opierała się. Szła z uśmiechem.

Przy pierwszej okazji wróciłem do tego domu trochę lepiej ubrany, dowiedziałem się, które mieszkanie jest jej, i włamałem się tam. Było urządzone bardzo skromnie. W kącie pokoju stał stół, przy którym pisała pamiętnik. Usiadłem i zacząłem czytać. Kilka kartek zabrałem z sobą. Nie wyszła poza pierwsze siedem lat życia.

Zabrałem też trochę jej ubrań, tylko te, które nosiła w czasie naszego związku. Nic intymnego, nie jestem fetyszystą. Chciałem tylko pamiątki po niej, bym mógł ją sobie łatwiej wyobrazić. Pomyślałem jednak, że nigdy nie spotkałem człowieka, który lepiej wyglądałby jedynie we własnej skórze.

Tak utraciłem ją po raz drugi. Tym razem nie z winy okoliczności, a z powodu własnego tchórzostwa.

Pettifer przez cztery tygodnie nie zbliżał się do domu, w którym trzymali panią Ess. Dostawała niemal wszystko to, o co prosiła, z wyjątkiem wolności, a o nią zwracała się w bardzo abstrakcyjny sposób. Nie interesowała się ucieczką, choć to byłoby bardzo łatwe do przeprowadzenia. Raz czy dwa Jacqueline zastanawiała się, czy Titus zdradził pilnującym jej dwóm mężczyznom i kobiecie, do czego jest zdolna; nie sądziła, by to zrobił. Traktowali ją tak, jakby była po prostu kobietą, która wpadła w oko Titusowi.

Mając swój pokój i dowolną ilość papieru, zaczęła pisać wspomnienia.

Lato się kończyło, noce były coraz chłodniejsze. Czasem, by się ogrzać, kładła się na podłodze (poprosiła o usunięcie łóżka) i zmuszała ciało do falowania. Bez seksu stało się dla niej znowu tajemnicą. Zrozumiała po raz pierwszy, że miłość fizyczna umożliwiła badanie najbardziej osobistych, lecz także najmniej znanych aspektów jej istoty; jej ciała. Najlepiej pojmowała siebie, gdy obejmowała kogoś innego. Gdy spoczywały na niej czyjeś wielbiące, łagodne usta. Znowu myślała o Vassim; na wspomnienie o nim piersi falowały niczym góry podczas trzęsienia ziemi, przez brzuch przebiegały ogromne fale. W jego pamięci była płynna, dlatego topiła się, wspominając go.

Myślała o kilku spokojnych chwilach swojego życia. Miłość fizyczna usuwająca ambicję i próżność poprzedzała zawsze te kruche momenty. Może były i inne

sposoby, lecz mało o nich wiedziała. Jej matka powtarzała zawsze, że kobiety, będąc bardziej pogodzonymi ze sobą niż mężczyźni, potrzebują mniej odskoczni od cierpień. Ona tego nie zauważyła. Jej życie było pełne cierpień, lecz niemal pozbawione sposobów ochrony przed nimi.

Porzuciła pisanie pamiętnika po dojściu do dziewiątego roku życia. W dniu przybycia Pettifera spaliła kartki w ognisku rozpalonym na środku pokoju.

"Mój Boże – pomyślała – to nie może być uosobienie potęgi".

Pettifer wyglądał źle, zmienił się tak, jak jej dawny przyjaciel zmarły na raka. Przed miesiącem tryskał zdrowiem, teraz zapadał się w sobie, pożerany od środka. Przypominał cię człowieka; skórę miał szarą i poplamioną. Jedynie oczy błyszcząły mu niczym u wściekłego psa. Ubrany był nieskazitelnie, jak na ślub.

–J.

–Titus.

Obejrzał ją od stóp do głów.

–Dobrze się czujesz?

–Tak, dziękuję.

–Dają ci wszystko, czego chcesz?

–Doskonali opiekunowie.

–Nie opierałaś się.

–Opierałam? Czemu?

–Przebywaniu tuaj. Zamknięciu. Po Lyndonie liczyłem się z następną rzezią niewiniątek.

–Lyndon nie był niewiniątkiem, Titusie. Ci tutaj są. Nic im nie powiedziałeś.

–Nie uważałem tego za konieczne. Czy mogę zamknąć drzwi?

Był jej porywaczem, lecz przyszedł tu jak poseł do obozu większej potęgi.

Podobało jej się to, że tak się zachowuje, tchórzliwie, lecz i z dumą.

–Kocham cię, J. I boję się ciebie. Prawdę mówiąc, kocham cię dlatego, że się boję.

Czy to normalne?

–Nie sądzę.

–Ani ja.

–Dlaczego tak zwlekałeś z przyjściem?

–Musiałem uporządkować pewne sprawy. Inaczej po moim odejściu nastąpiłby chaos.

–Wyjeżdżasz?

Spojrzał na nią z twarzą nagle zmienioną.

–Mam nadzieję.

–Dokąd?

Nadal nie domyślała się, co sprowadza go do niej, co spowodowało, że porządkuje wszystkie sprawy, prosi o wybaczenie niczego nieświadomą, śpiącą żonę, pali za sobą wszystkie mosty.

Nadal nie domyślała się, że przyszedł tu umrzeć.

–Zredukowałaś mnie, J. Zredukowałaś do zera. Nie mam dokąd iść. Rozumiesz?

–Nie.

–Nie mogę żyć bez ciebie... – wyznał. Brzmiało to strasznie banalnie. Nie mógł zdobyć się na większą oryginalność?! Omal nie skwitowała śmiechem trywialności tego stwierdzenia.

Nie skończył jednak.

–... i na pewno nie mogę żyć z tobą. – Nagle zmienił ton. – Przyprawiasz mnie o mdłości, kobieto, wszystko w tobie jest obrzydliwe.

–A więc? – zapytała miękko.

–Więc... – mówił znowu łagodnie i zaczynała już pojmować -... zabij mnie.

Było to groteskowe. Patrzył na nią rozgorączkowanymi oczyma z jakąś dziwną mocą.

–Tego chcę – powiedział. – Uwierz mi, tylko tego pragnę od świata. Zabij mnie w sposób w jaki zechcesz. Nie będę się opierał ani skarżył.

Przypomniała sobie stary żart. Masochista prosi sadystę: "Skrzywdź mnie! Na miłość boską, skrzywdź mnie!" Sadysta odpowiada: "Nie".

–A jeśli odmówię? – zapytała.

–Nie możesz mi odmówić. Jestem wstrętny.

–Aleja nie czuję do ciebie nienawiści, Titusie.

–Powinnaś. Jestem taki słaby. Bezużyteczny dla ciebie. Niczego cię nie nauczyłem.

–Nauczyłeś mnie wielu rzeczy. Potrafię teraz nad sobą panować.

–Śmierć Lyndona była więc zaplanowana?

–Oczywiście.

–Wydała mi się trochę przesadna.

–Zasłużył na wszystko, co dostał.

–W takim razie daj i mnie to, na co zasługuję. Zamknąłem cię. Odrzuciłem, gdyś mnie potrzebowała. Ukarz mnie za to.

–Już o tym zapomniałam.

–J.! – Nawet przyparty do muru nie mógł się zdobyć na wypowiedzenie całego jej imienia. – Błagam w imię Boga! Błagam! Chcę od ciebie tylko tego jednego. Zrób to z jakiego zechcesz powodu. Współczucia, pogardy czy miłości. Zrób, proszę.

–Nie – odparła.

Nagle przeszedł przez pokój i wymierzył jej policzek.

–Lyndon mówił, że jesteś dziwką. Miał rację – jesteś. Uliczną kurwą, niczym więcej.

Cofnął się, odwrócił, podszedł znowu i jeszcze raz uderzył, szybciej i silniej. Powtórzył to sześć czy siedem razy, odchodząc i wracając.

Potem stanął łkając.

–Chcesz pieniędzy?

Teraz się targuje. Najpierw bicie, potem targi. Widziała jego twarz wykrzywioną rozpaczą, zalaną łzami, których nie mogła powstrzymać.

–Czy chcesz pieniędzy? – zapytał znowu.

–A jak myślisz?

Nie zauważył sarkazmu w jej głosie i zaczął sypać jej pod nogi banknoty, niby

wota wokół posągu Madonny.

–Ile tylko zechcesz – powiedział -Jacqueline. Poczula w brzuchu coś niczym ból, kiedy zrodziła się w niej nagle chęć zabicia go. Udało jej się ją odsunąć. Była kukielką w jego rękach, pozbawionym mocy narzędziem jego woli. Wykorzystuje ją, jak wszyscy dotąd. Była karmiona jak krowa, by coś w zamian dawać. Mężom opiekę, dzieciom mleka, starcom śmierć. I jak po krowie spodziewano się po niej, że będzie usłużna na każde wezwanie, obojętne, kiedy by nadeszło. Cóż, nie tym razem... Podeszła do drzwi.

–Dokąd idziesz? Sięgnęła po klucz.

–Twoja śmierć obchodzi ciebie, nie mnie – powiedziała. Podbiegł do niej, nim otworzyła drzwi i uderzył, mocno, szaleńczo.

–Suko! – krzyknął zasypując ją gradem ciosów.

W jej żołądku wzrastała chęć mordy.

Szarpał ją za włosy, ciągnął w głąb pokoju, obrzucał wyzwiskami. Bluzgał nimi bez końca, zalewając potokami ścieków. "To tylko jeszcze jeden sposób wymuszenia tego, o co mu chodzi – mówiła sobie. – Jeśli dasz się sprowokować, będziesz zgubiona. Manipuluje tobą".

Ciągle płynęły słowa, te same pomyje, którymi oblewano pokolenia krnąbrnych kobiet. Kurwo; jędzio; cipo; suko; potworze.

"Tak – pomyślała – jestem potworem."

Ta myśl ją uspokoiła. Odwróciła się. Wiedziała, co robi, nim jeszcze na niego spojrzała. Przestała się już kontrolować.

"Nazwał mnie potworem: jestem nim. Zrobię to dla siebie, nie dla niego. Nigdy dla niego. Dla siebie!"

Zaparło mu dech, gdy dotknęła go swoją wolą. Błyszczące oczy przygasły na chwilę, pragnienie śmierci przeszło w pragnienie przeżycia, oczy wiście za późno. Krzyknął przeraźliwie.

Usłyszała głosy i dudnienie stóp po schodach. Za chwilę jego ludzie znajdą się w pokoju.

–Jesteś zwierzęciem – powiedziała.

–Nie! – wrzasnął, nawet teraz pewien, że to on rozkazuje.

–Nie istniejesz. – Podeszła bliżej. – Nigdy nie znajdę nawet kawałka Titusa. Titus zniknął. Reszta jest tylko...

Ból był straszliwy. Unieruchomił nawet język. A może to ona zmieniła mu gardło, podniebienie, całą głowę? Rozrywała płyty jego czaszki i ustawiała na nowo.

"Nie – chciał powiedzieć – to nie subtelny obrzęd, jaki planowałem. Chciałem umrzeć zawinięty w ciebie, chciałem odejść z ustami zaciśniętymi na tobie, chłodząc cię swoją śmiercią. Pragnąłem, by odbyło się to inaczej. Nie. Nie. Nie."

Mężczyźni, którzy jej pilnowali, byli przy drzwiach, walili w nie. Nie bała się ich, żałowała jedynie, że mogą zepsuć jej arcydzieło, nim je wykończy.

Ktoś wyważył drzwi. Drewno zatrzęszczało i puściło. Obaj mężczyźni byli uzbrojeni. Wycelowali w nią pistolety.

–Panie Pettifer! – zawołał młodszy. W kącie pokoju, pod stołem, błyszczwały oczy

Titusa. – Panie Pettifer! – powtórzył, zapominając o kobiecie.

Pettifer pokręcił ryjowatą głową. "Proszę, nie podchodź bliżej" – pomyślał.

Mężczyzna przykucnął i spojrzał pod stół na przycupniętą tam wstrętną bestię, zakrwawioną po przemianie, lecz żywą. Trwała bez ruchu, nie czując bólu, z rękoma zamienionymi w szpony, nogami zawiniętymi wokół pleców, kolanami wykoślawionymi tak, że wyglądała jak krab o czterech odnóżach, odsłoniętym mózgiem, oczami pozbawionymi powiek, złamaną dolną szczęką, oderwanymi uszami, przetrąconym kręgosłupem.

Faceta z pistoletem zatkało, gdy rozpoznał swojego pana. Wstał oblany zimnym potem i spojrzał na kobietę.

Jacqueline wzruszyła ramionami.

–Zrobiłaś to? – spytał z przerażeniem zmieszanym z odrazą.

Kiwnęła głową.

–Chodź, Titus – powiedziała, przytykając palcami. Zwierzę pokręciło głową i załkało.

–Chodź, Titusie – potworzyła dobitnie i Titus Pettifer wylazł z kryjówki, zostawiając po sobie krwawy ślad.

Mężczyzna instynktownie strzelił do resztek Pettifera. Za nic nie chciał pozwolić, by ta wstrętna istota zbliżyła się do niego.

Titus cofnął się dwa kroki na zakrwawionych łapach, wzdrygnął, upadł i skonał.

–Zadowolony? – spytała.

Zabójca spojrzał znak zwłok. Czy zwracano się do niego? Nie, Jacqueline patrzyła na ciało Pettifera, to jemu zadała pytanie.

–Zadowolony?

Zabójca rzucił pistolet. Drugi mężczyzna zrobił to samo.

–Jak to się stało? – zapytał.

–Prosił – wyjaśniła Jacqueline. – Tylko tyle mogłam mu dać. Kiwnął głową ze zrozumieniem i osunął się na kolana.

Testament Vassiego (część ostatnia[^]

Niepokojąco wielką rolę w moim romansie z Jacqueline Ess odgrywał przypadek.

Znalazłem ją nie wiedząc, że to uczyniłem – oto ironia losu. Dotarłem jej śladem najpierw do domu w Surrey, w którym poprzedniego roku zamordowano Titusa Pettifer, znanego miliardera. W pokoju na piętrze, gdzie dokonano zabójstwa, panował spokój. Jeśli tu była, to usunięto ślady jej obecności. Cały dom, teraz zrujnowany, pokrywały rozmaite napisy, a na obtłuczonej ścianie tegoż pokoju ktoś narysował kobietę. Była przesadnie wulgarna, z wielkiego łona wystawało coś na kształt błyskawicy. U stóp niewiasty leżała nieokreślona istota. Może był to krab, może pies, może nawet człowiek. Patrząc na tego pokraccznego stwora, gapiącego się w jaśniejącą Madonnę, domyślałem się, że oto mam przed sobą portret Jacqueline i jej kolejnej ofiary.

Nie wiem, jak długo tak stałem, przyglądając się rysunkowi. Zaczepił mnie wtedy człowiek. Wyglądał jeszcze gorzej niż ja. Miał długą, dawno nie mytą i nie strzyżoną brodę i sprawiał wrażenie tak wycieńczonego, że nie wiedziałem, jakim cudem może

stać. Śmierdział tak okropnie, że nawet skunks nie powstydziliby się tej woni.

Nigdy nie poznałem jego nazwiska, ale przyznał mi się, że to on jest autorem rysunku na ścianie. Łatwo było w to uwierzyć. Jego rozpacz, głód i niechlujny wygląd świadczyły dobitnie o tym, że widział Jacqueline.

Jeśli zbyt mocno go przyciskałem przy wypytywaniu, to na pewno mi wybaczył. Użyło mu, gdy opowiadał o wszystkim, co widział w dniu śmierci Pettifera, wiedział też, że we wszystko uwierzyłem. Mówił mi, że jego kolega, ten, który oddał śmiertelny strzał, popełnił samobójstwo w więzieniu.

Jego własne życie, twierdził, straciło wszelki sens. Zniszczyła je. Pocieszałem go, jak mogłem, tłumacząc, że nie chciała go skrzywdzić, i że nie musi się bać, iż po niego przyjdzie. Gdy mu to powiedziałem, zaczęła płakać, bardziej chyba z żalu niż ulgi.

Wreszcie spytałem go, czy wie, gdzie Jacqueline jest teraz. Zostawiłem to pytanie na koniec, choć na tym najbardziej mi zależało, bo nie śmiałem mieć nadziei, że wie. I na Boga, wiedział. Po zastrzeleniu Pettifera została jeszcze trochę w tym domu. Siedziała z moim rozmówcą, wypyując go spokojnie o dzieci, krawca, samochód. Pytała także o matkę i wyznał jej, że była ona prostytutką. Jacqueline chciała wiedzieć, czy była szczęśliwa. Odparł, że nie wie. Czy kiedykolwiek płakała? Odpowiedział, że nigdy w życiu nie widział jej płaczu ani śmiechu. Wtedy kiwnęła głową i podziękowała.

Potem kolega po wiedział mu przed śmiercią, że Jacqueline wyjechała do Amsterdamu. Była to pewna wiadomość od człowieka nazwiskiem Koos. Krąg zaczyna się zamykać, prawda?

Siedziałem w Amsterdamie siedem tygodni, nie znajdując najmniejszego śladu, który prowadziłby do niej. Dopiero wczoraj wieczorem trafiłem! Siedem tygodni żyłem w celibacie, rzecz dla mnie niezwykła. Rozdzierany niepokojem, poszedłem do dzielnicy czerwonych latarni, by poszukać tam kobiety. Siedzą w oknach jak manekiny, obok lamp z różowymi abażurami. Niektóre trzymają na kolanach maleńkie psy, inne czytają. Większość gapi się na ulicę.

Żadna twarz nie zainteresowała mnie. Wszystkie wydawały mi się pozbawione radości, mroczne, zbyt mało przypominające Jacqueline. Nie mogłem jednak odejść. Zachowywałem się jak gruby chłopiec w sklepie ze słodyczami, który nie może nic kupić, lecz jest zbyt łakomy, by nie popatrzeć.

W środku nocy zagadnął mnie młody człowiek. Nie miał brwi, jedynie kreski narysowane ołówkiem na lśniącej skórze. W lewym uchu tkwiło grono złotych kolczyków. W dłoni w białej rękawiczce trzymał na wpół zjedzoną gruszkę, sandały odsłaniały polakierowane paznokcie stóp. Chwycił mnie władczo za rękaw.

Musiałem się wzdrygnąć na jego widok, lecz ani trochę nie przejął się moim wstrętem. "Wyglądasz na bystrego faceta" – powiedział. Odparłem, że się myli. "Nie – stwierdził – to nie była pomyłka. Jesteś Oliver Vassi".

W pierwszej chwili pomyślałem, że chce mnie zabić. Próbowałem mu się wyrwać, lecz mocno trzymał mnie za mankiet.

"Szukasz kobiety" – powiedział. Czy na tyle zawahałem się z odmowna

odpowiedzią, iż poznał, że istotnie po to przyszedłem? "Mam kobietę inną od wszystkich – ciągnął dalej – jest cudowna. Wiem, że chętnie spotkasz się z nią".

Skąd się domyśliłem, że mówił o Jacqueline? Może dzięki temu, iż rozpoznał mnie wśród tłumu, jakby siedziała w którymś z okien i wybierała sobie kochanków, niby gość w restauracji zamawiający homara z akwarium. Może przez sposób, w jaki bez strachu spoglądał w moje oczy, bo lęk jak i zachwyt czuł wobec jednej tylko istoty. Czyż nie widziałem własnego odbicia w jego groźnym spojrzeniu? Znał Jacqueline, nie miałem wątpliwości.

Wiedziałem, że zostałem złapany na haczyk, bo na widok mojego wahania odwrócił się, wzruszając ramionami, jakby mówił: przegapiłeś szansę.

–Gdzie ona jest? – spytałem, chwytając go za cienkie ramię.

Wskazał głową w dół ulicy i poszedłem za nim ogłupiały.

Gdy szliśmy, robiło się coraz puściej. Przygasły czerwone latarnie. Wiele razy pytałem go, dokąd idziemy, wołał nie odpowiadać, nim nie znaleźliśmy się przed wąskimi drzwiami w wąskim domu przy bardzo wąskiej ulicy.

–Jesteśmy na miejscu – oznajmił, jakby ta buda była pałacem w Wersalu.

Poza pokojem na drugim piętrze dom był pusty. Pchnął mnie na nie, były zamknięte.

–Patrz – rozkazał – jest w środku.

–Zamknięte – odparłem. Serce biło mi szaleńczo, była blisko, na pewno, wiedziałem o tym.

–Patrz – powtórzył i wskazał na mały otwór w drzwiach. Widząc w nim światło, przyłożyłem oko do dziury.

W nędznym wnętrzu dostrzegłem tylko materac i Jacqueline. Leżała rozciągnięta na nim, przywiązana za przeguby nóg i rąk do palików osadzonych w podłodze.

–Kto to zrobił? – rzuciłem, nie odrywając oka od jej nagości.

–Prosiła o to – odparł. – Sama tego chciała. Prosiła. Usłyszała mój głos, z pewnym trudem odwróciła głowę i spojrzała prosto na drzwi.

–Oliver – powiedziała.

–Jacqueline – wymówiłem jej imię, składając usta jak do pocałunku. Jej ciało kipiało, ogolone łono otwierało się i zamykało jak wspaniałe purpurowo-różowy kwiat.

–Wpuść mnie – zwróciłem się do Koosa.

–Nie przeżyjesz nocy z nią.

–Wpuść mnie.

–Jest droga – ostrzegł.

–Ile chcesz?

–Wszystko co masz. Koszulę z grzbietu, pieniądze, biżuterię; jeśli dasz, będzie twoja.

Chciałem wyłamać drzwi lub tak długo rozgniatać jego poplamione nikotyną palce, aż da mi klucz. Wiedział, o czym myślę.

–Klucz jest schowany – powiedział – a drzwi mocne. Musi pan zapłacić, panie Vassi. Musi pan zapłacić. Mówił prawdę. Chciałem zapłacić.

–Chcesz mi dać wszystko, co kiedykolwiek miałeś, wszystko, czym byłeś. Chcesz

pójść do niej. Wiem o tym. Wszyscy tego chcą.

–Wszyscy? Wielu ich jest?

–Jest nienasycona. – Nie przechwalał się, słyszałem wyraźnie ból w jego słowach.

– Ciągłe szukam dla niej nowych, a potem ich grzebię.

Grzebię.

To chyba było, zadaniem Kossa, pozbywanie się trupów. Po dzisiejszej nocy chwyci mnie dłońmi o polakierowanych paznokciach, zabierze ze sobą i znajdzie jakąś dziurę, kanał, piec, by mnie tam porzucić. Nie była to zbyt pociągająca wizja.

Mimo to jestem tu ze wszystkimi pieniędzmi, jakie zdołałem zdobyć ze sprzedaży kilku pozostałych mi rzeczy. Bez godności, bez nadziei na jutro czekam na rajfura i klucz.

Jest już całkiem ciemno, spóźnia się. Myślę jednak, że przyjdzie. Nie dla pieniędzy, prawdopodobnie niewiele potrzebuje, jedynie na heroinę i tusz do rzes. Przyjdzie ubić ze mną interes, bo ona tego żąda, a on jest jej niewolnikiem do szpiku kości, tak jak i ja. Och, przyjdzie. Oczywiście, że przyjdzie.

Cóż, chyba wystarczy.

To mój testament. Nie mam czasu przeczytać go od początku. Słyszę kroki na schodach i muszę iść. Zostawiam te kartki dla tych, którzy je znajdą, mogą je wykorzystać, jak zechcą. Rano będę martwy i szczęśliwy. W to wierzę.

"Mój Boże – pomyślała – Koos mnie oszukał".

Vassi był za drzwiami, czuła umysłem jego ciało, obejmowała je. Ale Koos go nie wpuścił, wbrew wyraźnym poleceniom. Spośród wszystkich ludzi tylko Vassi mógł wejść za darmo, Koos o tym wiedział. Oszukał ją jednak, tak jak oszukiwali ją wszyscy z wyjątkiem Vassiego. Tylko on, być może, wiedział, co to jest miłość.

Całą noc leżała na łóżku, nie śpiąc. Rzadko kiedy spała dłużej niż kilka minut, tylko wtedy, gdy Koos jej pilnował. Mogłaby we śnie zrobić sobie krzywdę, okaleczyć nieświadomie.

Znów jest ciemno, domyślała się tego, lecz nie była pewna. W tym pokoju zawsze panował dzień dla jej ciała, noc dla duszy. Spoczywała wsłuchana w odległe odgłosy ulicy, czasem drzemiąc przez chwilę, czasem jedząc z ręki Koosa, myta, oporzadzana, używana.

Klucz obrócił się w zamku. Uniosła się znad materaca, by zobaczyć, kto to. Drzwi się otwierają... otwierają...otwierają.

Vassi. O Boże, to nareszcie Vassi, widzi, jak idzie ku niej, ku swojej zgubie.

"Oby nie było to następne wspomnienie – modliła się – oby tym razem to był on, prawdziwy i realny".

–Jacqueline.

Wymówił imię jej ciała, całe imię.

–Jacqueline.

Z tyłu Koos wpatrywał się w miejsce pomiędzy jej nogami, zafascynowany tańcem warg.

–Koo... – spróbowała się uśmiechnąć.

–Przyprowadziłem go. – Wyszczrzył zęby, nie odwracając przy tym oczu od jej

łona.

–Dzień – szepnęła. – Czekałam dzień, Koos. Zmusiłeś mnie doczekania...

–Cóż dla ciebie znaczy dzień? – zapytał, uśmiechając się ciągle.

Już nie potrzebowała rajfura, choć on o tym nie wiedział. W swojej naiwności sądził, że Vassi to kolejny mężczyzna, którego skusiła, by wyssać i porzucić. Koos wierzył, że będzie jutro potrzebny, dlatego tak szczerze grał swoją rolę.

–Zamknij drzwi – poleciła mu. – Jeśli chcesz, możesz zostać.

–Zostać? – zapytał pożądliwie. – Mógłbym popatrzeć?

I tak podglądał. Wiedziała, że patrzy przez dziurę wywierconą w drzwiach, niekiedy słyszała, jak dyszy. Tym razem pozwoli mu jednak zostać na zawsze.

Uważnie wyjął klucz z zewnętrznej strony drzwi, zamknął je, włożył klucz ponownie i przekręcił. W tej samej chwili zabiła go, nim zdołał się odwrócić i spojrzeć na nią znowu. Egzekucja nie była wymyślna, po prostu sięgnęła w jego gołębią pierś i ścisnęła płuca. Oparł się o drzwi i osunął, szorując twarzą po drewnie.

Vassi nie odwrócił się, by to zobaczyć; chciał patrzeć tylko na nią.

Podszedł do materaca, przyklęknął i zaczął odwiązywać Jacqueline.

Nogi miała poranione, sznur przesiąkł starą krwią. Vassi cierpliwie rozplątywał węzły, znajdując w sobie spokój, który uważał za utracony, odczuwał proste zadowolenie, że wreszcie tu jest, że nie może zawrócić. Wiedział, iż jego dalszy los zależy od niej.

Uwolnwszy kostki nóg, zabrał się do nadgarstków, zasłaniając jej sobą sufit. Spytał łagodnie:

–Czemu pozwoliłaś mu na to?

–Bałam się.

–Czego?

–Ruchu; nawet życia. Każdy dzień to agonia.

Dobrze rozumiał ową całkowitą niezdolność do istnienia. Poczwała obok siebie jego nagie ciało, a potem gorące pocałunki na swojej popękanej, chłodnej skórze.

Leżał przy niej i jego dotyk nie był nieprzyjemny.

Dotykał jej głowy. Miała zeszywniałe stawy, każdy ruch sprawiał jej ból, lecz pragnęła przyciągnąć jego twarz do swojej. Zobaczyła jego uśmiech.

"Mój Boże – pomyślała – jesteśmy razem".

Na tę myśl jej wola stała się ciałem. Pod jego ustami topniały rysy jej twarzy, stała się czerwonym morzem, o którym śniła i które zalało ją wodą powstałą z myśli i kości.

Spiczaste piersi kłuły go jak strzały, odwzajemnił się jednym pchnięciem wzwidzonego członka, wyostrzonego jej myślą. Zanurzeni w potopie miłości pomyśleli, że w nim utoną, i tak się stało.

Tam, na zewnątrz, był inny świat. Mamrotanie kupujących i sprzedających trwało całą noc. W końcu obojętność i zmęczenie zmogło nawet najzagorzalszych handlarzy. Wszędzie zapanowało kojące milczenie.

SKÓRY OJCÓW

Samochód zazgrzytał, prychnął i stanął. Davidson usłyszał nagle wiatr świszczący nad pustą drogą i poczuł, jak napiera na szyby mustanga. Próbował uruchomić silnik, lecz ten odmawiał posłuszeństwa. Rozdrażniony mężczyzna oderwał od kierownicy spocone ręce i rozejrzał się wokół. Wszędzie gorące powietrze, gorące skały, gorące piaski. Taka jest Arizona. Otworzył drzwiczki i wyszedł na zapyloną szosę. Ciągnęła się prosto aż po horyzont. Zmrużywszy oczy, dostrzegł góry ginące w falującym od upału powietrzu.

Otworzył maskę i spojrzął na silnik, żałując, iż nie zna się na mechanice. "Jezu – pomyślał. – Czemu nie robią tego diabelstwa tak, by się nie psuło?"

Potem usłyszał jakieś dźwięki. Rozlegały się tak daleko, że najpierw wydały mu się tylko szumem w uszach, dopiero potem stały się głośniejsze.

Była to jakaś muzyka. Jak brzmiała? Tak jakby wiatr grał na przewodach telefonicznych; nie miała źródła, rytmu. Przeraziła go. Próbował to zlekceważyć, lecz bezskutecznie.

Uniósł głowę, by zobaczyć muzyków, lecz droga była pusta. Dopiero przyjrzawszy się uważnie, dostrzegł na południowym wschodzie szereg ledwo widocznych, drobnych figurek, które szły, skakały lub tańczyły, ruchliwe jak drgające powietrze. Procesja, jeśli była nią w istocie, tworzyła długą Unię posuwającą się wzdłuż szosy.

Davidson rzucił jeszcze jedno spojrzenie na tajemnicze wnętrzości samochodu, a potem na odległy szereg tancerzy. Potrzebował pomocy, był tego pewien.

Ruszył ku nim przez pustynię.

Poza szosą piasek nie ubijany kołami samochodów stawał się coraz bardziej sypki. Wzbijał się wysoko przy każdym kroku. Davidson posuwający się początkowo powoli przeszedł w trucht, ale tancerze nadal oddalali się od niego. Zaczął biec.

Muzyka dobiegała teraz wyraźniej. Nie było w niej żadnej melodii, składała się z różnej wysokości dźwięków pochodzących z wielu instrumentów; wycia i buczenia, gwizdów, bębnienia i ryków.

Przód procesji zniknął w dali; jej uczestnicy wciąż posuwali się szybko. Davidson zmienił trochę kierunek, by przeciąć im drogę, rzucił też krótkie spojrzenie za siebie. Ze ściskającym serce poczuciem osamotnienia ujrzał na drodze swój samochód, mały jak żuk, przytłoczony palącym słońcem.

Biegł dalej. Po jakimś kwadransie zobaczył procesję wyraźniej, choć prowadzący ją nadal kryli się za horyzontem. Zaczął wierzyć, że jest to jakieś niezwykle święto. Ostatni tancerze byli niewątpliwie przebrani. Mieli na sobie czapki i maski wystające wysoko ponad głowę przeciętnego człowieka. Tworzyły je jaskrawe pióra i proporce powiewające na wietrze. Cokolwiek świętowali, zataczali się jak pijani, posuwali pętlami, niektórzy rzucali się na ziemię, przyciskając brzuchy do gorącego piasku.

Z wyczerpania Davidsonowi pękały płuca i stawało się jasne, że pogoń mu się nie uda. Procesja przyspieszyła teraz tak, że nie miał siły ani dość woli, by dotrzymać jej kroku.

Stanął, opierając ręce na kolanach, by dać wytchnienie zmęczonym płucom i patrzył spod zalanych potem brwi na znikającą szansę ratunku. Potem, zebrawszy

wszystkie siły, ryknął:

–Stać!

Początkowo nic się nie działo. Potem przez szparki oczu dojrzał, że jakiś pijak stanął. Davidson wyprostował się, pewny już, że ktoś mu się przygląda. Poczuł raczej niż dostrzegł, że na niego patrzą.

Zaczął iść ku nim.

Niektóre instrumenty umilkły, jakby rozchodziła się wieść o jego zbliżaniu się. Widzieli go, na pewno.

Szedł coraz szybciej i coraz wyraźniej dostrzegał szczegóły procesji.

Zwolnił nieco. Serce, już przedtem bijące mocno, zaczęło teraz walić jak oszalałe.

–Słodki Jezu – powiedział i była to pierwsza prawdziwa modlitwa w jego trzydziestosześcioletnim życiu.

Stanął kilometr od nich, lecz wzrok go nie mylił. Jego bolące oczy potrafiły odróżnić fakturę od ciała, iluzję od rzeczywistości.

Stwory z końca procesji, ostatni spośród ostatnich, maruderzy, były monstrami o wyglądzie rodem z koszmarów szaleńca.

Jeden miał sześć czy siedem metrów wzrostu. Jego zwisająca fałdami skóra nabita była kolcami, spiczasta głowa szczyrzyła zęby osadzone w szkarłatnych dziąsłach. Inny, z trzema skrzydłami, bił o ziemię gadzim ogonem o trzech odnogach. Trzeci i czwarty tworzyli razem maskarę wstrętniejszą niż każdy z nich osobno. Symbiotyczne monstra zlewały się razem, macki wnikały w otwory ciała partnera. Pomimo splełanych razem języków przenikliwie wyły.

Davidson cofnął się o krok, obejrzał na szosę i samochód. Wówczas jedna z istot, czarno-czerwona, zaczęła zawodzić jak syrena. Nawet z odległości kilometra ten dźwięk wdarł się do głowy Davidsona. Spojrzał na procesję.

Gwiżdżący potwór oderwał się od grupy i zaczął biec ku niemu, drąc pazurami piasek pustyni. Niepowstrzymana panika ogarnęła Davidsona. Mężczyzna poczuł, że jego zwieracze nie wytrzymały napięcia.

Istota pędziła ku niemu z szybkością geparda, rosnąc z każdą sekundą. Davidson widział coraz więcej szczegółów dziwacznej anatomii. Dłonie bez kciuków miały zębiaste brzegi, głowa -jedno tylko, trójbarwne oko, ścięgną ramion i piersi naprężyły się, rozdwojony członek wzniesiony w gniewie lub (Boże broń!) w pożądaniu bił w brzuch.

Davidson krzyknął niemal równie głośno, co monstrum, i rzucił się do ucieczki. Samochód był oddalony o dwa, trzy kilometry i nie stanowił żadnej ochrony, choćby nawet mężczyzna dopadł go przed potworem. W tej chwili zrozumiał, że bardzo mało dzieli go od śmierci.

Stwór był tuż tuż, Davidson zachwiał się i upadł, a potem zaczął wlec się w kierunku samochodu. Na odgłos kroków za plecami instynktownie skulił się w drżący kłębek, oczekując na śmiertelny cios.

Czekał. Dwa uderzenia serca. Trzy. Cztery. Ciągłe żył.

Gwiżdżący głos przeszedł w nieznośny pisk. Zgrzytające łapy nie pochwyciły jego ciała. Davidson ostrożnie spojrział przez palce, spodziewając się, że w tej chwili

zostanie mu urwana głowa.

Istota go minęła.

Może gardząc jego słabością, pobiegła dalej w stronę szosy.

Davidson poczuł zapach swoich ekskrementów i strachu. Został zlekceważony.

Parada za jego plecami ponownie ruszyła. Jedynie kilka ciekawskich potworów nadal oglądało się na niego przez ramię, nim nie zniknęły w pyłe.

Gwizd zmienił ton. Davidson ostrożnie uniósł głowę znad ziemi. Nie słyszał już nic poza przenikliwym szumem w bolącej głowie.

Wstał.

Stwór wskoczył na dach samochodu. Widać było wyraźnie jego erekcje. W ekstazie potrząsał łbem, ślepią mu błyszcząły. Głos wznosił się, aż w końcu przestał być słyszalny dla ludzkiego ucha. Stwór pochylił się nad wozem, rozbił szybę i zacisnął na dachu chwytną łapy. Rozdzierał stal jak papier, jego pysk wykrzywił się z radości, a całe ciało podrygiwało. Po zerwaniu dachu zeskoczył na szosę i rzucił go w górę. Blacha obróciła się w powietrzu i runęła na pustynię. Davidson zastanowił się przez chwilę, co może wpisać na formularzu ubezpieczeniowym. Monstrum rozdzierało teraz samochód na części. Drzwi zostały pogruchotane, silnik wyrwany, koła poprzedziurawiane i zerwane z osi.

Davidson poczuł wyraźnie zapach benzyny. Zaraz potem blacha zgrzytnęła o blachę, a potwora i wóz ogarnęła falująca kolumna ognia. Czarny dym zasnuł szosę.

Istota nie wołała albo też jej krzyki były niesłyszalne. Wytoczyła się z tego piekła z płonącym ciałem; machała dziko łapami w rozpaczliwych próbach zduszenia ognia. Pobiegła szosą, uciekając od źródła mąk w stronę gór. Płomienie buchały z jej grzbietu, a powietrze wypełniał smród przypiekanego ciała. Nie upadła, choć ogień musiał ją bardzo poparzyć. Biegła coraz dalej, aż zniknęła w niebieskiej dali.

Davidson opadł na kolana. Pokrywający mu nogi kał wysechł już od słońca. Samochód nadal płonął. Muzyka ucichła; procesja potworów zniknęła.

Słońce wyгнаło go z piasku i zawróciło do wypalonego wozu. Patrzył bezmyślnie przed siebie, dopóki jakiś samochód nie zatrzymał się, by go zabrać.

Szeryf Josh Packard patrzył niedowierzając na ślady pazurów u swoich stóp. Zostały odcisnięte przez potwora, który dziesięć minut wcześniej przebiegł jedyną ulicą Welcome. Upadł i wydał ostatnie tchnienie o trzy długości ciężarówki od banku. Ustały wszystkie normalne zajęcia Welcome, czyli głównie handel i pogawędki. Paru wrażliwych osobników pognało do toalet hotelu, gdy smród przypiekanego mięsa zasnuł pustynne powietrze miasteczka.

Odór przypominał coś pośredniego pomiędzy rozgotowaną rybą a ekshumacją. Packardowi było niedobrze. To jego miasto, chronił je i strzegł.

Szeryf wyjął pistolet i zaczął podchodzić do zwłok. Płomienie już zgasły, pochłaniając wcześniej większość cielska. Mimo to było wielkie. To, co mogło być łapami, wciąż osłaniało przypuszczalną głowę. Reszty ciała nie sposób było rozpoznać. Packard był z tego zadowolony. Ta martwa plątanina nadpalonego ciała i poczerniałych kości była jednak na tyle niehumanitarna, że jej widok przyspieszył mu puls.

To potwór, szeryf w to nie wątpił. Istota ziemską lub raczej podziemną. Wyszła

spod powierzchni i wędrowała do wielkiej pieczary na nocne święto. Ojciec mówił mu, że pustynia co pokolenie wypluwa swoje demony i na krótko pozwala im biegać wolno. Będąc rozsądnym dzieckiem, Packard nigdy nie wierzył w opowiadane przez ojca bzdury, lecz czyż nie miał przed sobą takiego demona?

Cokolwiek przywiodło do miasta płonące monstrum, Packard cieszył się, że zdychając dało dowód swojej śmiertelności. Ojciec nigdy mu nie wspominał o takiej możliwości.

Uśmiechając się namyśl o zabieraniu się do tego paskudztwa, Packard podszedł do dymiącego ciała i kopnął je. Kryjący się ostrożnie w bramach ludzie krzyknęli z podziwu dla jego odwagi. Szeryf uśmiechnął się szerzej. Sam ten kopniak wart jest wieczoru picia, może nawet kobiety.

Stwór leżał brzuchem do góry. Z obojętną miną zawodowego poskramiacza potworów Packard obejrzał dokładnie splątane przy głowie kończyny. Straszdyło było martwe, to pewne. Schował broń i pochylił się nad ciałem.

–Daj tu aparat, Jedediah – powiedział, dziwiąc się własnej śmiałości. – Musimy sfotografować tę piękność.

Jego zastępca pobiegł do biura. Packard przykucnął i dotknął szerniałych szczątków. Straci rękawiczki, ale warto je poświęcić, żeby zrobić wrażenie na innych. Czując pełne podziwu spojrzenia, dotknął ciała i zaczął odrywać łapy od łba potwora.

Ogień stopił razem części ciała, więc szeryf musiał mocno ciągnąć łapę. Puściła z plaśnięciem, odsłaniając wysuszone przez żar oko.

Ze wstrętem wypuścił kończynę.

I w tym momencie poczuł uderzenie. Ramię potwora śmignęło szybko, zbyt szybko, by Packard zdążył się ruszyć. Z przerażeniem ujrzał, że otwiera się paszcza z ostrymi jak brzytwy zębiskami, by zaraz zacisnąć się na jego ręce.

Szeryf rzucił się w tył i usiadł na ziemi, uciekając przed paszczą, która połknęła już rękawiczkę i zacisnęła zęby na ciele, ucinając palce.

Packard wił się z rykiem, próbując się uwolnić. Ta istota miała jeszcze w sobie życie! Błagający głośno o ratunek szeryf zdołał jakoś wstać, wlokąc za sobą plugawe szczątki stwora.

Tuż przy jego uchu zabrzmiał strzał. Opryskała go krew i ropa, łapa rozleciała się na kawałki, a paszcza zwolniła swój chwyt. Przerażeni gapie mogli teraz zobaczyć dłoń szeryfa, czy raczej to, co z niej zostało. Prawa dłoń nie miała już palców, a pokruszone kości sterczały z częściowo przeżutej ręki.

Eleanor Kooker opuściła pistolet, z którego właśnie strzeliła, i chrząknęła z zadowoleniem.

–Straciłeś dłoń – powiedziała z brutalną prostotą.

Packard przypomniał sobie słowa ojca: "Potwory nigdy nie giną". Przypomniał to sobie zbyt późno i teraz poświęcił rękę ściskającą zwykle kieliszki i dziewczyny. Zalała go tęsknota za latami straconymi wraz z tymi palcami, a oczy zasnuła czarna mgła. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył, gdy padał na ziemię, był jego posłuszny zastępca wznoszący aparat, by zarejestrować całą scenę.

Buda z tyłu domu była schronieniem Lucy. Zawsze, gdy Eugene wracał pijany z

Welcome lub wpadał w nagły szal, bo mięso było zimne, Lucy biegła tam, by się spokojnie wypłakać. Nigdy w życiu nie zaznała współczucia ze strony Eugene'a.

Dzisiaj wściekł się z tego samego powodu, co zawsze.

Dziecko.

Pielęgnowany i starannie wychowywany owoc ich miłości, noszący imię brata Mojżesza, Aarona, które oznacza "wyniesionego". Cudowny chłopak. Najładniejszy w całej okolicy. Ma dopiero pięć lat, a już jest tak słodki i grzeczny, że pochwaliby go każda mamusia z najlepszego towarzystwa.

Aaron. Duma i radość Lucy, dziecko stworzone do puszczenia baniek mydlanych, tańczenia, oczarowania samego Diabła.

Eugene był innego zdania.

–To pieprzone dziecko nie jest bardziej chłopakiem niż ty -powiedział do Lucy. – Nie jest nim nawet w połowie. Nadaje się jedynie do nakładania wymyślnych butów i sprzedawania perfum lub do wygłaszania kazań. Nadaje się tylko na kaznodzieję. – Wyciągnął w stronę chłopca dłoń z poobgryzаныmi

paznokciami na krzywych palcach. – Jesteś hańbą dla swego ojca! Słyszysz mnie, chłopcze?

Aaron spojrzał na niego. Eugene odwrócił wzrok. Na widok wielkich oczu syna przewracał mu się żołądek, były one bardziej psie niż ludzkie.

–Nie chcę go w tym domu.

–Co zrobił?

–Nie musi nic robić. Wystarczy, że jest. Przez niego śmieją się ze mnie, wiesz o tym?

–Nikt się z ciebie nie śmieje, Eugene.

–O, tak.

–Nie z powodu chłopca.

–Co?

–Jeśli się śmieją, to nie przez chłopca. Śmieją się z ciebie.

–Zamknij pysk!

–Znają cię, Eugene. Widzą wyraźnie, tak jak i ja.

–Mówię ci, kobieto...

–Latasz jak pies po ulicy, gadając, co widziałeś i czego się boisz...

Uderzył ją, jak wiele razy przedtem. Od pięciu lat bił ją do krwi, lecz mimo bólu zatroszczyła się przede wszystkim o chłopca.

–Aaronie – powiedziała szlochając – chodź ze mną.

–Zostaw bękarta – powiedział Eugene drżącym głosem.

–Aaronie.

Dziecko stało pomiędzy ojcem a matką, nie wiedząc, kogo posłuchać. Jego zmieszana mina wywołała jeszcze obfitsze łzy Lucy.

–Mamo – powiedziało dziecko bardzo spokojnie, patrząc smutnymi oczyma. Nim Lucy zdołała uspokoić sytuację, Eugene chwycił syna za włosy i przyciągnął do siebie.

–Słuchaj ojca, chłopcze.

–Tak...

–Tak jest, mów jak należy do swego ojca. Powiedz: tak jest.

Twarz Aarona została przyciśnięta do śmierzącego kroku dżinsów ojca.

–Tak jest.

–Zostanie ze mną, kobieto. Nie weźmiesz go więcej do tej pieprzonej budy.

Zostanie z ojcem.

Potyczka została przegrana i Lucy dobrze o tym wiedziała. Gdyby nalegała, naraziłaby jedynie dziecko na nowe niebezpieczeństwo.

–Jeśli cię skrzywdzi...

–Jestem jego ojcem, kobieto – uśmiechnął się Eugene. – Myślisz, że skrzywdziłbym krew z mojej krwi?

Chłopiec tkwił przyparty do biodra ojca w pozycji niemal lubieżnej. Lucy знаła jednak swego męża, był on bliski nieopanowanego wybuchu. Nie myślała już o sobie, tylko o chłopcu. Był taki wrażliwy.

–Zejdź mi z oczu, kobieto, jeszcze tu jesteś? Zostanę tylko z chłopcem, rozumiesz? – Eugene oderwał głowę Aarona od swego krocza i prychnął w jego bladą twarz. – Prawda?

–Tak, tato. Tak, tato. Oczywiście, że tak, tato.

Lucy wyszła z domu i schroniła się w zimnym mroku szopy, by modlić się tam za Aarona mającego imię po bracie Mojżesza. Aaron, którego imię znaczy "wyniesiony"; zastanawiała się, jak długo wytrzyma okrucieństwa, jakich dozna w przyszłości od świata.

Chłopiec został rozebrany. Stał biały przed ojcem. Nie bał się. Lanie, które otrzyma, będzie bolało, lecz mały nie czuł przed nim prawdziwego lęku.

–Jesteś chory, mały – powiedział Eugene, przesuając wielką dłoń po brzuchu syna. – Słaby i chorowity jak chudy prosiak. Gdybym był farmerem i miał takiego świniaka, to wiesz, co bym zrobił? – Znów chwycił chłopca za włosy. Drugą rękę wsadził mu między nogi. – Wiesz, co bym zrobił?

–Nie, tato. Co byś zrobił?

Stwardniała ręka prześliznęła się po ciele Aarona.

–Zarżnąłbym cię i rzuciłbym reszcie miotu. Prosiakom nic bardziej nie smakuje niż inny wieprzek. Spodobałoby ci się to?

–Nie, tato.

–Chciałbyś tego?

–Nie, dziękuję, tato. Twarz Eugene'a stwardniała.

–Chciałbym to zobaczyć, Aaronie. Chciałbym widzieć, co zrobiłbyś, gdybym cię rozpruł i zajrzał do środka.

W zabawach ojca była przemoc, której Aaron nie rozumiał – nowe groźby, nowe bezeceństwa. Ale chłopiec wiedział, że tak naprawdę boi się nie on, lecz jego ojciec. Strach był podstawą natury Eugene'a, tak jak Aarona – patrzyenie, cierpienie i czekanie, aż nadejdzie pora. Wiedział, choć nie rozumiał, jak i skąd, że stanie się przyczyną zniszczenia swojego ojca. A może nie tylko przyczyną.

Eugene kipiał z gniewu. Patrzył na syna, tak mocno zacisnąwszy brunatne pięści,

że aż zbieleły mu knykie. Chłopiec go niszczył, zdruzgotał spokojne życie, jakim się cieszył przed jego urodzeniem. Ledwo myśląc o tym, co robi, Eugene zacisnął dłonie na wątłej szyi syna.

Aaron nawet nie pisnął.

–Mogę cię zabić, chłopcze.

–Tak jest.

–Co na to powiesz?

–Nic.

–Powinieneś powiedzieć: dziękuję bardzo.

–Dlaczego?

–Dlaczego, chłopcze? Bo twoje życie jest mniej warte niż psie łajno i zrobiłbym ci łaskę, jak ojciec synowi.

–Tak jest.

W szopie za domem Lucy przestała płakać. Nie miało to sensu, ponadto coś w niebie widzianym przez dziury w dachu przywołało wspomnienia, które wysuszyły żyły. Niebiosa – nieskazitelnie błękitne, lśniące czystością. Eugene nie skrzywdzi chłopca. Nie odważy się skrzywdzić tego dziecka. Wiedział, kim ono jest, choć nigdy się do tego nie przyznawał.

Pamiętała ten dzień sprzed sześciu lat, gdy niebo lśniło jak dzisiaj, a powietrze drżało od żaru. Eugene i ona byli równie rozpaleni jak powietrze. Cały dzień nie odrywali od siebie oczu.

Był wtedy w lepszym stanie, w pełni sił. Wspaniała, strzelisty mężczyzna, o ogorzałym od słońca ciele. Sama też była niebrzydka; miała najlepszy tyłek w Backside, jędrny i gładki; szparka miała takie miękkie włosy, że Eugene nie mógł się powstrzymać od całowania ich. Czasami zaspokajał ją przez cały dzień i noc w zbudowanym przez nich domu lub na piasku. Pustynia była wygodnym łóżkiem, nic im nie przeszkadzało, gdy leżeli pod szerokim niebem.

Tego dnia przed sześciu laty niebo pociemniało zbyt szybko, na długo przed właściwą porą zmierzchu. Coś je na moment zasłoniło i kochankowie poczuli nagle chłód. Przez ramię mężczyzny ujrzała kształty na tle nieba – przyglądające się im monstrialne istoty. On nadal namiętnie działał, wpychał i wyciągał swój korzeń, tak jak to lubiła, aż chwyciła go za kark czerwona jak burak ręka długości człowieka i ściągnęła z żony. Widziała go uniesionego w górę. Wyglądał jak wierzgający królik. Na chwilę otworzył oczy i ujrzał żonę sześć metrów niżej, nagą i otoczoną przez potwory. Niedbale, bez złośliwości odrzuciły go poza swój krąg.

Pamiętała dobrze następną godzinę, wypełnioną uściskami monstrów. Wcale nie były wstrętne czy bolesne, ale całkiem miłe. Nie cierpiała nawet wtedy, gdy po kolei wciskały swoje narzędzia do rozmnażania, trzy, cztery, pięć? A może jeszcze więcej? Wlewały w nią nasienie, pieśczośliwie dawały jej rozkosz cierpliwymi pchnięciami. Gdy odeszły i na jej skórę znów padły promienie słońca, zamiast wstydzić się, poczuła żal, jakby minął szczyt jej życia i przez resztę swoich dni miała jedynie czekać na śmierć.

Wstała wreszcie i podeszła do leżącego na piasku nieprzytomnego Eugene'a.

Jedną nogę miał złamaną. Pocałowała go, a potem kucnęła, by dać mu wody. Miała nadzieję, i to wielką, że miłość tego dnia wyda owoc, że będzie mieć pamiątkę swojej rozkoszy.

W domu Eugene uderzył chłopca. Aaronowi połała się krew z nosa, lecz nadal milczał.

–Mów, chłopcze.

–Co mam powiedzieć?

–Jestem twoim ojcem czy nie?

–Tak, ojciec.

–Kłamca!

Uderzył znowu, bez ostrzeżenia. Tym razem cios rozciągnął Aarona na podłodze. Wstając oparł o posadzkę kuchni małe, delikatne dłonie, poczuł coś przez podłogę, jakąś muzykę spod ziemi.

–Kłamca! – wrzeszczał ciągle jego ojciec.

"Będzie więcej razy, więcej bólu, więcej krwi – myślał chłopiec. – Zniosę to jednak, a muzyka jest oczekiwaną od dawna obietnicą, że bicie skończy się raz na zawsze".

Davidson włókł się główną ulicą Welcome. Zegarek mu stanął, ale mężczyzna oceniał, że jest popołudnie. Mimo to miasto wyglądało na opustoszałe. Nagle Davidson zobaczył ciemny, dymiący wzgórek na środku jezdni, sto metrów dalej. Gdyby było to możliwe, na ten widok krew by mu zamarzała.

Mimo odległości rozpoznał tę kupę spalonego mięsa i odwrócił w przerażeniu głowę. "Wszystko to jest jednak prawdziwe" – pomyślał. Przeszedł jeszcze kilka kroków, walcząc z oszołomieniem i zmęczeniem, aż podparły go mocne ramiona i poprzez szum w głowie usłyszał uspokajające słowa. Były dla niego niezrozumiałe, lecz przynajmniej miękkie i ludzkie, mógł poddać się ogarniającej go słabości. Upadł, ale wydawało mu się, że tylko na chwilę, bo znów ujrzał świat, równie wstrętny jak poprzednio.

Został wprowadzony do domu i ułożony na niewygodnej kanapie. Ujrzał nad sobą kobiecą twarz. Eleanor Kooker uśmiechnęła się, gdy doszedł do siebie.

–Przeżyje – powiedziała. Jej głos był ostry i chropowaty. Pochyliła się niżej. – Widziałeś to, prawda? Davidson kiwnął głową.

–Lepiej opowiedz nam wszystko.

Podano mu szklankę, a Eleanor napełniła ją hojnie whisky.

–Pij – rozkazała. – Potem powiesz nam, co masz do powiedzenia.

Wypił whisky dwoma łykami i natychmiast dolano mu do pełna. Drugą szklankę opróżnił wolniej i poczuł się lepiej.

Pokój był pełen ludzi, wydawało się, że całe Welcome tłoczy się w salonie Kookerów. Przypominało to teatr. Davidson rozluźniony dzięki whisky zaczął opowiadać, jak tylko potrafił najlepiej, bez upiększeń, po prostu przekazując wszystko po kolei. Eleanor opisała mu w zamian okoliczności "wypadku" szeryfa Packarda. Packard też tam był, czekał na najgorsze, pocieszając się whisky i środkami przeciwbólowymi. Jego pokiereszowana dłoń była tak grubo

obandażowana, że wyglądała bardziej na kłodę niż rękę.

– Tam jest znacznie więcej potworów – powiedział Packard po wysłuchaniu opowieści.

– To ty tak sądzisz. – Bystre oczy Eleanor wyrażały niedowierzanie.

– Tak mówił mój tata – upierał się szeryf, patrząc na obandażowaną rękę. – 1 wierzę w to, wierzę jak w piekło.

– W takim razie lepiej coś z tym zrobimy.

– Na przykład, co? – spytał ponury mężczyzna oparty o kominek. – Co można zrobić z istotami zjadającymi samochody?

Eleanor wyprostowała się i zwróciła się do niego z pogardą:

– Wykorzystajmy twoją mądrość, Lou. Co, według ciebie, powinniśmy zrobić?

– Uważam, że należy się schować i poczekać, aż przejdą.

– Nie jestem ostrygą – odparła Eleanor. – Jeśli chcesz schować głowę w piasek, pożyczę ci łopatę. Może wykopiesz sobie grób.

Ogólny śmiech – cyniczny, wymuszony – szybko umilkł i obecni patrzyli znów na swoje paznokcie.

– Nie możemy tu siedzieć i pozwolić, by przeszły przez miasto – powiedział zastępca Packarda, nie przerywając żucia gumy.

– Co może je skłonić do zmiany przeklętych zamiarów? – krzyknęła Eleanor. – Co? Nikt nie odpowiedział. Kilku kiwnęło głowami, kilku nimi pokręciło.

– Jedediah – mówiła dalej – jesteś zastępcą szeryfa. Co o tym wszystkim sądzisz?

Młody mężczyzna z odznaką i strzelbą zarumienił się lekko i szarpnął za wąsik.

Widać było, że nic nie przychodzi mu do głowy.

– Obleciał was wszystkich taki strach, że nie wykurzycie tych czortów z ich nor, prawda? – dodała kobieta, nim coś odpowiedział.

Przez pokój przeszły pomruki usprawiedliwień; dalej krę-ceno głowami.

– Zamierzacie siedzieć na tyłkach i pozwolić, by pożarto wasze kobiety!

Dobre słowo: pożarto. Na Boga, co może być gorsze od pożarcia?

– Ciebie żaden diabeł nie tknie – powiedział Packard, wstając z pewnym trudem.

Chwiejąc się na nogach, przemówił do wszystkich: – Złapiemy tych gównojadów i powiesimy.

Zebrani mężczyźni nie podjęli okrzyku wojennego; szeryf stracił wiele w ich oczach po zdarzeniu na Main Street.

– Lepsza rozważa niż odwaga – mruknął Davidson pod nosem.

– Jeszcze lepsze jest końskie łajno – uzupełniła Eleanor.

Davidson wzdrygnął się i dopił whisky. Nie dolano mu nowej. Pomyślał ze skruchą, iż powinien być wdzięczny za życie, jednakże legły w gruzach wszystkie jego plany. Musi dostać się do telefonu i wynająć samochód, a może namówić kogoś, by go stąd wywiózł. "Potwory" – nie obchodziło go, czym były, chętnie przeczytałby o tym krótki artykuł w gazecie, teraz jednak pragnął jedynie zakończyć swoje interesy w Arizonie i wrócić jak najszybciej do domu.

Packard miał jednak inny pomysł.

– Jest pan świadkiem – powiedział, wskazując na Davidsona. – Jako tutejszy

szeryf, nakazując panu pozostanie w Welcome, dopóki nie odpowie pan zadowolająco na wszystkie pytania, które panu zadam.

Prawnicze formułki dziwnie brzmiały w jego zaślinionych ustach.

–Mam interesy... – zaczął Davidson.

Wiedział, że kpiąc z obcego, szeryf stara się odzyskać trochę utraconej reputacji. Mimo to Packard reprezentował prawo, nic nie można było na to poradzić. Davidson kiwnął głową na znak zgody z możliwie jak największym wdziękiem. Gdy wróci do domu, będzie mógł złożyć skargę na tego prowincjonalnego Mussoliniego. Teraz lepiej wysłać telegram i odłożyć interesy.

–Co zrobimy? – Eleanor zwróciła się do Packarda.

–Załatwimy te monstra – powiedział.

–Jak?

–Bronią, kobieto.

–To nie wystarczy, jeśli są takie wielkie, jak on opowiadał...

–Są – wtrącił Davidson. – Uwierzcie mi, są wielkie. Packard prychnął.

–Zabierzemy cały pieprzony arsenał – powiedział, wskazując pozostałym kciukiem na Jedediaha. – Wyciągnij ciężką broń, chłopcze. Przeciwczołgową, działka.

Polecenie szeryfa wywołało ogólne zdumienie.

–Masz działka? – spytał Lou, cynik spod kominka.

–Sprzęt wojskowy – odparł szeryf. – Jeszcze z czasów wojny.

Davidson westchnął. Ten facet był psychopata, z całym tym arsenałem przestarzałej broni pewnie bardziej niebezpiecznej dla użytkownika niż ofiary. Wszyscy oni igrali z życiem.

–Może i straciłeś palce, Joshu Packardzie – odezwała się Eleanor Kooker poruszona tym pokazem brawury. – Lecz jesteś jedynym mężczyzną w tym pokoju.

Packard rozjaśnił się i bezwiednie potarł krocze. Davidson nie mógł już znieść tej bezmyślnej męskiej pychy.

–Słuchajcie – wtrącił nieśmiało. – Powiedziałem wam wszystko, co wiem. Sami możecie się tym zająć.

–Nie odjedziesz, jeśli to masz na myśli – uprzedził go Packard.

–Powiedziałem tylko...

–Wiem, co mówiłeś, synu, nie jestem tego ciekaw. Jeśli zobaczę, że podwijasz ogon do ucieczki, powieszę cię za jaja. Jeśli jakieś masz.

"Ten dureń może to zrobić – myślał Davidson – nawet jedną ręką. Płyn z falą – powiedział sobie, próbując powstrzymać drżenie warg. – Jeśli Packard pójdzie szukać potworów i jego cholerne działko wybuchnie, jego sprawa. Niech tak będzie".

–Według tego, co mówił ten pan, jest ich całe stado – łagodnie przypomniał Lou.

– Jak możemy pokonać wszystkie?

–Strategią – powiedział Packard.

–Nie znamy ich pozycji.

–Zrobimy rozpoznanie – odparł Packard.

–Szeryfie, naprawdę mogą nas rozpieprzyć – zauważył Jedediah, odrywając od wąsów gumę do żucia.

–To nasz teren – powiedziała Eleanor. – Mamy go i nie oddamy.

–A jeśli po prostu znikną? Jeśli ich nie znajdziemy? – pytał Lou. – Czy nie możemy po prostu poczekać, aż wrócą pod ziemię?

–Jasne – odparł Packard. – A potem zaczekamy, aż znowu wyjdą i pożrą kobiety.

–Może nie chcą nikogo skrzywdzić... – odparł Lou.

W odpowiedzi Packard uniósł swą obandażowaną rękę.

–Mnie skrzywdziły.

Nie sposób było dyskutować.

Packard mówił dalej głosem ochryplym z przejęcia:

–Cholera, tak bardzo pragnę je załatwić, że zrobię to, nawet bez pomocy. Musimy je jednak przechytrzyć i tak podejść, by nikt nie ucierpiał.

"Mówi nawet rozsądnie" – pomyślał Davidson. Rzeczywiście, wywarł wrażenie na wszystkich. Zewsząd rozległy się pomruki uznania, nawet spod kominka.

Packard znów wskazał na swojego zastępcę.

–Rusz tyłek, synu. Zadzwoń do tego łobuza Crumba w Caution i powiesz mu, by przysłał tu swoich chłopaków z wszystkimi karabinami i granatami, jakie tylko mają. A gdy zapyta, po co, powiesz mu, że szeryf Packard ogłosił stan zagrożenia i rekwiruje całą broń w promieniu pięćdziesięciu mil, z wszystkimi ludźmi po drugiej stronie lufy. Biegnij, chłopcze.

Teraz wszyscy w pokoju podziwiali go i Packard czuł to.

–Przegonimy piekielników – powiedział.

Przez chwilę jego przechwałki zdawały się działać nawet na Davidsona, tak że niemal uwierzył, że jest to możliwe, potem jednak przypomniał sobie szczegóły procesji, wszystkie ogony, zęby i całą resztę i jego odwaga zniknęła bez śladu.

Istoty podeszły do domu bardzo cicho, choć nie skradały się specjalnie.

W środku Eugene przestał się wściekać. Siedział z nogami na stole, mając przed sobą pustą butelkę po whisky. Milczenie w pokoju było tak ciężkie, że aż dławilo.

Aaron siedział przy oknie z twarzą spuchniętą od ciosów ojca. Nie musiał patrzeć, by wiedzieć, że idą przez piasek do domu, czuł ich kroki w swoich żyłach. Chciał przywitać ich uśmiechem, lecz powstrzymał tę chęć i tylko czekał, skulony i pobity, aż niemal doszli do niego. Wstał dopiero wtedy, gdy ich wielkie ciała przesłoniły okno. Ruch chłopca wyrwał Eugene'a z otępienia.

–Co jest, chłopcze?

Aaron odszedł od okna i stanął spokojnie na środku pokoju, szlochając na zapas. Rozłożył drobne ręce jak promienie słońca i z podniecenia machał palcami.

–Co się stało z oknem?

Chłopiec usłyszał, jak głos jednego z jego prawdziwych ojców przebija się poprzez mamrotanie Eugene'a. Jak pies oczekujący dawno nie widzianego pana podbiegł do drzwi i próbował je otworzyć. Były zamknięte na klucz i zasuwę.

–Co to za hałas, chłopcze?

Eugene odepchnął syna i zaczął wojować z kluczem w zamku, podczas gdy ojciec Aarona wołał swoje dziecko. Jego głos brzmiał jak szum wody, przerywany miękkimi, piskliwymi westchnieniami, był tęskny i kochający. Eugene nagle wszystko

zrozumiał. Złapał chłopca za włosy i odciągnął od drzwi.

Aaron wrzasnął z bólu.

–Tato! – krzyknął.

Eugene myślał, że słowo jest skierowane do niego, lecz prawdziwy ojciec Aarona również usłyszał jego głos. Jego odpowiedź pełna była troski.

Lucy usłyszała te głosy. Wyszła z szopy, wiedząc, co ujrzy na tle lśniącego nieba, lecz mimo to ogarnęło ją zdumienie na widok tych istot otaczających dom ze wszystkich stron. Poczowała ból na wspomnienie rozkoszy zaznanej i utraconej przed sześciu laty. Te niezapomniane stworzenia były tu wszystkie, co za niewiarygodne nagromadzenie kształtów!

Różowe, piramidalne głowy i klasyczne piersi nad migającymi strzępami koronek z ciała. Bezgłowa, srebrzysta piękność, której sześć ramion z macicy perłowej tworzyło krąg wokół mruczących, drgających ust. Istota przypominająca fale na szybko mknącym strumieniu, stała, lecz równocześnie zmienna, wydająca słodkie, monotonne dźwięki. Stworzenia zbyt fantastyczne, by mogły istnieć naprawdę i zbyt prawdziwe, by nie wierzyć w ich obecność; anioły ogniska domowego. Jedno miało głowę wahającą się niby chorągiewka na szyi cienkiej jak pajęczna nić, granatowej jak niebo na początku nocy i pokrytej dziesiątkami oczu błyszczących jak słońce. Inny ojciec, wachlarzowaty, otwierał się i zamykał w podnieceniu. Jego pomarańczowe ciało pociemniało, gdy dobiegł go ponownie głos chłopca.

–Tato!

Przy drzwiach domu stała istota wspomniana przez Lucy z największą miłością; ta, która pierwsza ją dotknęła, pierwsza ją ukołysa, pierwsza w nią weszła, niezmiernie delikatnie. Wyprostowana, miała jakieś siedem metrów wysokości. Teraz pochylała się nad drzwiami, a jej potężna bezwłosa głowa, przypominająca ptaka namalowanego przez schizofrenika, tkwiła tuż przy domu i mówiła coś do chłopca. Postać była naga, a jej szerokie, ciemne plecy pokrywał pot.

W domu Eugene zasłaniał się trzymanym kurczowo chłopcem jak tarczą.

–Co wiesz, mały?

–Tato?

–Pytałem, co wiesz?

–Tato!

Głos Aarona przepelniała radość. Czekanie się skończyło.

Nagle frontowa ściana domu rozpadła się. Ramię przypominające żywy hak zaczepiło o nadproże i wyrwało drzwi z zawiasów. Cegły wzbily się i opadły; powietrze wypełniły kawałki drewna i kurz. Wyrwane z bezpiecznej ciemności dwie karłowate sylwetki ludzi stały wśród ruin.

Eugene rozglądał się. Gigantyczne łapy zerwały dach i w miejscu belek pojawiło się niebo. Z każdej strony widział wznoszące się nogi, cielska i głowy niesamowitych bestii. Zwały pozostałe mury, niszcząc dom równie lekko, jak on rozbijałby butelkę. Nie wiedział nawet, kiedy chłopiec wysliznął mu się z rąk.

Aaron podbiegł do postaci na progu.

–Tato!

Został podniesiony jak dziecko witane przez ojca po powrocie ze szkoły. Stwór potrząsnął głową w wielkiej radości. Wydawał długie, niemożliwe do opisanie dźwięki. Inne monstra podjęły hymn, zawodząc uroczyście. Eugene zakrył oczy i upadł na kolana. Przy pierwszych tonach straszliwej muzyki z nosa popłynęła mu krew, a oczy wypełniły się łzami. Nie bał się. Wiedział, że nie mogą go skrzywdzić. Płakał, bo przez sześć lat odrzucał taką możliwość, a teraz, mając przed sobą ich tajemnicę i chwałę, nie znajdował w sobie dość odwagi, by się im przyglądać. Teraz już było za późno. Miał świadomość, że zabiorą chłopca, a jego dom i życie obrócą w ruinę. Odejdą obojętne na jego mękę, śpiewając radośnie i trzymając chłopca w ramionach.

W miasteczku Welcome organizacja była wzorowa. Davidson mógł tylko patrzeć z podziwem, jak ci prości, twardzi ludzie próbują stawić czoła zagrożeniu. Dziwnie go to zniechęcało, czuł się tak, jakby oglądał w kinie osadników gotowych zmierzyć się z pogańską przemocą dzikich za pomocą lichej broni i wiary. Inaczej jednak niż na filmie, tu Davidson był przekonany o nieuchronności przegranej. Widział te potwory; budziły zgrozę. Pomimo słuszności sprawy i czystości wiary dzikusy nieraz miażdżyli osadników. Inaczej było tylko w filmie.

Nos Eugene'a przestał krwawić po półgodzinie, lecz mężczyzna nawet tego nie zauważył. Prośbami i groźbami gnał Lucy do Welcome. Nie chciał słuchać żadnych tłumaczeń tej flądry, mimo to gadała bez przerwy. Miał w uszach jedynie kipiące głosy potworów i ciągle: "tato", powtarzane przez Aarona.

Wiedział, że spiskowano przeciw niemu, choć nawet w najstraszniejszych wyobrażeniach nie mógł pojąć całej prawdy.

Aaron był szalony. Eugene był o tym przekonany. I właśnie jego żona, jego hoża Lucy, taka piękna i uległa, przyczyniła się jakoś do szaleństwa chłopca i jego własnego smutku. Uważał, że sprzedała syna. W jakiś niewytłumaczalny sposób dogadała się z tymi piekielnymi stworami i wymieniła za coś życie i zdrowie swojego jedynaka. Co zyskała w zamian? Jakieś błyskotki schowane w szopie? Boże, zapłaci mu za to! Nim jednak wyrwie jej włosy, wysmaruje smołą jej bujne piersi. Ta flądra musi się do tego przyznać. Zmusi ją do tego, nie dla siebie, lecz dla ludzi w Welcome, mężczyzn i kobiet kpiących z jego pijackich majaczeń, śmiejących się z jego lęków. Dowiedzą się z ust Lucy, jakie koszmary przeżywa, i poznają z przerażeniem, że potwory, o których mówił, istnieją naprawdę. Oczyszczi się wówczas całkowicie, miasto przytuli go znowu do swego łona, prosząc o wybaczenie, a pokryte smołą i piórami ciało tej suki zawiśnie na słupie telefonicznym.

Eugene zatrzymał się dwie mile od Welcome.

–Coś nadchodzi.

–Chmura pyłu, a w niej mnóstwo jarzących się oczu. Bał się najgorszego.

–Jezu Chryste!

Puścił żonę. "Czy i ją chcą porwać? Tak, to chyba inna część ich umowy".

–Suną do miasta – powiedział.

Powietrze wypełniały ich głosy. Zbliżali się do niego wyjąca hordą. Eugene odwrócił się, gotów do ucieczki i porzucenia kobiety. Mogą ją wziąć, byleby jego zostawili w spokoju. Lucy z uśmiechem patrzyła na tuman kurzu.

–To Packard – powiedziała.

Eugene obejrzał się za siebie, mrużąc oczy. Potwory stały się teraz widoczne. Oczy okazały się reflektorami, głosy klaksonami. Drogą od Welcome jechała armia samochodów i motocykli, prowadzona przez dżipa Packarda.

Eugene zmieszał się. "Co to jest, masowa ucieczka?"

Po raz pierwszy tego cudownego dla niej dnia także Lucy poczuła niepewność. Karawana zwolniła i stanęła; opadł kurz, odsłaniając cały oddział straceńców Packarda. Składał się on z dziesięciu samochodów i kilku motorów załadowanych policyjną bronią.

Packard wychylił się z samochodu, splunął i zapytał:

–Masz jakieś kłopoty, Eugene?

–Nie jestem głupi, Packard – odparł Eugene.

–Tego nie powiedziałem.

–Widziałem je, Lucy ci opowie.

–Wiem o tym, Eugene, wiem. Nikt nie zaprzeczy, że na wzgórzach są diabły, to jasne jak słońce. Jak myślisz, na kogo się wybieramy?

Packard uśmiechnął się do siedzącego przy kierownicy Jedediaha.

–Jasne jak słońce – powtórzył. – Wykurzymy ich wszystkich do Królestwa Niebieskiego.

Siedząca z tyłu panna Kooker wychyliła się z okienka. Paliła cygaro.

–Chyba winniśmy ci przeprosiny, Gene – powiedziała z uśmiechem. "Mimo to jest pijusem – pomyślała. – Niepotrzebnie poślubił te dziwkę z tłustym tyłkiem. Co za strata".

Twarz Eugene'a rozjaśniła się.

–Chyba tak.

–Wsiadaj z Lucy do któregoś samochodu – powiedział Packard. – Wykurzymy je z nor, tak jak się wykurza węże.

–Odeszły na wzgórze – powiedział Eugene.

–Skąd wiesz?

–Zabrały mojego chłopca i rozwały dom.

–Dużo ich było?

–Okolo dziesięciu.

–Dobra, Eugene, lepiej zabierz się z nami. – Packard zwrócił się do siedzącego z tyłu policjanta: – Tym cholernikom będzie gorąco, nie?

Eugene odwrócił się do Lucy.

–Chciałem... – zaczął.

Ale Lucy pobiegła na pustynię; jej sylwetka nikła w oddali.

–Zboczyła z drogi – powiedziała Eleanor. – Zabije się.

–To byłoby dla niej za dobre – powiedział Eugene, wsiadając do samochodu. – Jest gorsza od diabła.

–Jak to, Gene?

–Ta baba sprzedała piekła mojego jedyne go syna...

–Zostaw ją – powiedział Packard. – Wcześniej czy później piekło ją pochłonie.

Lucy wiedziała, że nie będzie im się chciało jej ścigać. Gdy tylko zobaczyła w chmurze kurzu światła samochodów, dostrzegła strzelby i hełmy, wiedziała, że musi to zrobić. W najlepszym razie będzie widzem. W najgorszym – umrze na pustyni.

Często się zastanawiała nad istotami będącymi zbiorowym ojcem Aarona. Gdzie mieszkają, dlaczego postanowiły w swojej mądrości właśnie z nią się kochać? Rozważała też, czy w Welcome ktoś jeszcze o nich wie. Ile ludzkich oczu, poza jej własnymi, widziało ich tajemnicze ciała? Zastanawiała się też oczywiście, czy nastąpi kiedyś wyznaczona pora i dojdzie do spotkania obu gatunków. Może to się już stało?

Gdy samochody i motocykle zniknęły jej z oczu, zawróciła po własnych śladach, aż znowu znalazła się na szosie. Rozumiała, że nie odzyska już Aarona. Była w pewnym sensie jedynie stróżem dziecka, bo choć to ona je urodziła, należało ono jednak do istot, które złożyły w niej swoje nasienie. Może była narzędziem jakiegoś eksperymentu z rozmnażaniem, a teraz lekarze przybyli, by zobaczyć, co z niego wynikło? A może zabrali Aarona po prostu z miłości? Bez względu na powody, pragnęła jedynie zobaczyć rezultat bitwy. Miała nadzieję, że zwyciężą, choćby miało to oznaczać zagładę wielu przedstawicieli jej gatunku.

U podnóża wzgórz panowała cisza. Postawiono Aarona wśród skał i wszyscy cisnęli się, by badać jego ubranie, włosy, oczy, uśmiech.

Zbliżał się wieczór, lecz Aaron nie czuł chłodu. Piersi jego ojców były ciepłe i pachniały jak wnętrze Powszechnego Centrum Handlowego w Welcome – mieszaniną cukierków toffi i konopi, świeżego sera i żelaza. Zachodzące słońce padało na jego śniadą skórę, w górze pojawiały się gwiazdy. Wśród tych istot był szczęśliwszy niż przy piersi matki.

Packard zatrzymał karawanę u stóp wzgórz. Gdyby słyszał o Napoleonie Bonaparte, uważałby się niewątpliwie za tego zdobywcę. Gdyby znał dzieje życia cesarza, mógłby też czuć, że to jego Waterloo, lecz Josh Packard żył i umarł nic nie wiedząc o małym kapralu.

Kazał wysiąść ludziom i podszedł do nich. Nie była to najodważniejsza armia w dziejach wojen. Wśród żołnierzy widział niemało chorobliwie bladych twarzy, sporo oczu unikało jego wzroku, gdy wydawał rozkazy.

–Ludzie! – wrzasnął.

Kooker i Davidson pomyśleli jednocześnie, że jak na skryty atak, nie było to najmądrzejsze.

–Ludzie! Jesteśmy tu, mamy broń i Boga po swojej stronie. Już załatwiliśmy najgorszą z tych bestii, rozumiecie? Milczenie; przestraszone spojrzenia, potna twarzach.

–Nie chce widzieć, by któryś z was obrócił się na pięcie i zwał, bo jeśli to zauważę, ten nędznik będzie się włókł do domu z plecami podziurawionymi jak sito.

Eleanor chciała zaklaskać, lecz mowa nie była jeszcze skończona.

–Pamiętajcie też – głos Packarda obniżył się, przybierając konspiracyjny ton – że te diabły zabrały Aarona niecałe cztery godziny temu. Oderwały go dosłownie od cycka matki, gdy układała go do snu. To tylko dzikusy, bez względu na wygląd. Nie litują się nad matkami, dziećmi, nad nikim. Dlatego, gdy zobaczycie ich z bliska,

pomyślcie sobie, jakbyście się czuli, gdyby oderwano was od matczyne go cycka. Szeryf zawsze potrafił znaleźć drogę do serc prostych mieszkańców Welcome. –Nie macie się czego bać, najwyżej tego, że nie okażecie się mężczyznami – rzucił na zakończenie. – Idziemy na nich.

Wrócił do samochodu. Ktoś zaczął klaskać i pozostali podjęli to. Szeroką, czerwoną twarz Packarda przeciął twardy uśmiech.

–W drogę! – krzyknął i karawana ruszyła między wzgórz.

Aaron poczuł zmianę w powietrzu. Nie chodziło o zimno; grzejące go piersi nadal były blisko. Mimo to coś się zmieniało. Patrzył zafascynowany, jak ojcowie na to reagują. Ich ciała lśniły nowymi barwami, ciemniejszymi i mniej jaskrawymi. Kilku uniosło głowy, jakby wachało powietrze.

Coś było nie tak. Ktoś nadciągał, by zakłócić tę świąteczną noc, ktoś nieoczekiwany i niepożądany. Istoty wiedziały o tym i były przygotowane na taką ewentualność. Czyż trudno było przewidzieć, że bohaterowie z Welcome przybędą po chłopca? Czyż ci żalosni ludzie nie wiedzieli, że ich gatunek powstał z potrzeby Ziemi, która chciała poznać siebie i dlatego rozwijając się, w końcu rozkwitła jako ludzkość?

Dlatego oczywiste było, iż uważali ojców za wrogów, wyrzekli się ich i próbowali zniszczyć. To była prawdziwa tragedia: ludzie, uważający, że ojcostwo może być jedynie skutkiem małżeństwa dzieci, błędzili i psuli obrzęd.

Ludzie byli jednak ludźmi. Aaron mógł być inny, choć istniało prawdopodobieństwo, że pewnie i on, jeśli wróci kiedyś do świata ludzi, zapomni o wszystkim, czego się nauczy od ojców. Byli oni przodkami ludzi, a nasienie złożone w ciele Lucy było takie samo jak to, z którego powstałi pierwsi mężczyźni. Kobiety istniały zawsze i jako osobny gatunek żyły z potworami. Brakowało im jednak towarzyszy zabaw i stąd wzięli się mężczyźni.

Co za błąd, jakaś katastrofalna pomyłka. W ciągu kilku er z najlepszych wyrosłi najgorsi; kobiety zamienili w niewolników, a ojców zabili lub wygnali pod ziemię. Zostało tylko kilka grup, które próbowały powtórzyć pierwszy eksperyment i stworzyć ludzi takich jak Aaron, mądrzejszych od poprzedników. Tylko poprzez wmieszanie do rasy panów nowych chłopców można ją było uczynić łagodniejszą. Szansa na to była niewielka, nawet bez wtargnięcia tych gniewnych dzieci, trzymających broń w tłustych, białych piąstkach.

Aaron poczuł zapach Packarda oraz swojego ojczyma i stwierdził, że są mu obcy. Od dzisiaj będzie podchodził do nich obojętnie jak do zwierząt obcego gatunku. Czuł się bliższy temu cudownemu zgromadzeniu tajemniczyc h istot i wiedział, że w razie potrzeby odda za nie życie.

Na czele jechał wóz Packarda. Z mroku wyłoniły się samochody pędzące na zgromadzonych uczestników obrzędu z wyciem klaksonów i zapalonymi reflektorami. Z paru pojazdów dobiegły wrzaski przerażenia, gdy ujrzeli całą scenę, lecz atak trwał nadal. Strzelano. Aaron zobaczył, jak jego ojcowie cisną się bliżej, by go osłonić, a ich ciała ciemnieją z gniewu i lęku.

Packard czuł podświadomie, że te stwory zdolne są do strachu. Do jego

obowiązków należało rozpoznawanie lęku i wykorzystywanie go przeciwko złoczyńcom. Wykrzykiwał rozkazy do mikrofonu, prowadząc samochody na krąg potworów. Na tylnym siedzeniu jednego z wozów Davidson zamknął oczy, modląc się do Jahwe, Buddy i Groucho Marxa: "Daj mi siłę, daj mi obojętność, daj mi poczucie humoru". Nic jednak nie przybywało mu na pomoc; ciągle coś bulgotało w jego pęcherzu, coś ścisnęło mu gardło.

Na przedzie zazgrzytał hamulec. Davidson otworzył oczy (tylko odrobinę) i ujrzał jedną z istot otaczającą samochód Packarda purpurowo-czarnym ramieniem i unoszącą go w powietrze. Tylne drzwi otworzyły się i wypadła z nich Eleanor Kooker, a za nią Eugene. Pozbawione dowódcy samochody wpadały na siebie, i po chwili całą scenę zasnuł dym i kurz. Wśród odgłosów tłuczonych się szyb policjanci uciekali z wozów. Słysząc też było trzaski pękających dachów i wyrywanych drzwiczek, cichnące wycie zgniatanych klaksonów, jęki miażdżonych policjantów.

Głos Packarda dobiegał jednak wyraźnie. Szeryf wykrzykiwał rozkazy ze swojego samochodu, choć ten był podniesiony wysoko, jego silnik wył, a koła obracały się śmiesznie w powietrzu. Stwór trzął wozem, jakby była to dziecięca zabawka, aż otworzyły się drzwiczki od strony kierowcy i Jedediah spadł na ziemię tuż obok fałdy skóry potwora. Davidson zobaczył, jak owija ona leżącego ze złamanym kręgosłupem zastępcę szeryfa i wchłania w siebie. Widział Eleanor stojącą przed górującym nad nią potworem, który właśnie pożarł jej syna.

–Jedediah, wyjdź stamtąd! – wrzasnęła i zaczęła strzelać w cylindryczną głowę stwora.

Davidson wysiadł z samochodu, by lepiej widzieć. Zza stosów rozwalonych pojazdów i zakrwawionych dachów obserwował pobojuwisko. Istoty wycofywały się z pola bitwy, pozostała tylko największa, trzymająca Packarda. Uspokojony Davidson zmówił modlitwę dziękczynną do wszystkich bóstw. Demony zniknęły. Nie będzie żadnej bitwy, walki rąk przeciwko mackom. Chłopiec zostanie zjedzony żywcem lub użyty do ich planów. Właśnie, gdzie jest Aaron? Czy to nie ta drobna figurka trzymana w górze przez odchodzące istoty?

Poganiani przekleństwami i oskarżeniami Eleanor policjanci zaczęli wychodzić z kryjówek i otaczać pozostałego stwora. Mimo że był sam jeden, trzymał ich Napoleona w śluzowatym uścisku. Ładowali w niego salwę za salwą, masakrowali głowę i korpus, ale on zdawał się tego nie zauważać. Trzął tak długo samochodem Packarda, aż szeryf zaczął w nim latać jak zdechła żaba w blaszanej puszcze. Wtedy zabawa mu się znudziła i odrzucił pojazd. Powietrze wypełnił zapach benzyny, wywołując u Davidsona mdłości.

Rozległ się krzyk:

–Na ziemię!

"Granaty? – pomyślał Davidson z przerażeniem. – Tylko nie to! Za dużo tu benzyny!" Padł na ziemię. Zapadła nagła cisza, przerywana jedynie zawodzeniami jakiegoś rannego, a potem rozległ się głuchy, wstrząsający podłożem huk wybuchającego granatu.

Ktoś wołał Jezusa Chrystusa z triumfem w głosie.

Potwór stanął w ogniu. Płonęła cienka, przesiąknięta benzyną zewnętrzna tkanka jego ciała; wybuch oderwał jedną z jego nóg, drugą uszkodził; z ran i kikuta tryskała gęsta, bezwonna krew. Rozszedł się zapach przypalanego karmelu – istota paliła się żywcem. Jej ciało zwinęło się i zadrżało, gdy płomień objęły twarz. Demon odchodził powoli od swoich prześladowców, nie wyrażając bólu.

Ten widok uradował Davidsona; czuł tę samą przyjemność, jak przy rozgniataniu butem meduzy. Była to jego ulubiona letnia zabawa z czasów dzieciństwa. Przypomniawszy sobie ciepłe popołudnie w Maine.

Z wraku samochodu wyciągnięto Packarda. To musiał być człowiek ze stali – stanął prosto i zaczął wzywać ludzi do pogoni za wrogiem. Lecz w chwili jego największej chwały kawałek ciała płonącego potwora oderwał się i spadł w kałużę benzyny, w której stał szeryf. Natychmiast jego samochód i dwóch ratowników otoczyła chmura ognia. Nie mieli żadnych szans na ucieczkę z szalejących płomieni. Davidson widział ich ciemne sylwetki w samym środku piekła, otoczone kłębamii ognia, w którym ginęli.

Nim ciało Packarda opadło na ziemię, Davidson usłyszał głos Eugene'a:

–Widzicie, co zrobili?! Widzicie, co zrobili?! Zawtórowały mu dzikie wrzaski policjantów.

–Zniszczyć je! – krzyczał Eugene. – Zniszczyć!

Lucy słyszała odgłosy bitwy, lecz nie próbowała iść w stronę wzgórz. Coś w wyglądzie księżyca spowodowało, że straciła na to całą ochotę. Zmęczona stała pośród pustyni, patrząc w niebo.

Gdy po jakimś czasie opuściła wzrok na horyzont, dostrzegła dwie rzeczy, które w pierwszym momencie niezbyt ją zainteresowały. Wzbijający się ze wzgórz szary słup dymu i ledwo widoczny w słabym świetle nocy szereg odchodzących stamtąd istot. Nagle zaczęła biec.

Odkryła, że porusza się sprężysto jak młoda dziewczyna i że gnają to samo, co młode dziewczęta: pościg za ukochanym.

Zgromadzone na skrawku pustyni istoty po prostu zniknęły. Lucy wydawało się, że pochłonęła je ziemia. Znowu zaczęła biec. Czy ujrzy jeszcze swojego syna i jego ojców, nim przepadną na zawsze? Czy też zostanie tego pozbawiona, pomimo tylu lat oczekiwania?

Davidson kierował pierwszym samochodem, przymuszony do tego przez Eugene'a, z którym teraz trudno było dyskutować. Sposób, w jaki trzymał strzelbę, mówił, że wpiery strzeli, a dopiero potem pomyśli. Rozkazując przerzedzonemu oddziałowi podążać za sobą, wykrzykiwał co jakiś czas bezsensowne przekleństwa. Oczy jarzyły mu się szaleństwem, a na ustach miał pianę. "To dzikus" – pomyślał z przerażeniem Davidson. Nie mógł się już jednak wycofać; uczestniczył wraz z nim w tym ostatnim, apokaliptycznym pościgu.

–Widzieliście? Te czarnookie sukinsyny nie mają pieprzonych łbów! – Eugene przekrzykiwał ryk dręczonego silnika. – Dlaczego jedziesz tak wolno, chłopcze?! – Dźgnął strzelbą w krocze Davidsona. – Jedź, bo odstrzelę ci jaja!

–Nie wiem, którądy poszły! – odkrzyknął Davidson.

–Co tam gadasz? Pokaż!

–Nie mogę ci pokazać, bo zniknęły! Eugene zastanowił się nad tą odpowiedzią.

–Zwolnij, chłopcze! – Machnął ręką przez okienko, zatrzymując resztę armii. –

Stań tutaj. Stań! Davidson zatrzymał samochód.

–I zgaś te cholerne światła. Wy wszyscy też.

Reflektory zostały wyłączone. Nagle zapadł mrok. I milczenie. Nic nie było widać ani słyszeć. Zniknęły. Cała jękliwa gromada potworów rozplynęła się w powietrzu.

Kiedy wzrok ludzi przywykł do blasku rzucanego przez księżyc, pustynia stała się lepiej widoczna. Eugene wysiadł z samochodu i patrzył na piasek, szukając śladów.

–Niech to cholera – powiedział bardzo łagodnie.

Lucy przestała biec. Podchodziła do samochodów. Już było po wszystkim.

Wszyscy zostali oszukani.

Nagle usłyszała Aarona. Nie widziała go, lecz jego głos dobiegał wyraźnie jak dzwon i jak dzwon ogłaszał nadejście święta.

Eugene też go usłyszał i uśmiechnął się. Mimo wszystko byli blisko.

–Hej! – wołał chłopiec.

–Gdzie on jest? Widzisz go, Davidson? Davidson pokręcił głową, lecz prawie w tej samej chwili krzyknął:

–Czekaj! Czekaj! Widzę światło! Patrz, prosto przed nami!

–Widzę.

Z przesadną ostrożnością Eugene kazał Davidsonowi wracać za kierownicę.

–Prowadź, chłopcze. Ale powoli. I bez świateł.

Davidson przytaknął. "Dalsze meduzy do rozgniatania -pomyślał. – Może mimo wszystko dorwiemy te diabły. Czyż nie jest to warte małego ryzyka?"

Konwój ruszył w dalszą drogę, wlokąc się w ślimaczym tempie.

Lucy zaczęła znowu biec, widziała teraz drobną postać Aarona, stojącą na skraju skalnej rampy prowadzącej pod ziemię. Samochody jechały w jej kierunku.

Widząc jak się zbliżają, Aaron przestał krzyczeć i zaczął schodzić po pochyłości. Nie miał już na co czekać, był pewien, że za nim pójdą. Jego bose stopy prawie nie zostawiały śladów na drobnym piasku. U podnóża stoku w mrokach ziemi widział uśmiechającą się do niego i przyzywającą go resztę rodziny.

–Wchodzi tam – powiedział Davidson.

–To jedź za tym małym łobuzem – powiedział Eugene. – Dzieciak może nie wiedzieć, co robi. Włącz światło.

Reflektory spoczęły na Aaronie. Miał podarte ubranie, szedł bardzo powoli.

Stojąca kilka metrów od pochyłości Lucy zobaczyła, że pierwszy samochód zaczął zjeżdżać za chłopcem w dół do...

–Nie – powiedziała do siebie. – Nie!

Davidson przestraszył się nagle. Zaczął zwalniać.

–Dalej, chłopcze! – Eugene znów szturchnął go strzelbą w krocze. – Zapędziliśmy ich do kąta. Mamy ich norę. Chłopak prowadzi nas prosto do nich.

Już wszystkie samochody znalazły się na stoku, ich koła ślizgały się po piasku.

Aaron odwrócił się. Za nim stali ojcowie. Ich ciała fosforyzowały w ciemnościach,

tworząc paradę niesamowitych kształtów. Ze swoimi nogami, szczypcami, łuskami i pazurami rzeczywiście mogły kojarzyć się ludziom z diabłami.

Eugene zatrzymał oddział, wysiadł z samochodu i ruszył do Aarona.

–Dziękuję, chłopcze – powiedział. – Podejdź tutaj, zajmiemy się tobą. Mamy ich. Jesteś bezpieczny. Aaron patrzył na niego, nic nie rozumiejąc.

Z tyłu policjanci wysiadali z samochodów i przygotowywali broń. Pospiesznie składali działko przeciwpancerne, repetowali strzelby, wyciągali granaty.

–Chodź do taty, chłopcze – przymiłał się Eugene. Aaron nie ruszył się, więc Eugene zszedł kilka metrów w dół. Davidson wysiadł również, trzęsąc się ze strachu.

–Może powinienes odłożyć broń. Pewnie się jej boi -powiedział. Eugene chrząknął i opuścił trochę lufę strzelby.

–Jesteś bezpieczny – powiedział Davidson. – Już wszystko dobrze. Podejdź do nas, chłopcze. Powoli.

Twarz Aarona poczerwieniała. Nawet w mylącym świetle reflektorów widać było wyraźnie, że zmienia kolor. Policzki wydymały mu się jak balony, skóra na czole falowała, jakby roiły się pod nią robaki. Głowa się rozpływała, zmieniała szybko kształt, migiała i rozkwitała. Maskę chłopca zniknęła, ukazując schowaną pod nią wielką, niesamowitą twarz ojca.

Gdy Aaron stał się synem swojego ojca, zbocze zaczęło mięknąć. Davidson pierwszy poczuł lekką zmianę konsystencji piasku, dokonującą się jakby na rozkaz, cichy, lecz przemożny.

Eugene patrzył z rozdziawionymi ustami na przemianę Aarona, która teraz objęła całe ciało. Brzuch się rozdał i wyrosły z niego liczne stożki, z których wysunęły się dziesiątki pokręconych nóżek. Zmiana była bardzo złożona i wspaniała, z wnętrza chłopca powstawała nowa potęga.

Eugene bez ostrzeżenia uniósł strzelbę i strzelił do syna. Kula ugodziła w środek twarzy. Aaron upadł na wznak, jednak jego przemiana trwała nadal, choć na rozpływającą się ziemię spływała z rany krew, częściowo czerwona, częściowo srebrna.

Na pomoc chłopcu wyszły istoty schowane dotąd w ciemności. W światłach reflektorów ginęły szczegóły ich budowy, lecz wydawało się, że one także ulegają zmianie. Żal powodował chudnięcie ich ciał, wydawały z siebie żalobne jęki.

Eugene ponownie uniósł broń, krzycząc o swoim zwycięstwie. Miał ich... Wreszcie miał ich. Tych brudnych, śmierdzących, niekształtnych wszarzy.

Piasek pod nim stał się teraz ciepłym syropem oblepiającym łydki i Eugene przy wystrzale stracił równowagę. Krzyknął o pomoc, lecz Davidson już wycofywał się po stoku, uciekając z wąwozu przekształcającego się w bagno. Reszta armii wpadła w podobną pułapkę. Pustynia rozpływała się i pod nimi, a kleiste błoto pełzło w górę pochyłości.

Leżący na plecach Eugene strzelił jeszcze dwukrotnie w kierunku martwego ciała Aarona. Rzucił się jak żaba z poderżniętym gardłem, a z każdym ruchem zagłębiał się jeszcze bardziej. Nim twarz zginęła mu w błocie, zdążył jeszcze zauważyć Lucy stojącą-na skraju zbocza i patrzącą na zwłoki Aarona. Potem bagno zalało mu głowę,

skrywając go na zawsze.

Pustynia pochłaniała ich błyskawicznie.

Dwa samochody zapadły się już całkowicie, a wznosząca się po zboczu fala płynnego piasku bezlitośnie zalewała uciekających. Słabe wołania o pomoc kolejno milkły; piasek zatykał krzyczące usta, ktoś strzelał w ziemię w rozpaczliwej próbie powstrzymania przyływu, lecz mimo to wzbierał on szybko, aż połknął wszystkich. Nawet Eleanor Kooker nie zdołała się uratować. Przeklinając i wciskając głębiej w piasek martwe ciało policjanta, walczyła dziko o wydostanie się z grząskiego bagna.

Wszyscy teraz krzyczeli, łapiąc się nawzajem w poszukiwaniu punktu oparcia i rozpaczliwie usiłując utrzymać głowy ponad powierzchnią morza piasku.

Davidson tkwił zagrzebany do pasa. Otaczająca jego nogi ziemia była ciepła i dziwnie pociągająca. Pieszczota naciskających piasków wywołała u niego erekcję. Kilka metrów dalej pożerany przez pustynię policjant przeklinał błękitnego mordercę. Jeszcze dalej widział wystającą z płynnej powierzchni twarz, która wyglądała jak maska rzucona na ziemię. Obok niej poruszała się jeszcze jakaś ręka; jak dwa melony nad mulistym morzem sterczała para tłustych pośladków.

Lucy cofnęła się o krok, gdy błoto lekko przelało się przez skraj otchłani, lecz nie dosięgło jej nóg. Dziwne, ale nie rozlało się przy tym, jak z pewnością stałoby się w wypadku wody. Twardniało jak beton, więziło żywe ofiary jak muchy w bursztynie. Z ust chwytających jeszcze powietrze wydobywały się nowe krzyki przerażenia, podczas gdy wokół walczących ciał zastygała pustynia.

Davidson widział Eleanor Kooker zagrzebaną po pierś. Po policzkach spływały jej łzy; płakała jak mała dziewczynka. Mało myślał o sobie, wcale o wschodnim wybrzeżu, Barbarze i dzieciach.

Ludzie ginęli teraz z braku powietrza. Żyła jeszcze tylko Eleanor Kooker, Davidson i dwóch innych mężczyzn. Jeden z nich tkwił w ziemi po brodę. Eleanor była zagrzebana po piersi, wolnymi rękoma waliła bezsilnie po trzymającym ją mocno piasku. Davidson był uwięziony po biodra. Najstraszniej wyglądała ostatnia postać, wystawał jej jedynie nos i usta, a reszta głowy była pod ziemią. Ten ktoś nadal oddychał i krzyczał.

Eleanor Kooker drapała piasek zdartymi paznokciami, lecz to nic nie dawało. Był jak skamieniały.

–Pomóż mi, Lucy – poprosiła, wznosząc krwawiące ręce. Obie kobiety patrzyły na siebie.

–Jezu! – krzyczały usta.

Głowa milczała, lecz szklisty wzrok wskazywał wyraźnie, że oszalała.

–Proszę, pomóż nam – błagał tułów Davidsona. – Sprowadź pomoc. Lucy kiwnęła głową.

–Idź! – popędzała ją Eleanor Kooker. – Idź!

Lucy opornie posłuchała. Na wschodzie zaczynało się już rozjaśniać. Wkrótce powietrze się rozgrzeje. W odległym o trzy godziny marszu Welcome Lucy zastała jedynie starców, histeryzujące kobiety i dzieci. Będzie musiała ściągnąć pomoc z odległości może nawet pięćdziesięciu mil. Jeśli znajdzie drogę i jeśli nie padnie

wyczerpana na piasku i nie umrze.

Najwcześniej w południe zdąży sprowadzić pomoc dla kobiety, tułowia, głowy i ust. Do tej pory będą pod władaniem pustyni. Słońce wygotuje im mózgi w odsłoniętych czaszkach, węże wpełzną pomiędzy ich włosy, sępy wydziobią im oczy.

Obejrzała się jeszcze raz, patrząc na maleńkie postacie, zalewane krwawymi promieniami wstającego słońca. Drobne kropki i przecinki ludzkiego bólu na pustej karcie piasku; nie myślała o piórze, które je tam napisało. Zastanowi się nad tym jutro.

Po chwili zaczęła biec.

This file was created with BookDesigner program
bookdesigner@the-ebook.org

2010-04-28

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-05-12

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/